



ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA  
DZISIEJSZEGO ŚWIATA  
TOM VIII





2





# Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata Tom ósmy

Konwersatoria  
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie  
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją  
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2013





Wydawnictwo SWPR  
Szkola Wyższa Przymierza Rodzin  
ul. M. Grzegorzewskiej 10  
02-778 Warszawa  
tel.(22) 644 07 97  
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONAŁ:  
Marcin Borzęcki

OKŁADKA  
Marek Angiel

SKŁAD, ŁAMANIE, REDAKCJA TECHNICZNA  
Joanna Łokietek

KOREKTA  
Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE  
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK  
ELPIL Siedlce

Druk publikacji finansowany przez Jacka Waksmundzkiego

Wydanie I

ISBN 978-83-61140-43-6



## SPIS TREŚCI

Przedmowa .....	7
<i>Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Maria Płotczyk, Wojciech Puzyna, Andrzej Skoczek .....	9
<i>Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni</i>	
Ks. dr Henryk Małecki (prowadzący), Adam Pietrzak, Joanna Krupska, Kazimierz Szalata .....	49
<i>Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Karolina Pietruk, brat Kazimierz Dmitrzak, Alojzy Witeska, Małgorzata Jabłońska, ojciec diakon Wojciech Mojecki .....	81
<i>Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Izabela Szwarocka, Jerzy Wratny, Zdzisław Bielecki.....	113
<i>Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), brat Mirosław Kruk, Joanna Trzcionka, siostra Małgorzata Ochęduszek, Anna Niepiekło .....	141
<i>Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Jadwiga Puzynina, siostra Kazimiera Fleran, Paweł Zuchniewicz .....	179
<i>Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazywani synami Bożymi</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Andrzej Szpor, Ks. dr Paweł Wojtas, Maja Komorowska, Anna Słomka....	211



*Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania  
dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy  
królestwo niebieskie*

Ks. Adam Zelga (prowadzący), Emmanuel Hakizimana, Halina Bortnowska, Krzysztof Dowgiałło, siostra Rafaela (Urszula Nałęcz) .....	245
Wydawnictwo SWPR – przegląd wydanych pozycji .....	279



## *Przedmowa*

Tom ósmy, który obecnie oddajemy do rąk czytelników, zawiera teksty Konwersatoriów, które już od ośmiu lat odbywają się regularnie, w odstępach comiesięcznych w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie (ul. Grzegorzewskiej 10, na Ursynowie). Każdy tekst Konwersatorium poprzedzony jest cytatami z wypowiedzi na dany temat, szczególnie Ojca świętego Jana Pawła II.

W podziękowaniu Bożej Opatrzności za siedem poprzednich lat, rok ósmy postanowiliśmy poświęcić Ośmiu Błogosławieństwom. Podobnie jak tomy poprzednie, ósmy tom „Odpowiedzi...” opiera się na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu, uczestników spotkań, jak i na wypowiedziach przesyłanych drogą korespondencyjną. Wszystkim serdecznie dziękuję w imieniu własnym, jak i stale rosnącego grona odbiorców tekstów Konwersatoriów na całym świecie. Obecnie jest już ponad 500 stałych czytelników naszych Konwersatoriów. Wielu z nich, za co szczególnie jestem im wdzięczna, rozsyła nasze teksty dalej, uznając je za warte tego. Bóg im zapłać.

Na końcu ósmego tomu został zamieszczony spis treści wszystkich tomów poprzednich. Uniwersalność tematów oraz żywość i autentyczność wypowiedzianych świadectw powoduje, że nie tracą one na aktualności i stale znajdują nowych czytelników.

Szczególne podziękowanie kieruję do Księdza Adama Zelgi, który, podobnie jak w latach poprzednich, prowadził nasze spotkania, poprzedzając je często własnym świadectwem. Dziękuję również Księdzu dr Henrykowi Małeckiemu, który zastąpił Księdza Adama, gdy ten jednorazowo musiał nas opuścić.

W bieżącym roku przepisywania tekstów z nagrania podjął się Marcin Borzęcki, któremu serdecznie dziękuję za sprawne i terminowe wykonywanie tego zadania.

Korektę wszystkich tekstów Konwersatoriów, jak i złożonej już książki, wykonała, podobnie jak w latach poprzednich, dr Urszula Kossowska-Cezak. Jej ogromnemu doświadczeniu i skrupulatności zawdzięczamy wysoki poziom edytorski publikowanych kolejnych tomów „Odpowiedzi...” Serdecznie jej za to dziękuję.

Piękną jak zawsze szatę graficzną zawdzięczamy dr. Markowi Angielowi, o którego talencie świadczą okładki książek publikowanych w naszym Wydawnictwie.

Obecny ósmy tom „Odpowiedzi...”, podobnie jak i tomy poprzednie, nie mogłyby się ukazać bez wsparcia finansowego pana Jacka Waksmundzkiego. Jemu zawdzięczamy, że książki docierają do osób, których nie stać by było na ich zakup. Bardzo serdecznie mu za to dziękuję.

Wszystkie informacje dotyczące Konwersatoriów i wydawanych u nas książek można znaleźć na naszej stronie internetowej ([www.swpr.edu.pl](http://www.swpr.edu.pl)). Książki można nabywać za pośrednictwem internetu ([swpr@swpr.edu.pl](mailto:swpr@swpr.edu.pl)), zaliczenia pocztowego lub bezpośrednio w sekretariacie Uczelni (ul. Grzegorzewskiej 10, 02-778 Warszawa, tel. 22 644 07 97).

W trzecią sobotę października 2013 roku rozpoczynamy kolejny, dziewiąty rok spotkań. Serdecznie zapraszam wszystkich zainteresowanych. Osoby, które chciałyby otrzymywać drogą mailową teksty Konwersatoriów proszę o przesłanie na adres Uczelni ([swpr@swpr.edu.pl](mailto:swpr@swpr.edu.pl)) swojego adresu z adnotacją: „przesyłanie tekstów Konwersatoriów”

*Elżbieta Mycielska-Dowgiałto*

Warszawa, lipiec 2013 r.



*Błogosławieni ubodzy w duchu,  
albowiem do nich należy królestwo niebieskie*



## Cytaty

### **Jan Paweł II. Uwierzyć wszystkiemu, co mówi Jezus** Msza św. dla młodych na Górze Błogosławieństw (fragment)

Dziesięć Przykazań z Synaju zdaje się mieć wymowę negatywną: «Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną; (...) nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa» (por. Wj 20, 3. 13-16). W rzeczywistości jednak mają one sens w najwyższym stopniu pozytywny. Nie ograniczają się bowiem do nazywania zła po imieniu, ale prowadzą do prawa miłości, które jest pierwszym i największym przykazaniem: «Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. (...) Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego» (Mt 22, 37. 39). Sam Jezus stwierdza, że nie przyszedł znieść Prawa, ale je wypełnić (por. Mt 5, 17). Jego orędzie jest nowe, nie niszczy jednak tego, co już istniało, lecz pozwala temu dziedzictwu ujawnić cały swój potencjał. Jezus naucza, że droga miłości prowadzi do całkowitego wypełnienia Prawa (por. Ga 5, 14). I tej niezwykle doniosłej prawdy nauczał tutaj, na tym galilejskim wzgórzu.

«Błogosławieni jesteście – mówi Jezus – wy wszyscy ubodzy w duchu, cisi i miłosierni, którzy się smucicie, którzy pragniecie sprawiedliwości, którzy jesteście czystego serca, wprowadzacie pokój i cierpicie prześladowania! Błogosławieni jesteście!» Te słowa Jezusa mogą się jednak wydawać dziwne. Dziwne jest, że Jezus wychwala tych, których świat zwykł uważać za słabych. Jezus mówi do nich: «Błogosławieni jesteście wy, którzy zdajecie się przegrywać, bo w rzeczywistości zwyciężacie: Królestwo niebieskie należy do was!» Te słowa, wypowiedziane przez Tego, który jest «cichy i pokornego serca» (por. Mt 11, 29), są wyzwaniem, domagają się głębokiej i trwałej metanoi ducha, wielkiej przemiany serca.

Wy, ludzie młodzi, na pewno rozumiecie, dlaczego ta przemiana serca jest konieczna! Jesteście bowiem świadomi, że w waszym wnętrzu i wszędzie wokół was rozbrzmiewa inny głos, zaprzeczają-

cy tamtemu. Ten głos mówi: «Błogosławieni są pyszni i gwałtowni, dążący do sukcesu za wszelką cenę, pozbawieni skrupułów, bezlietni, nieuczciwi, którzy wszczynają wojny, miast ustanawiać pokój i prześladowają tych, którzy stają im na drodze». Ten głos wydaje się mieć rację w świecie, w którym gwałtowni często zwyciężają, a nieuczciwi zdają się odnosić sukces. «Tak – mówi głos zła – to oni wygrywają. To oni są szczęśliwi!»

Jezus przynosi zupełnie inne orędzie. Niedaleko stąd Jezus powołał swoich pierwszych uczniów, jak dzisiaj powołuje was. Jego powołanie zawsze zmuszało do dokonania wyboru między dwoma głosami, które nawet w tej chwili, na tym wzgórzu walczą o rząd waszych serc – wyboru między dobrem i złem, między życiem a śmiercią. Za którym głosem postanowią pójść młodzi dwudziestego pierwszego wieku?

### **Ks. Zygmunt Podlejski. Ubodzy w duchu** (fragment)

Człowiek prawdziwie ubogi w duchu potrafi zdystansować się do wszystkich posiadłości, przywilejów i innych zasług dających powód do prestiżu i chwały. Ubogi w duchu poznaje siebie takim, jakim w istocie jest przed Bogiem; wie, że Bóg jest wszystkim, człowiek zaś nie ma powodu do chwały, a już zupełnie do samochwały. Człowiek ubogi w duchu otwiera serce, czyniąc je wrażliwym na miłość Boga. Człowiek ubogi w duchu rozumie, że najgłębszy sens jego życia polega na przyjęciu królestwa Bożego, dla którego jest stworzony i przeznaczony. Człowiek ubogi w duchu jest człowiekiem pokornym, przekonanym, że tylko dzięki Bogu może zamienić własną mizериę na owoce miłości. Człowiek ubogi w duchu pokłada całą ufność w Bogu, bo wie, że wszystkie inne gwarancje zawodzą.

### **Ks. Jan Sawicki. Osiem i cztery (fragmenty)** 23 VI 2013 r. „Idziemy”

Chociaż Osiem Błogosławieństw (Mt 5,3-12) w ścisłym sensie nie należy do zbioru katechizmowych prawd wiary, jest jednak

konstytucją moralności Nowego Testamentu. Błogosławieństwa uznaje się za źródło chrześcijańskiej nadziei i optymizmu; były wiodącym tematem VII pielgrzymki apostołskiej bł. Jana Pawła II do Polski w 1999 roku. Dlatego warto przypomnieć sobie ich treść i znaczenie.

Błogosławieństwa rozpoczynają Jezusowe tzw. Kazanie na Górze (Mt 5-7). Miejszem jego wygłoszenia było jedno ze wzgórz w okolicy Kafarnaum – mierzące około 150 m wysokości, położone 3 km na zachód od Kafarnaum. Chociaż było skierowane głównie do apostołów, jednak ważnym jego słuchaczem był cały lud.

Słowo „błogosławieni” pochodzi od greckiego słowa Makarios (szczęśliwi). Mamy tu do czynienia z formą zachęty religijno-moralnej. Składa się ona z dwóch elementów: pierwszy podaje wymagania, a drugi opisuje nagrodę, jaką otrzyma zachowujący moralny postulat. Inaczej mówiąc, drugi element mówi, gdzie jest szczęście (niebo, miłosierdzie, pokój, pocieszenie, radość, oglądanie Boga), a pierwszy wymienia warunki jego osiągnięcia (ubóstwo, pokora, czystość, sprawiedliwość, miłosierdzie). Błogosławieństwa wymieniają więc różne dobra duchowe, zachęcają do ufności Bogu, wskazują drogę, motywują do szlachetnego wysiłku, przypominają charakterystykę samego Chrystusa.

## KONWERSATORIUM LVII

(20 października 2012)

**Błogosławieni ubodzy w duchu,  
albowiem do nich należy królestwo niebieskie**

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Maria Płotczyk, psycholog poradni psychologiczno-pedagogicznej, wykładowca na Akademii Sztuk Pięknych; Wojciech Puzyna, dr.n.med., dyr. szpitala im. Św. Zofii w Warszawie; Andrzej Skoczek, emerytowany pułkownik WP, doktor nauk weterynaryjnych, red. „Wiadomości Parafialnych” parafii p.w. św. Tomasza w Warszawie.

**Ks. Adam Zelga**

Rozpoczynamy nowy cykl Konwersatoriów, w tym roku poświęconych Ośmiu Błogosławieństwom. Może na początek anegdota. Rzecz się dzieje w moskiewskim teatrze w ZSRR. Aktor ma przeczytać tekst Ewangelii o Ośmiu Błogosławieństwach w celu ich wykpienia. Wychodzi na scenę. Zaczyna czytać... Kpiąco... Nagle ton jego głosu poważnieje, zaczyna mówić ze wzruszeniem i powagą. Dotknięty łaską głębokiego wejrzenia w to przesłanie, w uniesieniu wypowiada słowa: „to musi być prawda, to musi być prawda”. Po nich schodzi ze sceny, oniemiał widzowie milczą, wstrząśnięci. Po aktorze – ślad ginie.

Można z tej anegdoty wyciągnąć wniosek, że rzeczywistość Błogosławieństw jest trudna do pojęcia, zwłaszcza dla ludzi, którzy uważają za cel życiowy, by jak najwięcej mieć i zdobyć. Rzeczywistość błogosławieństw jest przekazana dla ludzi, którzy doświadczili utraty i oczekują w tej utracie jakiegoś sensu. Błogosławieństwa mogą dać odpowiedź na sens straty.

Jeżeli mówimy o pierwszym błogosławieństwie „ubodzy w duchu”, to wydaje mi się, że można je zinterpretować dwojako. Po pierwsze, chodzi o dystans do tego, co się ma, żeby nie stać się niewolnikiem tego, co się posiada, żeby być gotowym oddać to i żeby zabranie tego nie zabiło. Kiedy w 1997 roku była w Polsce straszna powódź, wielu ludzi utraciło cały swój dobytek. Stanęli przed pytaniem, czy ważniejsze jest ich dalsze życie i czy są gotowi zmagać się z dalej, czy też strata dorobku sprawiła, że nie chce im się dalej żyć.

Po drugie, można spytać, co może dać człowiek, który nie ma nic. Może dać wszystko, co ma, czyli dać siebie. Szczęścia dawania siebie doświadczyła Matka Teresa z Kalkuty, chociaż – jak pisała o sobie – „jestem patronką od ciemności, bo szłam wierna Panu Bogu, mimo że nie miałam żadnych olśnień”.



Paneliści: od lewej Andrzej Skoczek, Maria, Płotczyk,  
Wojciech Puzyna, ks. Adam Zelga

Tak więc serdecznie państwa witam i proszę o podzielenie się z nami doświadczeniem błogosławieństwa<sup>1</sup> „ubodzy w duchu, bo do nich należy Królestwo Niebieskie”.

<sup>1</sup>W najnowszych wydaniach Pisma Świętego (np. Wydawnictwa Święty Paweł, 2005, przekład z języków oryginalnych) dotychczasowe tłumaczenie fragmentu Ewangelii

## Maria Płotczyk

Z wykształcenia jestem psychologiem, pracuję od 35 lat w poradni psychologiczno-pedagogicznej na wszelkich możliwych stanowiskach. Od 39 lat jestem mężatką, mam dwoje dzieci i dwoje wnucząt.



Maria Płotczyk i Wojciech Puzyna

Pamiętam, jak przed wielu laty, kiedy byłam jeszcze w liceum, uderzyło mnie czytanie w czasie Mszy świętej Ewangelii o Ośmiu Błogosławieństwach. Wtedy, można powiedzieć, przeraziłam się,

---

Świętego Mateusza 5, 3-12, „Błogosławieni...” jest zastąpione słowem „Szczęśliwi...” jako bardziej odpowiadającym duchowi oryginału. Jednakże w dotychczasowych tłumaczeniach Pisma Świętego na język polski, poczynając od najwcześniejszego Jakuba Wujka z 1596 roku (tłumaczenie z Wulgaty, tj. z łaciny), przez Biblię Tysiąclecia (1965, tłumaczenia z języków oryginalnych), tłumaczenie Seweryna Kowalskiego (z języka greckiego, 1976), do Biblii publikowanej przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne (tłumaczenie z hebrajskiego i greckiego) czy kieszonkowego Nowego Testamentu Towarzystwa Biblijnego w Polsce (tłumaczenie z języka greckiego) wszędzie konsekwentnie jest używany zwrot „Błogosławieni...”. Tytuł tego fragmentu Ewangelii też wszędzie brzmi „Błogosławieństwa”. Dlatego też, mimo współczesnej tendencji do zmiany „Błogosławieni...” na „Szczęśliwi”, pozostajemy przy tej pierwszej formie, uświęconej wielowiekową tradycją.

że nie pasuję do żadnego błogosławieństwa. Usilnie próbowałam się dopasować, że może chociaż z powodu jakiejś jednej cechy, która by pasowała, zostanę kiedyś błogosławiona, ale jej nie znalazłam. Najbliższym mi błogosławieństwem było o tych, „którzy łakną sprawiedliwości”, ale uznałam wtedy, że to mało. Ewangelia o Ośmiu Błogosławieństwach zasiała w mojej duszy dużo niepokoju. Cały czas zastanawiałam się, czy pasuję do któregośkolwiek z błogosławieństw. Najmniej pasowałam, moim zdaniem, do „ubodzy w duchu”. Zdawałam sobie sprawę, że nie chodzi tutaj o proste przełożenie, że kto jest biedny, ten jest błogosławiony, ale równocześnie nie w pełni rozumiałam przesłanie tego błogosławieństwa. Szczerze mówiąc, nigdy nie przywiązywałam wagi do sfery materialnej. Bogata nie byłam nigdy, pieniędzy nam zazwyczaj brakowało, a jak mieliśmy nadmiar, to natychmiast były na coś zużywane, w związku z czym żadnych zapasów nie było. Jeśli chodzi o władzę, to owszem, pełniłam i pełnię wiele funkcji, ale miałam też takie doświadczenie, że w połowie kadencji dyrektorskiej w poradni olśniło mnie, że marnuję na tym stanowisku swoje prawdziwe powołanie, więc złożyłam rezygnację z tej funkcji. Niemniej jednak ciągle się w tym błogosławieństwie odnaleźć nie mogłam, a głównie przeszkadzała mi myśl, która w moim odczuciu jest niezwykle ważna, że człowiek to jest wielka godność, że my jesteśmy dziećmi Bożymi i że bycie człowiekiem to jest bycie kimś wielkim i jak tu być jednocześnie kimś ubogim w duchu? Jak to się ma do siebie, skoro my jesteśmy tak ważni.

Byłam kiedyś na spotkaniu jednego z ruchów katolickich, gdzie wszyscy, którzy zabierali głos, mówili „jestem zerem, jestem nikim, sam nic nie mogę, nie mam na nic wpływu”. Wyszłam z tego spotkania absolutnie zdruzgotana, pomyślałam, że to nie jest dla mnie, ponieważ ja nie czuję się nikim, mam swoją godność. Zaszczepiła mi to moja mama. Dalej nie rozumiałam, jak pogodzić moją godność z byciem ubogim w duchu. Później, kiedy już zostałam psychologiem, to „ubogość” w duchu zaczęła mi się kojarzyć z niedorozwojem duchowo-emocjonalnym, ale znów byłam pewna, że Pan Bóg nie chce, żebyśmy tacy byli. Chce, żebyśmy dojrzewali i byli coraz bardziej bogaci w duchu, a nie ubodzy.

Te moje poszukiwania zostały nagrodzone. Kilka lat temu Bóg zesłał mnie i mojemu mężowi doświadczenie, wobec którego byli-

śmy kompletnie bezradni, a mianowicie moja córka zaczęła przechodzić kryzys wiary. Była wtedy studentką, no i pod wpływem chłopaka, z którym się wtedy spotykała, zaczęła odchodzić od Kościoła. Poddanie się takiej sytuacji nie jest w moim stylu, więc wszczęłam akcję nawracającą, rozmowy, wysyłanie córki do różnych księży, załatwianie jej spotkań, czytanie fragmentów różnych książek i następnie podsyłanie jej tych książek i „molestowanie” mojego męża, żeby też z nią rozmawiał. Sprawą oczywistą była codzienna modlitwa w intencji córki. Uważałam, że to szybko minie i że będzie jak dawniej. Niestety, mimo naszych zabiegów nasza córka miała kolejnego chłopaka, który w dalszym ciągu utwierdzał ją w jej przekonaniach i od Kościoła była coraz dalej. W jakimś momencie poczuliśmy się bezradni. To jest chyba to, co trzeba przeżyć, żeby poczuć, co znaczy „ubogi w duchu”. To uczucie było dla mnie okropne. Bezradność jest dla człowieka rzeczą straszną. W tej bezradności postanowiliśmy z moim mężem, że będziemy wspólnie przez sześćdziesiąt dni odmawiali cały różaniec. To nam zajmowało prawie godzinę dziennie. Czasami umawialiśmy się, że jakąś część odmówimy oddzielnie, ale generalnie spędzaliśmy ze sobą czterdzieści minut do godziny dziennie na wspólnej modlitwie. Stało się coś bardzo dziwnego. Odczuliśmy, że to doświadczenie ma jakiś sens. Ono jest dane po coś naszej bardzo katolickiej rodzinie, zaangażowanej w różne akcje i działania związane z Kościołem. W czasie tej modlitwy poczuliśmy się z mężem bardzo blisko siebie, to było doświadczenie naszej jedności, poczucie niezwykłej więzi. W czasie modlitwy mieliśmy oboje świadomość, że Bóg jest z nami. To nas uspokoilo i przestaliśmy tak nerwowo nawracać naszą córkę.

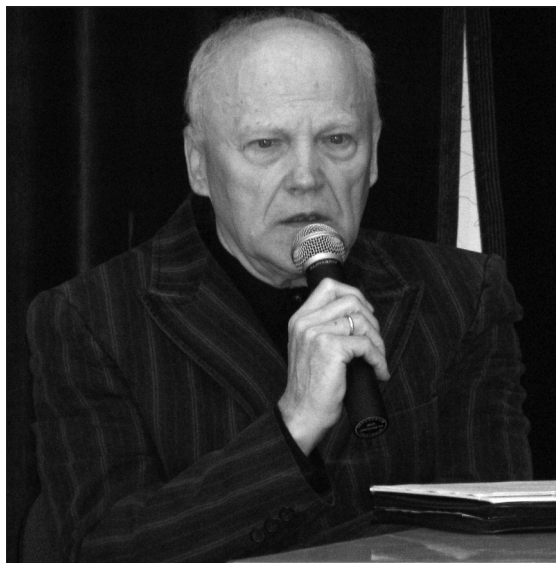
Córka dwa miesiące temu wyszła za mąż za zupełnie innego chłopaka i jest absolutnie nawrócona. Muszę powiedzieć, że jako znak traktuję to, że wybrała sobie jako czytanie na swoim ślubie „Osiem Błogosławieństw”, a mnie, mojemu mężowi i swojemu bratu „kazala” nauczyć się śpiewać „Osiem Błogosławieństw”, utworu, który wykonuje Niemen, Szcześniak i Natalia Kukulska, żebyśmy jej to zaśpiewali na ślubie. Jesteśmy śpiewającą rodziną, więc zgodnie z jej życzeniem nauczyliśmy się go i zaśpiewaliśmy.

Nie jest to koniec moich poszukiwań. Ostatnio ze zdumieniem odkryłam, czytając jedną książkę o małżeństwie, że ciągle jednak

taka całkiem uboga nie jestem, ponieważ mam potrzeby związane chociażby z moim małżeństwem i jestem do tych potrzeb bardzo przywiązana. Przyszło mi do głowy, czy mogę od nich odstąpić i w tym zakresie stać się świadomie „uboższa”. Dla mnie poszukiwanie sensu, rozwiązań to jest stały proces. Nigdy chyba nie będę do końca uboga, ale być może ciągle będę odkrywała coś nowego w jakiejś dziedzinie, gdzie mogę się stać uboższa.

### **Andrzej Skoczek**

Przez poprzednie siedem lat Konwersatoriów siedziałem na sali, wśród słuchaczy, gdzie krzesła wydają się być wygodniejsze niż tutaj, za stołem prezydialnym. Tutaj trochę mniej wygodnie się siedzi. Jednak pani Rektor się nie odmawia, więc zmobilizowałem się i zgodnie z konwencją naszych spotkań zadałem sobie pytanie, czy jestem ubogi w duchu? Aby na nie odpowiedzieć, miałem pokusę, aby sięgnąć do internetu, zebrać wszystkie informacje, które tam są na ten temat, i skompilować jakąś zgrabną wypowiedź. Wiedziałem jednak, że siłą i wartością naszych spotkań są własne świadectwa i że znacznie lepiej będzie, jeśli szczerze wypowiem to, co mnie spotkało w moim życiu.



Andrzej Skoczek

Starałem się w życiu wykonywać pewne rzeczy intuicyjnie, bezwiednie, stopniowo i bez zbytniego pośpiechu. Kierowałem się zawsze bardziej sercem niż rozumem. Jestem człowiekiem w wieku dojrzałym. Szczęśliwym mężem, ojcem i dziadkiem. W moich wspomnieniach sięgnę do roku 1964. Był to rok znamienny dla mnie, ponieważ w tym roku skończyłem studia, otrzymałem we Wrocławiu dyplom lekarza medycyny weterynaryjnej, a razem z nim czerwoną legitymację członka partii, która w moim ówczesnym środowisku była równie ważna jak dyplom ukończenia studiów. Wreszcie 26 grudnia tegoż roku przyjąłem sakrament małżeństwa w kościele św. Wojciecha na warszawskiej Woli. Rok później urodziła się nam córka Małgorzata-Anna, która w kilka miesięcy po urodzeniu przyjęła sakrament chrztu, a po latach pierwszą Komunię Świętą i sakrament bierzmowania, również w tym samym kościele. Po ślubie rozpoczęła się moja pięcioletnia tułaczka po Polsce w poszukiwaniu mojego miejsca w zawodzie, który nie okazał się moim marzeniem. Skorzystałem więc z nadarzającej się okazji i wstąpiłem do zawodowej służby wojskowej w korpusie oficerów – lekarzy weterynarii.

Tym, którzy tamte czasy pamiętają, powiem, że rozpoczął się dla mnie wtedy okres zupełnej duchowej ciemności. Przestałem chodzić do kościoła, nie żyłem zgodnie z Ewangelią i, co gorsza, nie odczuwałem nawet z tego powodu wyrzutów sumienia.

To odsunięcie się od Kościoła trwało do czasu, kiedy to „palec Boży” (jak to się u nas w rodzinie mówiło) skierował mnie do kratek konfesjonału w kościele Najczystszego Serca Maryi na placu Szembeka. To był pamiętny dla mnie sierpień 1979 roku. Wtedy zostałem służbowo przeniesiony do Warszawy i czekałem na mieszkanie w internacie dla personelu medycznego przy ulicy Garwolińskiej. Był to internat szpitala na Szaserów, blisko placu Szembeka i kościoła Najczystszego Serca Maryi. Tak rozpoczął się proces mojego powolnego podążania w kierunku światła w ciemnym tunelu, który mnie dotychczas otaczał. Wraz z przeniesieniem otrzymałem awans do stopnia majora, wcześniej obroniłem pracę doktorską i szczęśliwie zakończyłem misję pokojową pod błękitną flagą ONZ w Egipcie. Przeniesiony do dużego środowiska wojskowego, w szefostwie Służby Zdrowia w resorcie Obrony Narodowej stałem się człowiekiem bezimiennym, wtopio-

nym w liczne grono kadry wojskowej. Zacząłem ćwiczyć typową w owych czasach dwulicowość. Z jednej strony zdyscyplinowany oficer i fachowiec, a z drugiej strony, już w domu, wierzący i praktykujący mąż, zięć i ojciec. Pamiętam, że uczęszczaliśmy wówczas do kościoła św. Katarzyny na Służewie, ponieważ na Ursynowie, który miał być w zamyśle ówczesnej władzy dzielnicą bez Boga, nie było jeszcze kościołów. W kościele św. Katarzyny spotykaliśmy jednego z moich kolegów z pracy, który mieszkał i wciąż zresztą mieszka w tym samym domu. Chociaż pracowaliśmy wspólnie w szefostwie służby zdrowia, to udawaliśmy, że się nie znamy. Taką pełną konspiracją bez słów. Tam też poznałem ówczesnego wikariusza kościoła św. Katarzyny – księdza Stefana Kotwińskiego, z którym się zaprzyjaźniliśmy. Bywaliśmy u siebie, dawaliśmy sobie jakieś drobne prezenty. Wówczas nie było ciekawych książek w oficjalnym obiegu, a u księdza zawsze można było spotkać książki, których nie było na rynku. I podczas jednego takiego spotkania, przy kolacji i w czasie dłuższej pogłębionej rozmowy, wyraziłem się, że „jestem człowiekiem głęboko wierzącym”. Teraz, z perspektywy lat, widzę miałość, wręcz śmieszność tej wypowiedzi i płytkość mojej ówczesnej duchowości. W owym czasie dopiero powróciłem na łono Kościoła i wciąż jak trzcina na wietrze byłem poddawany kaprysom władzy ludowej, równocześnie ukrywając swoją wiarę. Była to wypowiedź z mojej strony zupełnie nieprzeżyłana i lekkomyślna.

Czas płynął. W tym zakłamaniu i dwulicowości żyłem aż do 1989 roku. Zdawałem sobie sprawę, że biorę na siebie wielką odpowiedzialność, uczestnicząc w kłamstwie i złych przejawach tego systemu, ale w ten sposób chciałem chronić rodzinę. W 1989 roku rozpoczął się nowy okres. Rok później awansowałem aż siedem szczebli w górę, na stanowisko szefa służby weterynaryjnej Wojska Polskiego. Mogliśmy już uczestniczyć w uroczystościach religijnych w mundurach, w Katedrze Polowej Wojska Polskiego, wspólnie z moimi kolegami z kadry kierowniczej, jak również w procesjach patriotyczno-religijnych. Rozpoczął się spontaniczny powrót wojska do Kościoła. Na różnych uroczystościach przystępowałem do Stołu Pańskiego wraz z kolegami, których nigdy nie podejrzewałbym o to, że podobnie jak ja ukrywali swoją wiarę.

Ten proces zrzucenia maski dwulicowości nie był łatwy i prosty. Dla wielu kolegów kończył się boleśnie, a nawet tragicznie. Podam trzy przykłady z wielu, które w swoim życiu przeżyłem.

Pierwszy to był pogrzeb mojego podwładnego, pułkownika Zygmunta, z udziałem kapelana i z asystą wojskową. Z racji stanowiska wygłosiłem nad trumną ciepłą mowę pożegnalną, ale bez akcentów religijnych. Po pogrzebie podszedł do mnie pan, który przedstawił się, że jest księdzem, krewnym zmarłego, i powiedział „proszę pana, ja z Zygmuntem wiele godzin rozmawiałem o Bogu. Zygmunt był człowiekiem wierzącym i praktykującym, ale bardzo bolał, że nie może tej wiary ujawnić, że nawet nie może pójść do kościoła”. Zdziwiłem się, gdyż byłem w dość zażyłych stosunkach ze zmarłym. Był to dowód, że nawet zaprzyjaźnieni ludzie tak do końca nie ufali sobie.

Drugi przykład to inny pogrzeb, znacznie starszego ode mnie pułkownika, również Zygmunta, w kościele sióstr Wizytek. Żegnałem zmarłego bardzo długą mową nad trumną. Był to bowiem zasłużony oficer, Syn Pułku, zaliczony do grona Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Mimo że wypowiedź ta była dłuższa, również nie użyłem akcentów religijnych, ponieważ z tym starszym kolegą pracowałem kilka lat biurko w biurko i wiedziałem, że nie ukrywał swojej antyreligijności. Nad otwartym grobem jego dorosły syn Wiktor poinformował nas, że ojciec w ostatnich dniach przed śmiercią, a umierał w szpitalu na Szaserów, poprosił o kapłana i przyjął sakramenty.

Trzeci przykład dotyczy mojego nieodżałowanego przyjaciela, świętej pamięci pułkownika Tadeusza, który przez pół roku umierał na raka z pełną świadomością nadchodzącej śmierci. Przyjeżdżałem do jego domu, kilkakrotnie rozmawiałem z nim, przekonywałem, żeby pojednał się z Bogiem. Byłem też u miejscowego księdza, który zachował się wspaniale, udzielając wszelkiej pomocy, ale niestety mój biedny kolega wciąż powtarzał „a co na to powiedzą sąsiedzi?” Zmarł w miejscowym szpitalu. Ze łzami w oczach i ściśniętym gardłem żegnałem się z nim w kościele garnizonowym. W swojej emocjonalnej wypowiedzi zwracałem się ku Bogu, prosząc o miłosierdzie dla mojego biednego przyjaciela, który wielu innym osobom pomagał, a sobie nie potrafił pomóc. To był ósmy dzień stycznia, piękna i mroźna pogoda, ale kościół mu-

siał być otwarty, aby pomieścić wszystkich ludzi zgromadzonych nad trumną. Modłę się za duszę zmarłego przyjaciela codziennie. Tymi przykładami chciałem zilustrować duchowe transformacje, które nie były wcale łatwe, a czasami kończyły się nawet śmiertelnymi ranami duszy.

W 1999 roku odszedłem na wcześniejszą emeryturę, mając 57 lat, aby umożliwić awans jednemu z kolegów, który po mnie miał objąć stanowisko. Postanowiłem, że nie podejmę żadnej pracy zarobkowej, tylko zajmę się rodziną, działalnością w parafii, rozwojem własnej duchowości, doksztalcaniem religijnym, bo należę do pokolenia, które nie uczyło się w szkole religii. W tym też czasie rozpocząłem razem z naszym wojskiem piesze pielgrzymki na Jasną Górę. Pamiętam te momenty, kiedy przechodziliśmy przez wieś i gospodynie ze łzami w oczach witały nas, wносиły żołnierzom najlepsze, jakie miały jedzenie, napoje, owoce, gładziły żołnierzy po mundurach. To były piękne i wzruszające chwile. Dla nas, starszych oficerów było to autentyczne świadectwo, że Bóg w ludzkich sercach nie umarł, a Polska nadal żyje wiarą i trwa blisko Kościoła.

W swoim tygodniowym rozkładzie zajęć zarezerwowałem jeden dzień, aby w ramach wolontariatu uczęszczać do domu opieki społecznej na zapleczu klasztoru Dominikanów na Służewie i opiekować się panem Tadeuszem, chorym na stwardnienie rozsiane. Był to mężczyzna w sile wieku, przykuty do wózka inwalidzkiego. Po jakimś czasie zacząłem tam chodzić codziennie. Tadzio tak się przyzwyczył do mnie, że ignorował salowe i tylko mnie pozwalał się kąpać. Sama kąpiel nie była dla mnie problemem, problemem było nachylenie się do jego stóp zmienionych grzybicą i obcinanie paznokci bardzo zniekształconych chorobą. Nie mogłem tego robić w rękawiczkach, ponieważ Tadzio był człowiekiem bardzo wrażliwym i inteligentnym i czułby się urażony. Mówię był, ponieważ po kilku latach niestety zmarł.

Od czasu przejścia na emeryturę rozpoczął się dla mnie proces odnowy duchowej. Zacząłem coraz więcej się modlić. Różaniec przestał być modlitwą polegającą na bezmyślnym odklepywaniu paciorków, stał się dla mnie darem Matki Bożej. Włączyłem różaniec w codzienną modlitwę. Tak samo Psalmy Dawidowe, których mądrość, głębię i piękno odkrywałem stopniowo. Po jakimś czasie 25 z nich, dla mnie najpiękniejszych, nauczyłem się na pamięć. Za-

cząłem przygotowywać artykuły do „Wiadomości Parafialnych”, do „Naszej Służby” i do „Życia Weterynaryjnego”. Te publikowane w „Życiu Weterynaryjnym” były zainspirowane pielgrzymkami do Częstochowy. Tam przy obrazie Matki Bożej, podczas Eucharystii, a później po wysłuchaniu bogatych w treść nauk naszego wspaniałego ojca duchowego księdza dr. Jerzego Brusily, a także po rekolekcjach na wałach jasnogórskich, przy rozważaniach Drogi Krzyżowej, Bóg pozwolił mi doświadczyć wielu niezapomnianych przeżyć duchowych.

W ostatnim czasie doświadczam szczególnie smutnych przeżyć spowodowanych trudnościami w naszej wspólnocie parafialnej, która jest dla mnie szczególnie droga. Staralem się bowiem, jak tylko potrafiłem, wpływać i przez 17 lat pogłębiać jej duchowość, publikując ponad 400 artykułów religijnych w „Wiadomościach Parafialnych”. Dużo się modłę, oddając Bogu to kolejne doświadczenie w moim życiu.

Wracam teraz do mojej wypowiedzi sprzed 30 lat, kiedy to powiedziałem, że „jestem człowiekiem głęboko wierzącym”. Teraz wiem, że tak nie jest. Moje obecne życie to ciągle dążenie, droga, którą będę kroczył do końca moich dni. Na pytanie „czy jestem ubogi w duchu” mogę odpowiedzieć, po spojrzeniu na dobro, jakim mnie Bóg obdarzył, i moją bierną postawę, że nie jestem i że nie będę, zapewne do końca życia. Swoją duchowość bycia ubogim w duchu będę zatem kształtował do ostatnich chwil życia, prosząc Stwórcę, aby Jego miłosierdzie było większe od moich win.

### **Wojciech Puzyna**

Chciałbym przedstawić państwu fragmenty pamiętnika mojego ojca – Czesława Puzyny. Świadeństwo jego życia jest wspaniałą ilustracją tematu dzisiejszego spotkania i bezpośrednio koresponduje z przygotowanym na nie cytatem z tekstu księdza Zygmunta Podlejskiego.

Czesław Maria Puzyna urodził się 8 grudnia 1920 roku. Jego pierwszy prawnuk – Szymon Maria – przyszedł na świat 8 grudnia 2003 roku, trzy dni przed odejściem pradziadka do Pana.



Wojciech Puzyna

### **Wspomnienia, lata 1920-2003**

Kochani, prosicie o wspomnienia. Czy potrafię opisać to, co było już tak dawno? ...

Jest rok 1921. Wojna się już skończyła. Na Polsce zatrzymała się krwawa rewolucja. Moi rodzice po tamtej stronie pozostawili wszystko, co było im drogie, bezkresne pola i lasy, gniazda rodzinne budowane przez pokolenia, całą wielowiekową tradycję, zakorzenioną w ziemi i we wspólnocie rodzinnej. Tam pozostały ich marzenia o świetlanej przyszłości i groby najbliższych: ukochanego kilkuletniego Włodka i Marysi, jeszcze niemowlęcia, rodziców i dziadków...

W pamięci pozostało mi zupełnie przypadkowe spotkanie z moim ojcem na kilka tygodni przed jego śmiercią. Mijaliśmy się właśnie w wąskim korytarzu prowadzącym do kuchni. Widząc mnie, ocknął się jakby z zamyślenia, zapewne nad tym, co stanowiło stałą treść tego, czym żył, na czym najbardziej mu zależało. Wysoki, wpatrując się ponad moją głowę w ciemną przestrzeń korytarza, powiedział, pełen niepokoju: „co z ciebie wyrośnie, mój synu...”

Kiedy umierał, miał 58 lat. Dopiero po wielu latach zacząłem rozumieć, co chciał mi powiedzieć w tym pytaniu-testamencie. Czy

dziś, chociaż mam już 82 lata, mógłbym odpowiedzieć pozytywnie na niepokój, jakie ono kryje? Myślę, że każdy z nas rośnie do końca – zawsze więc mamy jeszcze szanse, żeby przynosić owoce...

Rok po śmierci mego ojca zostaliśmy zaproszeni na wakacje do Narola. Zawdzięczaliśmy ten wyjazd naszej krewnej, siostrze Ludwice Bielińskiej – szarytce, która, znając naszą materialną sytuację, napisała do cioci Tity (Jadwigi Krotowskiej), czy nie zechciałaby nas przyjąć. Ciocia była bezdzietną już wdową, córką bardzo dalekiego naszego krewnego – Juliana Puzyny, właściciela Narola. Gdyśmy przyjechali, przywiezieni ze stacji eleganckim powozem zaprzęgniętym w parę cugowych pięknych koni, ze stangretem w liberii na koźle, powitała nas bardzo serdecznie, w otoczeniu służby wnoszącej nasze liczne bagaże do przeznaczonego dla nas gościnnego pokoju na piętrze...

Po stracie męża, nie mając dzieci, musiała być bardzo dzielna, by nie osłabiać sił dla obrony odziedziczonego bogactwa, które jak umiała, starała się pomnażać różnymi licznymi dobrymi uczynkami. Zastanawiałem się tylko, jak z takim bogactwem dóbr materialnych będzie mogła wejść do królestwa z przypowieści o uchu igielnym i wielbłądzie. Kiedy więc dowiedziałem się już wiele lat później, że jej ciało okryte w łachmany wyrzucono w drodze z transportu jadącego w 1942 roku na Syberię, pomyślałem, że rzeczywiście niezbadane są drogi, jakimi Bóg do tego królestwa nas prowadzi...

W nocy 19 kwietnia 1940 roku obudziło nas gwałtowne łomotanie do drzwi. Mieszkaliśmy wówczas w trójkę z mamą i bratem w willi „Słoneczna”, należącej do sanatorium „Odrodzenie”. Weszło dwóch rosyjskich gestapowców z tłumaczem. W drzwiach jeden z nich, kilkakrotnie czytając z kartki, sylabizował nazwisko „pu-cina”. Szybko się ubierałem, a oni robili rewizję. Szczęściem poprzedniego dnia wyniosłem radio, które było schowane na dnie szafy z ubraniami, bo by nas wszystkich zabrali.

Siedziba Gestapo w Zakopanem mieściła się w nazywanym później „katownią” Podhala pensjonacie „Palace”. Po przyjeździe i po wstępnym przesłuchaniu, na którym, jak się coś nie podobało, dostawałem po twarzy, przyprowadzono Staszka. Był błydy, wystraszony, zmaltretowany. Śledczy wypytywał, co nas łączy, jaki był cel przechodzenia przez granicę, gdzie go złapano, czy było to zorganizowane. Nad ranem zaprowadził mnie do piwnicy. Nie było

wtedy jeszcze przystosowanych na więzienie cel, była tylko niewielka komórka o powierzchni 10, może 12 metrów kwadratowych, bez okien, chyba po węglu, może kartoflach, w której przy ścianach, na betonowej podłodze stały trzy metalowe łóżka i w kącie kubek. Na podłodze leżała jakaś brudna szmata, chyba watowana, podarta kołdra. Gdyśmy weszli, otworzył drzwi kluczem i zapalił wiszącą pod sufitem lampkę. Zaskrzyphiały trzy łóżka obudzonych, zaspanych sześciu postaci. On na pożegnanie zacisnął mi jeszcze mocniej założone na rękach kajdanki, zgasił lampkę, klucz zazgrzytał w zamku, a na korytarzu słyhać było jego oddalające się kroki. Próbowałem ułożyć się jakoś na podłodze, trudno było jednak zasnąć z rękami na plecach i z resztkami domowego ciepła sprzed kilku godzin. Ale, rzecz dziwna, właśnie wtedy, tak krańcowa różnica sytuacji wywołała we mnie jakiś wewnętrzny wstrząs, przemianę, którą bym porównywał do sytuacji, kiedy rozgrzane do czerwoności miękkie żelazo wkłada się do zimnej cieczy, żeby się zahartowało. Chociaż towarzyszy temu syk, jakby stygnącego nagle, ale krystalizującego się wewnętrznie metalu, to staje się on w skutek tego zabiegu twardy jak stal.

W tej sytuacji, w której się znalazłem, otwierała się przede mną droga oczyszczenia ze wszystkich przywiązań mego „ja”, którą opisał w swoim mistycznym dziele „Droga na górę Karmel” św. Jan od Krzyża podczas swego pobytu w więzieniu w Toledo. Nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy, że Ten, który mnie po niej prowadzi, jest tak bardzo blisko.

Kiedy rano zapaliła się lampka zawieszona pod sufitem, zacząłem poznawać moich współtowarzyszy. Spośród nich najlepiej zapamiętałem Staszka Marusarza, mistrza olimpijskiego w skokach narciarskich. Domyślałem się, że także brał udział w przeprowadzaniu na Słowację i Węgry...

Do więzienia Montelupich w Krakowie dojechaliśmy w południe. Czy możecie sobie wyobrazić: po miesiącu zamknięcia w ciemniej komórce bez światła nagle otwarta przestrzeń bez granic, świeże powietrze, po drodze majowa zieleń, kwitnące sady, a w nowym więzieniu ogromna cela na drugim piętrze z kilkoma dużymi oknami wychodzącymi na ruchliwą ulicę miasta, indywidualne łóżka i masa nowych twarzy. Byłem oszołomiony i wręcz szczęśliwy.

Kilka dni później, wcześniej rano wyprowadzono nas na podwórze więzienia. Był 20 czerwca. Samochody ciężarowe czekały, żeby

nas zawieźć na dworzec. Zobaczyłem, że Staszek Marusarz macha do mnie ręką na pożegnanie z okna celi na drugim piętrze, w której byłem po przyjeździe z Zakopanego. Nie wiedziałem wtedy, że była to teraz cela śmierci, z której najbliższej nocy udało mu się uciec. Na dworcu dołączono nas do więźniów jadących z więzienia w Wiśniczu. Razem było nas 313. Byliśmy już drugim transportem jadącym do nowo organizowanego obozu. Pierwszy, z więzienia w Tarnowie, liczył 729 osób i przyjechał tam tydzień wcześniej. Na miejscu znajdowało się też już wtedy 30 Niemców, więźniów kryminalnych przywiezionych z innych obozów, przewidzianych do pełnienia różnych funkcji obozowych. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Krakowa, nie wiedzieliśmy jeszcze, dokąd jedziemy, powiedziano nam tylko, że jedziemy do pracy. Wprawdzie któryś ze strażników z palcem na ustach wymienił nazwę „Oświęcim”, ale mogła się ona kojarzyć co najwyżej z prowincjonalnym miastem gdzieś na Śląsku, a nie, jak później, obozem śmierci, jednym z największych w Europie. Wtedy, kiedy przyjechaliśmy na miejsce, nie było ani drutów kolczastych i wieżyczek strażniczych wokół obozu, ani bramy z napisem „Arbeit Macht Frei”. Miałem dziewiętnaście lat i wiarę, że pracując, rozwinę się fizycznie i dam sobie radę. Pamiętam, jak dwa dni po przyjeździe staliśmy rozebrani do naga wzdłuż długiego stołu, a stojący po jego drugiej stronie SS-man zabierał nam wszystkie posiadane rzeczy i zapisywał na liście nazwisko, a obok kolejny numer. Ja zostałem zapisany pod numerem 928. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z symbolicznej wymowy tego na pozór drobnego zdarzenia. Dopiero później, ubrany w biało-niebieski pasiak z naszytym od strony serca czerwonym trójkątem więźnia politycznego i tym właśnie numerem, zrozumiałem, że tu nie jestem już osobą o niepowtarzalnych, indywidualnych cechach wolnego człowieka, ale anonimową, pozbawioną wszelkich praw rzeczą.

Jednego z pierwszych dni pobytu szliśmy polną drogą, niosąc cegły, jedni w rękach po sześć cegieł każdy, inni po dwóch w bardzo ciężkich tzw. tragach z drewnianych, z grubych desek. Pamiętam, że idący za mną staruszek ksiądz, jak się później okazało Marian Morawski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny teolog, członek wielu towarzystw naukowych, krajowych i zagranicznych, slaniając się, nie mógł ich nawet pustych udźwignąć, a droga przed nami była długa i nie wolno się było zatrzymywać. O jej uciążliwości decydował nie tylko wysiłek fizyczny, upał czy

krzyki SS-manów. Cegły, które nieśliśmy, były przeznaczone na budowę pierwszego podręcznego krematorium. Była to pilna potrzeba chwili, zanim zadymią te większe. Ksiądz profesor Morawski zmarł już w dwa i pół miesiąca od przybycia do obozu. Ale nie on był pierwszy...

W miarę jak przybywały do obozu coraz to nowe transporty (najliczniejsze z Warszawy), na placu apelowym ustawiały się czworoboki ludzi z nowych bloków, a apele stawały się coraz dłuższe. Czekając, aż wszystkich więźniów policzą, a było nas z czasem kilka tysięcy, nieraz w deszczu, czy przytupując, kiedy było już bardzo zimno, staliśmy tak wsłuchani w odgłosy niemieckich komend. Na tym tle krótka, szeptana modlitwa, z czasem już sama intencja, kiedy już sił brakowało, wiązała to, co tu, z tym, co minęło i miało miejsce dwa tysiące lat temu. To był najważniejszy moment dnia, nadający sens temu wszystkiemu, co miało nastąpić. Chrystus był wtedy tak bardzo blisko nas, tak z nami zjednoczony.

Wieczorem przedostatniego dnia listopada wracaliśmy właśnie po całodziennym krążeniu w okolicach obozu i cieszyliśmy się, że już tylko apel i powrót do bloku, żeby wreszcie odpocząć, kiedy zawrócono naszą rolwagę (platforma) sprzed bramy obozu i zapędzono do pomocy jakiejś zapóźnionej grupie w noszeniu betonowych krawężników. Ważyłem wtedy niewiele ponad czterdzieści kilogramów, krawężnik około dwudziestu. Ani rusz podnieść go z ziemi. Wreszcie niosę, ktoś miłosierny pomaga, żebym nie upadł, rozwścieczeni SS-mani krzycząc, rozdzielają razy na lewo i prawo, bo chcą już wrócić na kolację do koszar. Wreszcie koniec, wracamy, apel. Wóz rolwagi na swoje miejsce odstawiony. Izba, w której śpiam. Szukam wzrokiem na ścianie, tuż nad podłogą, znaku mego miejsca, żeby się położyć. Jestem krańcowo wyczerpany. Jak przez mgłę do mojej świadomości zaczyna docierać, że kogoś szukają. W gwarze rozmów, które na chwilę jakby przycichają, coraz wyraźniej słyszę mój numer obozowy – 928. Przede mną stoi blokowy: „jutro zaraz po rannym apelu zgłosisz się do Rapport Führera. Pamiętaj!”. Co to miało znaczyć? Jeszcze wtedy nie wiedziałem...

Ciężarówka ruszyła niebawem – wtedy były jeszcze zakryte szczegóły dalszej mojej drogi przez życie. Dziś, kiedy piszę dla was o jej szczegółach, widzę, jak spełniały się w cudowny sposób marzenia, które snulem, leżąc na barłogu na obozowym rewirze. Jak bardzo

aktualne są dla tamtej chwili, kiedy opuszczałem obóz, słowa psalmu z niedzielnej brewiarzowej komplety: „A choćby tysiąc padło u boku twego, i dziesięć tysięcy u twojej prawicy, ciebie to nie spotka, bo Pan jest twoją ucieczką, za obrońcę wziąłeś Najwyższego”.

Z miejscowości, które mijaliśmy, wynikało, że jedziemy do Krakowa. Jak w filmie puszczonej w odwrotnym kierunku, po godzinie jazdy stanęliśmy przed bramą więzienia Montelupich. W kancelarii wpisano nasze personalia – przepisuję fragment dotyczący mojej osoby. Jest to jedyny dokument, który ocalał i który stanowił podstawę weryfikacji, że byłem w Oświęcimiu: „Puzyna Czesław, urodzony 8.12.1920, Warszawa. Był w więzieniu ..... Kraków, Montelupich. Numer więźnia 928 został nadany więźniowi w obozie koncentracyjnym Oświęcim dnia 20.6.1940 r. Transport Kraków-Tarnów”.

11 kwietnia, był to Wielki Piątek, przyszedł po mnie jeden z tłumaczy. Przy biurku siedział Weissmann, komendant Gestapo całego obszaru podhalańskiego. Przed nim segregator liczący chyba kilkaset stron różnych dokumentów, który przeglądał. Zobaczyłem w kilku miejscach pismo odręczne mamy, gdzie indziej brata. Spoglądając na mnie, w pewnym momencie zapytał: „Jak było w Oświęcimiu?” Sprężyłem się cały, jak przed uderzeniem. Po namyśle odpowiedziałem jednym słowem: „Ciężko”. Potem dali mi do podpisania przyrzeczenie, że nie będę nikomu mówił, co tu słyszałem i widziałem. Zszedłem do celi po rzeczy, nie wolno mi już było z nikim się porozumiewać.

Wyszedłem przez nikogo nie zatrzymywany z tego budynku, do którego mnie przywieziono przed niecałym rokiem. Skręciłem w prawo, poza bramę ogrodzenia. Z przeciwka wracał właśnie ze spaceru z żoną mój śledczy, który podczas pierwszego przesłuchania bił mnie po twarzy. Prowadził przed sobą wózek z dzieckiem. Wydawali się dobranym i szczęśliwym małżeństwem. Nie wiedząc, jak się zachować, minąłem ich prędko.

Moje myśli kłębiły się w głowie pod nadmiarem wrażeń. Minąłem kościół na Krupówkach, a powinienem był tam podziękować za cud ocalenia, ale nie mogłem się zatrzymać, jak bym przed czymś uciekał. Właśnie był Wielki Piątek, południe, Chrystus został już osądzony i prowadzono go na Golgotę. A Barabasz uciekał, nie oglądając się za siebie, unosząc w swoim sercu obraz Jego krzyża.

Wreszcie nowe miejsce pobytu dla mnie znalazło się na wsi, w sporym mająteczku Żabia Wola, blisko trasy z Warszawy do Katowic. Mój pobyt w Żabiej Woli nie trwał jednak długo, a przerwały go nieprzewidziane okoliczności. W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Żabiej Woli, w Grójeckiem, leżał majątek Wola Pogroszewska, należący do państwa Jaruzelskich, a Helena, żona Władysława Jaruzelskiego była córką doktora Śląskiego. Prócz żony Władysława – Heleny Jaruzelskiej, mieszkała na stałe jej siostra Zofia – Zonia. Mieszkał tam też daleki ich krewny, którego uczyłem matematyki i fizyki – Zbyszek Cybulski, późniejszy aktor.

W majątku dużo też było osób, które – tak jak ja – ukrywały się, oraz młodzieży, która w sposób mniej lub bardziej zorganizowany uczestniczyła w zbrojnej działalności sabotażowej. Wtedy między innymi w sąsiadującej z Wolą Pogroszewską Małej Wsi poznałem zaangażowanego w taką działalność Edwarda Potworowskiego, po wojnie mego kolegę z Politechniki Gdańskiej, a później prowincjała polskich dominikanów. Za jego pośrednictwem tego rodzaju działalność dywersyjna objęła i mnie. Proboszcz naszej parafii, który był szefem wywiadu AK na ten teren, wyznaczył mnie swoim zastępcą, z zadaniem obserwacji działalności Gestapo, w związku z przygotowywaną likwidacją niektórych jego członków...

Ale też ćwierć wieku miało od powstania zakładu akustyki, który zorganizowałem od podstaw. Cały ten czas byłem jego kierownikiem. Odznaczono mnie, co prawda, Krzyżem Kawalerskim w uznaniu osiągnięć zakładu, ale mnie coraz trudniej było opanować nową technikę pomiarów, opartą na coraz powszechniej stosowanej aparaturze elektronicznej, umożliwiającej statystyczną obróbkę wyników, a więc i większą ich dokładność.

I właśnie wtedy zdarzyło się coś, co wywróciło to wszystko, co było dotychczas, przewartościowało moje poglądy na życie, które dotąd prowadziłem, uaktywniło moją działalność zupełnie w innym niż dotąd kierunku. Zrozumiałem, że trzeba odejść, bo moja misja skończona i swoje zadanie na moją miarę wykonałem, nie jestem już potrzebny. Trzeba odejść, chociaż tę swoją pracę tak bardzo pokochałem, chociaż zżyłem się z dziesięcioosobowym zespołem mego zakładu prawie od początku. Trzeba odejść, bo już czeka na mnie nowe powołanie, bo już błyszczą nowe cele i wyrastają nowe obowiązki. Żebym tylko chciał głowę odwrócić, żeby tam iść.

Był rok 1982, kiedy wyruszyłem w drogę. Nie wiem, czy potrafię o tym opowiedzieć dziś, ale wtedy ktoś, jakby wodząc moją ręką, spisywał szczegóły tej drogi językiem niedzisiejszym. Spróbuję. Niech wybrane fragmenty z tamtych zapisków, ułożone chronologicznie, znaczą jej etapy.

Była wiosna. Miałem wyjechać z Anną Marią, najstarszą, wówczas czteroletnią wnuczką, żeby się nią opiekować. W tym roku mieliśmy jechać na kilka tygodni do Pniew. Matka Górska, która była wówczas Matką generalną zakonu, musiała na to wyrazić zgodę, bo klasztor w Pniewach był domem formacyjnym, zamieszkałym tylko przez siostry. Sióstr było kilkadziesiąt, a na rozległym terenie ich ogrodu, położonego nad jeziorem, były uprawiane warzywa oraz kwiaty na sprzedaż i na nasiona, jak również znajdowało się gospodarstwo mające zapewniać samowystarczalność żywnościową domu.

Był wieczór. Anna Maria w swoim łóżeczku już śpiąca – i spotkanie w ogrodzie na ścieżce wzdłuż płotu. „Siostró – spytałem – i co dalej?” „Trzeba bliżnim służyć”. To było wszystko.

Już dwa miesiące później zrobiłem pierwszy krok. Z pośpiechem wyruszyłem pieszo w drogę do Częstochowy, mimo że taką formę pobożności uważałem dotąd za zbyt dewocyjną. Ta droga stała się dla mnie wielkim przeżyciem. Rozśpiewany żywy różaniec złożony z paciorków – z grup oznaczonych wszystkimi kolorami tęczy, uśmiech, życzliwość, wychodzenie naprzeciw drugiemu, świat wspólnoty rządzącej się prawami królestwa, jakże inny od manipulowanej prowokacjami i kłamstwem atmosfery skłócenia, wzajemnych niechęci i walki w otaczającej rzeczywistości.

Dla mnie najtrudniejsze było codzienne ranne wstawanie. Jeszcze było szaro – zwijanie namiotów jeszcze wewnątrz ciepłych, ale potem, jednego z następnych dni, spotkanie na ściernisku po sprzątniętym już zbożu, gdzie pośrodku stał już prosty stół, a wokół niezmierzone morze głów. Na horyzoncie czarne pasmo lasu i Hostia podniesiona ku górze wysoko na tle wschodzącego słońca, i głów pochYLENIE tam, gdzie już wszyscy nakarmieni szykują się, żeby ruszyć dalej w drogę.

Problemem każdego dnia drogi były, oprócz śpiewu i modlitwy, wygłaszane prelekcje o różnym charakterze, dostosowane swoją treścią do zainteresowań danej grupy osób. W mojej grupie wypowiedział się między innymi dość znany polityk katolicki, obecnie se-

nator, Andrzej Wielowieyski, który mówiąc o wychowaniu młodzieży, zacytował ciekawy test, mający wykazać, że stosunki pomiędzy dwojgiem młodych ludzi dojrzały już do decyzji założenia rodziny. Ponieważ niektórym z Was może on się przydać, cytuję trzy pytania tego testu, które zapamiętałem: Czy bez obrzydzenia będę jadł razem z tego samego talerza i tą samą łyżką? Czy będę się cieszył, jeśli dzieci z naszego ewentualnego małżeństwa będą podobne do mego współmałżonka? Czy nie przyjdzie mi na myśl, aby otwierać i czytać korespondencję, którą on będzie otrzymywał?

Podczas innego z etapów pielgrzymki i ja zabrałem głos. Oповідаłem o moich przeżyciach oświęcimskich, starając się wydobyć z mego – i nie tylko mego – tam pobytu głębszy, nieprzemijający sens ludzkiego cierpienia. Nazywając Oświęcim moją miłością, chciałem dać świadectwo, że mój udział w pielgrzymce jest podziękowaniem za to, że stamtąd wyszedłem, ale też równocześnie podziękowaniem Bogu, że tam byłem, że cierpienie stało się i moim udziałem.

Do Częstochowy pielgrzymowałem przez kolejne trzy lata.

Równoległe do pielgrzymek, kolejnym etapem drogi, którą zacząłem realizować, były coroczne dni skupienia. Trzeba było się poważnie zastanowić, co dalej. Jeszcze byłem pełen sił, a cel, który sobie postawiłem, wymagał bardzo zasadniczego przewartościowania motywacji mego postępowania, przekwalifikowania do nowych zadań. Pojechałem więc na kilka dni do benedyktynów, do Tyńca. Tam, włączony w rytm codziennej modlitwy, biorąc udział we wspólnych posiłkach tej wspólnoty, miałem też czas na indywidualne rozmowy z ojcem Wawrzyńcem – opiekunem gości, w czasie dalekich spacerów w okolicach klasztoru. Kiedy tam byłem, trochę też pisałem o tym, co się ze mną dzieje. Niech fragmenty tych zapisków oddadzą atmosferę dni tam spędzonych i będą świadectwem tego, co wówczas zaszło.

„Panie, czuję, że mnie wołasz po imieniu. Pragnę się wsłuchiwać nawet w najcichsze brzmienie Twego głosu. Dlatego tu jestem, bo właściwie Ty mnie tu przyprowadziłeś, żebym zdał sobie sprawę z mojego stosunku do Ciebie, usłyszał i zrozumiał, co mam czynić dalej. Przecież Ty jesteś nieskończony, przerastający wszystko, co można sobie wyobrazić, a ja – pyłek nic nieznaczący. Gdy spojrzę wstecz na swoje życie, drogę, którą mnie prowadziłeś w blasku Twoich łask tysiąca – siedłem w tradycyjnym szablonie

bycia w niedzielę w kościele, wychowania dzieci, żony, domu. Wszystko, jak Pan Bóg przykazał. I gosposia – ni to gorąco, ni zimno – jakoś to było, jakoś toczyło się dalej. Ale teraz, wobec tego co we mnie się dzieje, wobec ziarna, które zasiane chyba tylko Twoją ręką, jakieś to wszystko, co dotychczas było, wydaje mi się bezbarwne, coraz mniej znaczące. Panie, Ty widzisz wszystko, Ty wszystko wiesz i to też, że przyszedłem, żeby szukać Ciebie. Myślę, że przede wszystkim powinienem modlić się i złożyć przed Tobą wszystko, co posiadam: siebie, moją drogę i wszystkie swoje sprawy i uczucia także. Wszystko to Twoje – zechciej prowadzić, weź. Cóż może więcej powiedzieć pył wobec nieskończoności? Jak to cudownie, że jest nią miłość właśnie.

Godziny mijają na rozmowie z Tobą i coraz spokojniejsze serce, gdy oddałem wszystko. To chyba wieczność słyszę, kiedy klęczę przed Tobą, łza szczęścia spada cicho na posadzkę. A w nocy, w mrocznym, już pustym kościele, echo modlitw tych, co tu przedtem byli, łączy się z równym rytmem bicia mego serca.

Ten brak równowagi pierwszego dnia, nieuporządkowanej jeszcze żarliwości uczucia, przechodzi powoli podczas kolejnych dni w odwiedzanie Tego, dla którego żyję, wtedy, kiedy odczuwam potrzebę serca, w rytmie tej właśnie potrzeby. A ciągle chcę Mu coś powiedzieć. Na przemian więc czytam Ronsarda, krótki spacer po ogrodzie – i znów ta rozmowa, prowadzona gdzieś ponad czasem i miejscem, gdzie klęczę. I tylko zarys sylwetki ołtarza, lampka się świeci wysoko nad głową, zaskrzypi klęcznik, a ja na granicy tego ciepła, w blasku – i w coraz czarniejszej czeluści mrocznego kościoła, która otacza mnie zewsząd. Tej ciemności się boję... Daj mi ufność, Panie, wiarę i siłę, bym nie zbłądził, bym szedł każdego dnia od początku”.

Charakterystycznym, bardziej uroczystym fragmentem dnia w klasztorze był wspólny obiad. Wielka gotycka sala, jak w średniowiecznym zamku, wzdłuż ścian kilkudziesięciu ojców i braci siedzących na ławach przy prostych, dużych stołach, pośrodku sali stół dla gości, pod ścianą szczytową stół dla opata. Oto fragment wspomnienia:

„Wszyscy milczą. Chór modlitwy jedzenie zaczyna. Opat u szczytu sali uderzeniem drewnianego młotka dzieli czas posiłku spleciony trzema czytaniem z Pisma Świętego, wybranej lektury

duchowej (Świderkówna) i reguły świętego Benedykta. Nikt nie zaczyna jedzenia, póki Opat nie zacznie. Wszyscy pogrążeni w zadumie, poważni, cisi, wszyscy w czarnych habitach, siedzą milcząco mnisi. On jest ojcem wspólnoty – pierwsze posłuszeństwo i szacunek. Przed jedzeniem obiadu bywa nabożeństwo, a przed wejściem do sali goście są przedstawiani. Później siedzą przy oddzielnym stole i chociaż cały rytuał jak w dyplomatycznym protokole, w zadumie pomiędzy daniami sama modlitwa na usta się ciśnie, mimo że mnogość i rodzaj potraw nie jest z przydziałowych kartek oczywiście. Reżim wspólnoty ostry, jak było to w VI wieku, kiedy to „módl się i pracuj, człowieku” było (a i jest dotąd) główną regułą i zasadą. Chociaż anielskie spojrzenie czasem błysnie za tej powagi fasadą”...

I ostatni fragment z pobytu w Tyńcu:

„W końcu ostatni dzień, ostatnia rozmowa z ojcem Wawrzyńcem, opiekunem gości. I tak, jak to wszystko, jakieś dziwne, zupełnie w innym niż normalnie wymiarze. Padło pytanie: jak być pokornym? Ja go o to spytałem, co robić, jak osiągnąć pokorę, bo jest ona finałem moich dni skupienia. Ale on się spieszył, ja także, tymczasem przecież cały traktat można by spisać o pokorze, a czas nagiął. Staliśmy więc w milczeniu, on mi wręczył świętego Benedykta regułę zakonną, chciał mnie w rękę pocałować, a gdyśmy się uściśnęli, prosił o modlitwę. Tak się rozstaliśmy. Tak się też rozstałem z Tyńcem, którego kaplica w dużym kościele, surowość refektarza i śpiew gregoriański zostaną w mej pamięci zawsze. I ta o pokorze rozmowa także, chociaż jakby jej nie było”.

W roku następnym, w adwencie, a później w kolejnych pięciu latach odbywałem kilkudniowe indywidualne zamknięte dni skupienia, tym razem już nie w Tyńcu, ale u dominikanów na Freta, w Warszawie. Tu było bliżej do domu, znałem też ojca Krzysztofa Kasznicę, kapelana warszawskiego KIK-u, a przede wszystkim ojca Walentego, Edzia Potworowskiego, mego kolegę z Politechniki Gdańskiej, którą kończyliśmy razem, a który teraz był prowincjałem dominikanów w Polsce.

W porównaniu z Tyńcem tu, na Freta, była zupełnie inna atmosfera. Nie było takiej benedyktyńskiej obrzędowości i kontemplacji przeszłości, związanej z zadaniami, które ten zakon pełnił. U benedyktynów było to tłumaczenie z języków oryginałów ksiąg

liturgicznych – między innymi mszałów i brewiarzy – czy śpiew gregoriański. U dominikanów, będących zakonem kaznodziej-skim, był to żywy intelektualny kontakt ze światem współczesnym. Te różnice świetnie było widać nawet zewnątrz, na przykład w refektarzu, który na Freta przypominał raczej stołówkę, w której wzdłuż jednego podłużnego stołu siedzieli razem i przeor, a nawet prowincjał, a poza odmawianą wspólnie modlitwą zarówno ojcowie, jak i goście obsługiwali się sami, rozmawiając i dyskutując na różne tematy bieżące. Pamiętam, że poruszyłem kiedyś sprawę teologicznej poprawności słów modlitwy: „A Słowo ciałem się stało” – czy dalej powinno być „zamieszkało między nami” – a więc nadal mieszka, czy „mieszkało” – więc tylko kiedyś, dawniej było z nami. Zdania na ten temat były podzielone. (Według mnie powinno być „zamieszkało”).

Dni skupienia u dominikanów na Freta zaowocowały konkretnymi ustaleniami. Doszedłem do wniosku, że najwyższy już czas odejść z Instytutu, w którym przez przeszło trzydzieści lat moje życie toczyło się według pewnego ustalonego, stałego rytmu przyzwyczajęń i wzajemnych powiązań. Nowe cele i obowiązki, które chciałybym realizować, wymagają pomocy z zewnątrz, żeby nie stracić przy takiej zmianie równowagi i właściwego kierunku. Dlatego też na ręce ojca Krzysztofa złożyłem podanie o przyjęcie mnie do nowicjatu świeckiego zakonu dominikanów. Oczekując na odpowiedź, zacząłem się rozglądać za tematem odpowiednio poważnym, który mógłbym podjąć na zakończenie mojej pracy w Instytucie.

W ostatnich latach coraz bardziej interesowały mnie zagadnienia związane z wpływem środowiska na samego człowieka. Kontakty z zakładem dla niewidomych w Laskach zwróciły moją uwagę na wyjątkową sprawność i orientację niewidomego w poruszaniu się w terenie, a zapoznanie się z literaturą z tej dziedziny utwierdziło w przekonaniu, że akustyk może tu mieć coś do powiedzenia. Ponieważ wyjaśnienie mechanizmów związanych ze spostrzeganiem przeszkody przez niewidomego wymagało wielu eksperymentów, podjęcie takiego tematu właśnie mi odpowiadało. Rozpocząłem badania. Przeprowadziłem bardzo dużą ilość eksperymentów z odpowiednio dobranymi grupami niewidomych, badając różne rodzaje przeszkód w różnych warunkach odbioru sygnału akustycznego, stanowiącego źródło informacji o obecności

przeszkody. Wyniki przeszły najśmielsze moje oczekiwania. Na wszystkich wykresach linia prosta wskazywała na pełną zgodność wyników z przeprowadzonych badań z prawem Webera-Fechnera. Opracowałem je na 245 stronach książki pod tytułem „Wpływ własności akustycznych środowiska na orientację przestrzenną” (PWN 1983) i napisałem na ten temat kilka artykułów w „Archiwum Akustyki” (1983). Ponieważ uznałem, że uzyskane wyniki pozwalają na wyjaśnienie i uporządkowanie niektórych mało znanych zjawisk na pograniczu odbioru fal dźwiękowych przez człowieka, złożyłem wymienioną książkę w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk jako pracę doktorską. Promotorem pracy zgodził się być profesor Ignacy Malewski, a recenzentami profesorowie Ryffert z Poznania, Rakowski z Warszawy i Paluszkiwicz też z Warszawy. Obrona odbyła się w 1983 roku, ale dla mnie już wtedy ona, razem z całą moją dotychczasową pracą, była mało ważna. Posłuchajcie, co tego dnia wieczorem zapisałem w moich osobistych notatkach:

„Dziś obroniłem pracę doktorską. Znow kolejny papierek nic nie znaczący, nie zmieniający w niczym tego, czym jestem, mojej wiedzy, a tym bardziej mego ja przed Bogiem. To jeszcze jedno przedstawienie. Staralem się w nim dobrze zagrać swoją rolę. Nie chodziło mi o oklaski, ale o pozostawienie w pamięci naszych dzieci pewnej postawy i wzorca zachowań, może też mego sposobu patrzenia na świat. Czy odczytały, że to wszystko jest tak mało warte, a równocześnie, że aby osiągnąć prawdziwą wiedzę, trzeba nieraz całego życia?...”

Dwa tygodnie potem dyrektor naczelny uroczyście pożegnał mnie, dziękując za wieloletnią pracę w instytucie i gratulując uzyskania stopnia doktora nauk technicznych. Natomiast z Freta od dominikanów dostałem pozytywną odpowiedź na moje podanie w sprawie przyjęcia do nowicjatu.

Kłęczniki były pokryte na biało jak do ślubu. Przed samym ołtarzem ojciec poświęcił szkaplerz, pasek i świecę. Kiedy klęcząc, trzymałem ją zapaloną, jej płomień odbijał się akurat od Twojej twarzy, Ostrobramska Pani z obrazka, który otrzymałem, a który leżał przede mną na oparciu klęcznika, i na zawsze pozostanie w mojej pamięci Twój wzrok we mnie utkwiony w żywym płomieniu światła. To było wtedy, kiedy na pytanie, czy chcę być przyjęty, odpowiedziałem: tak.

Drogi Twoje, Panie, jakże są tajemnicze, jak bardzo inne od tego, co możemy sobie wyobrazić. Prosiłem o drogę, żeby iść za Tobą, prosiłem o to, byś mnie nauczył postępowania zgodnego z formacją białego habitu, a ten mój nowicjat dominikański znaczysz służbą w szpitaliku w Laskach u pani Stanisławy i dajesz łaskę opieki nad Alusiem, który tak bym pragnął, żeby znalazł drogę do Ciebie.

I tak odbywam mój nowicjat. Ja, świecki członek Twojego kościoła w miesiącach synodu poświęcanego laikatowi. Odbywam nowicjat, przeżywając to, co było w Twoim domu w Nazarecie. Było tak, jak po Twoim urodzeniu – było pranie i suszenie pieluszek, przewijanie, karmienie, gotowanie i zakupy, i Ania chora, cierpiąca i bezradna jak dziecko. I Ty obecny z nami w sercu. A kiedy przyszła nas odwiedzić twoja, Alusiu, matka chrzestna, siostra Teresa – urszulanka, siedzieliśmy po obu stronach twojego łóżeczka i zmówiliśmy, kiedy spałeś, drugą radosną tajemnicę różańca – odwiedziny u świętej Elżbiety, żebyś wyrósł na dobrego, mądrego, dzielnego człowieka.

Ale biały habit to też posiadanie i stałe pogłębianie wiedzy teologicznej, aby móc się nią posługiwać w spotkaniach z innymi. Zapisalem się więc na wykłady, studium teologii katolickiej dla świeckich przy Papieskim Wydziale Teologii UKSW w Warszawie. Było to cenne uzupełnienie dla mojej formacji nowicjackiej. Kiedy po raz pierwszy przyszedłem na wykład, sala była pełna – było nas wtedy około stu osób. Usiadłem w ostatnim rzędzie między dwiema paniami. Jedna była krawcową od przymiarek w domach „Centrum”, druga instruktorem kulturalnym z któregoś z podwarszawskich osiedli. Cóż mogę powiedzieć po trzech latach studiów i uzyskaniu dyplomu ukończenia? Że chyba najbardziej dla mnie z prowadzonych tam wykładów interesujący był ciąg historyczny obejmujący analizę i interpretację poszczególnych ksiąg Pisma Świętego, zwłaszcza Starego Testamentu (Ksiąg Mądrościowych) oraz – w ciągu filozoficznym – chrześcijańska wizja świata i chrześcijańska filozofia człowieka, antropologia. Reszta przedmiotów, zwłaszcza teologicznych, porządkowała co prawda ogólne pojęcia doktrynalne związane z nauczaniem Kościoła, jednakże w moim odczuciu była trudna do rozumowej akceptacji i zbyt oderwana od ziemskiej rzeczywistości. Brakowało też tak na owe czasy potrzeb-

nej wiedzy o społecznej nauce Kościoła. Ale ogólnie rzecz biorąc, nie był to czas stracony, a wiadomości zdobyte na studium często mi się przydają. Jeżeli pielgrzymki, dni skupienia, nowicjat, studium traktować jako przygotowania do zmiany, a przykład, naśladowanie osób, których postawa i świętość życia pobudziły do tego, żeby innym służyć, to realizację tych nowych zadań zapoczątkował mój telefon na Piwną: „proszę siostry, mam trochę wolnego czasu, może mógłbym się na coś przydać?” Na odpowiedź czekałem bardzo długo, niemal zapomniałem, że jeszcze na nią czekam, ucieszyłem się więc, kiedy jedna z siostr z Piwnej dała mi telefonicznie znać, że niewidomy – był nim Andrzej Adamczyk, który ukończył szkołę w Laskach – potrzebuje lektora.

Muszę przyznać, że idąc po raz pierwszy na spotkanie z panem Andrzejem, miałem trochę tremy, związanej z niepewnością co do tego, jak ułoży się nasza współpraca. To było dla mnie bardzo cenne doświadczenie, kiedy podczas naszych pierwszych spotkań pan Andrzej robił korekty tekstów brajlowskich opartych na czarnodrukowych podręcznikach szkolnych, które czytałem. Z czasem, kiedy się bliżej poznaliśmy, coraz więcej czasu poświęcaliśmy lekturom bieżących czasopism, książek. Ponieważ po zakończeniu pracy doktorskiej w Instytucie Badań Jądrowych PAN pan Andrzej zamierzał rozpocząć pracę w Laskach na stanowisku dyrektora szkoły, w naszych spotkaniach zaczęły przeważać sprawy związane z różnymi programami szkół i analizy różnych projektów ich rozbudowy w Laskach. W ten sposób zbliżyłem się do Lasek, które też zacząłem częściej odwiedzać.

W tym czasie w szpitaliku laskowskim mieszkała najbliższa nasza krewna, moja ciotka Krystyna Skrzydlewska, córka mego stryjecznego dziadka, z domu Puzynianka, matka siostry Almy. Kochana, pełna życia, starsza już pani. Kiedy ją odwiedzałem, swoimi opowiadaniem sprzed pierwszej wojny światowej wprowadzała mnie, urodzonego przecież po jej zakończeniu, w niepowtarzalną atmosferę z życia dworów litewskich – świata, który – jakże inny od dzisiejszego – już bezpowrotnie przeminął. Ona z kolei lubiła, kiedy w czasie tych odwiedzin czytałem jej głośno.

Została mi w pamięci, niedługo przed jej śmiercią, ostatnia nasza lektura, jaką była „Pieśń nad pieśniami” – zachwycający, jakże piękny hymn miłości i tęsknoty. Gdy odeszła – był to rok 1984 –

uświadomiłem sobie, że nie można sobie było wyobrazić lepszego pożegnania przed spotkaniem z Oblubieńcem, tam, po drugiej stronie, gdzie na nas czeka.

W szpitaliku ten sam pokój zajęła chora na SM pani Stanisława Myrtek, wieloletnia wychowawczyni laskowskiego przedszkola. Gdy ją poznałem, ta straszna choroba nie była jeszcze tak zaawansowana. Pani Stanisława, choć z trudem, ale poruszała się po pokoju. W ciągu następnych kilku lat postępy tej choroby doprowadziły jednak do całkowitego paraliżu, który – mimo swego impulsywnego charakteru – z cierpliwością znosiła. W czasie już teraz regularnych spotkań, które z biegiem czasu przerodziły się w przyjaźń, opowiadała mi o swojej młodości, o rodzinnym Kłobucku, a starając się mi odwdziaczyć, darzyła uprzedzającą troskliwością, co było przyczyną śmiesznego incydentu. Mianowicie, kiedy za jej pośrednictwem z darów, które wówczas napływały do Lasek, dostałem bardzo piękny płaszcz i jechałem w nim tramwajem, jakiś pan stojący obok spytał mnie z uśmiechem, czy to nie ja pałowałem go na Placu Zamkowym. Okazało się, że płaszcz, który dostałem, był płaszczem policyjnym.

Panią Stanisławę odwiedzałem do końca jej życia. Zmarła w środę popielcową 1989 roku.

W szpitaliku, oprócz osób świeckich związanych wieloletnią pracą z Zakładem, przebywało dość dużo starszych lub przewlekle chorych sióstr, które w świetlicy szpitalika, a przy ładnej pogodzie na powietrzu, w lesie koło szpitalika modliły się razem lub słuchały czytanej lektury. Pomyślałem wtedy, że ja może mógłbym coś od siebie powiedzieć.

Tematem takiego pierwszego spotkania był Oświęcim. Wybrałem go dlatego, że jest to dla mnie symbol ludzkiego cierpienia, które może występować w różnej postaci; może nim być również choroba czy niedołężność starości. Chociaż bronimy się przed nim, każdy w jakimś stopniu przeżywa swój własny Oświęcim. Wtedy Chrystus na krzyżu tu, w szpitaliku jest tak bardzo bliski, jak był tam, w obozie.

A potem powoli byłem już stałym gościem spotkań szpitalikowych, które co tydzień gromadziły przez szereg lat po kilkanaście osób. Treścią tych spotkań były przede wszystkim lektury o tematyce dostosowanej do zainteresowań lub proponowanej przez słu-

chaczy. W pierwszym okresie były to życiorysy zarówno świętych lub błogosławionych, aktualne dla danego tygodnia roku liturgicznego lub imienników z kręgu osób uczestników spotkania, jak i też życiorysy takich ludzi, jak Schweitzer czy też Korczak, którzy formalnie nie zostali wyniesieni na ołtarze. Dużym zainteresowaniem cieszyła się też zawsze tematyka wschodnia takich autorów, jak Czapski, Siostra Ciszek czy ks. Fedorowicz. Urozmaiceniem spotkań stała się muzyka poważna, odtwarzana na specjalnie dla szpitalika zakupionym sprzęcie, poświęcona wybitnym kompozytorom lub odtwórcom.

Pielgrzymka Ojca Świętego i po niej powstanie KOR i „Solidarności” spowodowały, że podczas naszych spotkań nie było końca pytaniom i dyskusjom na aktualne tematy związane z sytuacją w kraju i na świecie. Zmieniała się też tematyka czytanych lektur, a wojnom na górze zaczęły towarzyszyć wzorce miłości ojczyzny głównych bohaterów „Trylogii” czy też strofy „Pana Tadeusza”. Z czasem jednak coraz więcej stałych uczestników naszych spotkań ubywało, a zapełniał się nimi laskowski cmentarzyk. Teraz, kiedy już rzadko bywam w Laskach, staram się zawsze odwiedzić moich Przyjaciół z tamtych szpitalikowych spotkań – i tych, co żyją, i tych, których groby znaczą krzyże na laskowskim cmentarzu. I zawsze wracam serdeczną myślą do tych spotkań, co nie przeminęły, ale trwają w wieczności, bo jak pisze Norwid: „I żadna łąza i żadna myśl, i chwila, i rok nie przeszły, nie przepadły, ale idą wiecznie. I nie ma grobów... oprócz w sercu lub w sumieniu, I nie ma krzyżów... oprócz na zimnym kamieniu, Albowiem krzyż jest ż y c i e...”.

I tyle jeszcze innych spotkań z tymi, którzy już odeszli: siostra Bonifacja, z którą mówiliśmy brewiarz, Jerzy Olszański, siostra Cecylia z laskowskiego szpitalika.

Czy to już koniec wspomnień? Niech strumień czasu trwa, toczy się dalej. Jedni odchodzą, dzieci rosną, stają się rodzicami, rodzą się wnuki, prawnuki, przychodzi czas rozliczeń i rocznic. Jak to cudownie, że jest nam dane być jednym z ogniw tego niekończącego się łańcucha życia tę jedną chwilkę.

## Zakończenie wspomnień

Upłynęło kilkanaście lat od czasu, kiedy pisałem ostatnie stro-  
nice moich wyznań. Tajemniczy tekst pisany tak jakby pod dyktan-  
do, z potrzeby serca – we wspomnieniach streszczają trzy słowa:  
trzeba bliźnim służyć...

Czas jest coraz krótszy. Jak wyraźnie szedłeś w moim życiu nie  
obok, ale przenikając tak głęboko, pozostawiając ślad niezapomnia-  
ny Twojej obecności. Oświęcim i spotkanie z Tobą, Ukochana, mój  
Skarbie, moja Misienko... Nic to, że po drodze pokazał mi, że tylko  
On jest miłością. Bo miłością jest tylko On, pełną, nieogarnioną.

Czas ucieka. Ten czas tu, gdzie lampa przysłania pełne słońca  
szpitalne okna. Została jeszcze tylko szpara niebieskiego nieba,  
niebieskiego tak, jak nad Tatrami czy nad oceanem,  
a kropłówka tak wolno ścieka do żyły. Trudno doczekać końca ko-  
lejnej butelki. Jakże musiałeś cierpieć na krzyżu w spiekocie słoń-  
ca, przybity, niemogący się ruszyć. Wielokrotnie odkładałeś to spo-  
tkanie, kiedy tylko prosiłem o to. Zawsze dotrzymujesz słowa.  
Dziękuję za cud życia – jakże jestem szczęśliwy i wdzięczny za dar  
życia wszystkich bez wyjątku, tych, których mi dałeś. To moja naj-  
większa radość i nadzieja. A co dalej? Ty jesteś miłością i miłosier-  
dziem. W Tobie moja cała ufność i nadzieja.

Czym jest wiara, to, że wierzę?

To przecież takie ważne, to przecież klucz do życia, a nieraz w  
uproszczeniu wydaje się, że wystarczy mówić: „Chryste, Ty jesteś  
synem Boga żywego”, żeby żyć. Przychodzą pokusy, tyle razy upa-  
dam, obrażam Cię, Panie. Przychodzi choroba, cierpienie, prze-  
ciwności, ciemność, w której nie czuję Twojej obecności. Ten  
świat, jedyne źródło moich doznań zmysłowych, przytłacza, przy-  
słania wszystko dookoła, uwiera bezwładnością materii, z której  
przecież jestem ulepiony. I właśnie wtedy, kiedy się wydaje, że nie  
ma najmniejszej nadziei, w ciemności, kiedy „Ojcze mój, Ojcze,  
czemuś mnie opuścił” chcą zawołać usta, właśnie wtedy Ty jesteś  
najbliżej, czekający na to jedno moje słowo: wierzę. Że wierzę, to  
znaczy, że ufam Tobie bez granic, że wierzę, bo jestem niczym, a Ty  
możesz wszystko. Wierzę, że jesteś miłością, w Tobie cała moja na-  
dzieja i pewność spotkania. Zawsze, mimo wszystko, mimo ciem-  
ności i upadków, wierzyć – to znaczy wytrwać i zaufać

## Dyskusja

### Urszula Puzyna

Jestem żoną Wojciecha Puzyny, dzisiejszego panelisty. Mąż, czytając fragmenty wspomnień swojego ojca, podkreślił znaczenie korzeni w naszym życiu. Dla mnie znać swoje korzenie, wiedzieć, skąd pochodzimy, oznacza lepiej zrozumieć siebie. Znać korzenie swojego męża, to znaczy lepiej rozumieć jego, łatwiej przyjąć go takim, jaki jest, jako dar, po prostu łatwiej go pokochać. Żeby dojść do takich refleksji, potrzebowałam kilkunastu lat naszego wspólnego małżeńskiego życia.



Urszula Puzyna

Dziś chciałabym podzielić się z państwem refleksją, co dla mnie znaczy być ubogim w duchu. Być ubogim to być wdzięcznym. Po prostu dziękować Bogu za wszystko. Świadomość, że tak niewiele od nas ludzi zależy, sprawia, że wszystko, czego w naszym życiu doświadczamy, przyjmujemy jak dar. Aby dać się obdarować, trzeba mieć świadomość, że jest się biednym. „Bogaty” nie potrzebuje Darczyńcy. „Ubogi” wie, że wszystko, co ma, jest darem. I

dlatego jest wdzięczny. Nieraz dopiero po latach uświadamiamy sobie wszystko to, czym zostaliśmy obdarowani.

Chcę jeszcze podzielić się myślą o małżeństwie. Po 20 latach małżeństwa uświadomiłam sobie, że wspólne życie z drugim człowiekiem pod jednym dachem jest bardzo trudne. Kiedy wychodzimy za mąż, to jesteśmy „w siódmym niebie”, szczęśliwe przy boku ukochanego mężczyzny – idealnego męża. A potem, czasem już po kilku tygodniach, chcemy zreformować męża, który już nie jest taki, jakiego sobie wyobrażałyśmy. Ja parę lat próbowałam reformować mojego męża, ale on jest twardy i trudny do reformowania. Moje doświadczenie pokazuje, że przebywanie z jednym człowiekiem w dzień i w nocy, wspólna praca, wspólny odpoczynek, bycie ze sobą każdego dnia jest bardzo trudne. Bez Boga, bez łaski Sakramentu, dla mnie jest to niemożliwe. Tylko z Nim, z łaską można przetrwać wszystkie kryzysy, być szczęśliwym i umieć kochać. A definicję miłości chyba najtrafniej ujął ks. Marek Dziewiecki: „Kochać kogoś to być w taki sposób obecnym w jego życiu, aby mógł stać się najpiękniejszą wersją samego siebie”.

I chciałam powiedzieć młodzieży, że przed wami cudny czas narzeczeństwa i małżeństwa, do którego bardzo was zachęcam. Przyłgnijcie do Chrystusa, a On da wam łaskę. On da wam miłość. Módlcie się do Ducha Świętego o Jego dary i bądźcie wdzięczne za tego mężczyznę, który obok was stoi lub stanie. Po dwudziestu latach małżeństwa dziękuję Bogu za mojego męża, za to, co otrzymałam.

Czasem trzeba wiele lat, żeby zobaczyć, jak Bóg realizuje w naszym życiu nasze modlitwy, prośby i marzenia. Często po latach widzimy, że to, czego nie mamy, czego nie otrzymaliśmy, to był największy dar, jaki Bóg mógł nam dać w procesie kształtowania naszej osobowości.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Powiem parę słów o moim pomysle na „ubogich w duchu”. Nachodzą nas czasem wątpliwości, czy wolno nam dążyć do tego, żeby mieć pieniądze, żeby zrobić karierę, żeby być dobrym w jakiejś dziedzinie, mieć szeroką wiedzę i wysokie stanowisko, w nauce, polityce lub w biznesie. Czy mi to wolno w świetle pojęcia „ubogi w duchu”?



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Bóg dał nam talenty i przykazał, abyśmy je rozwijali. Musimy w ramach tych talentów zrobić wszystko, co możemy, najlepiej, jak umiemy. Równocześnie bycie „ubogim w duchu” rozumiem w ten sposób, że swoimi osiągnięciami mam się dzielić z innymi. Dla wielu jest to bardzo trudne. Są przywiązani do tego, co zdobyli, wypracowali i nie chcą się tym dzielić. Mają pieniądze, często duże, ale mają oczy i uszy zamknięte na potrzebujących nawet z najbliższego otoczenia. W dziedzinie nauki (ale pewnie nie tylko) obserwuje się ludzi zazdrosnych o swoją wiedzę i doświadczenie, którzy nie dzielą się nimi z młodszymi kolegami, bo się boją, że ci ich przerosną. Lub mówią „bo mi ukradną”. Nie zdają sobie sprawy, jaką radością jest, mając pieniądze, podzielić się nimi z innymi, a mając wiedzę i pomysły w jakiejś dziedzinie nauki czy biznesu, służyć nimi innym, młodszemu, którym może się to przydać. Można mieć z tego radość do najpóźniejszych lat swego życia. Ci ludzie są właśnie przykładem dla mnie „ubogich w duchu”.

### **Lucyna Piątek**

Gdy słuchałam uważnie wszystkich wypowiedzi, przypomniała mi się moja babcia, która zafascynowana św. Franciszkiem z Asyżu powtarzała jego słowa: „gdy ma się Boga, posiada się

wszystko”. Ja wtedy, w 1968 roku, tuż przed maturą tego nie rozumiałam.

Nawiążę do tego, co Pan mówił o swoim ojcu. Wydaje mi się, że trzeba doświadczenia życia, aby potrafić w sposób dojrzały kształtować swoją osobowość i więź z Tym, który jest dawcą i źródłem miłości. W wieku dojrzewania, a nawet studenckim człowiekiem nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę.



Lucyna Piątek

Dziś, mając ponad 50 lat, dopiero po dramatycznych sytuacjach, które miały miejsce w moim życiu, mogę powiedzieć, że św. Franciszek miał rację: „gdy ma się Boga, posiada się wszystko”. I chociaż były dni, kiedy nie miało się nic. Nie było co zjeść, było bardzo ubogo, ale była ta radość, ta nadzieja, której nikt nie może odebrać. Czas życia po to jest nam dany, żebyśmy odkrywali jego wartość, a później, tak jak cudownie pana ojciec opisywał, na końcu drogi, kiedy nasz stateczek będzie się zbliżał do drugiego brzegu, zobaczymy bogactwo w tym naszym ubóstwie.



Studentki z pedagogiki na Konwersatorium.  
Na ścianie portret fundatorki Szkół Przymierza Rodzin  
– Elżbiety Rufener-Sapiehy

### **Sofija Okolko**

Jestem studentką z Ukrainy i studiuję na tej Uczelni pedagogikę. To, że mogę być tutaj, jest dla mnie darem Ducha Świętego. Nawiążę do tego, co powiedziała moja przedmówczyni. Trudno mi odpowiedzieć, czy jestem „uboga w duchu”. Mam dopiero 21 lat. Staram się każdego dnia pytać Boga, co mam robić. Lubię wszystko planować i robić ciągle coś nowego i czasem się zastanawiam,

po co to wszystko? Czy robię to wszystko wyłącznie dla siebie? Każdego dnia staję przed wyborami, czemu mam poświęcić czas, czy na przykład pójść na spacer, czy poświęcić go dla czegoś, co mnie więcej wzbogaci. Wierzę, że codziennie Pan Bóg daje mi siły, by wszystko robić nie dla swojej woli, ale dla woli Bożej. Dziękuję wszystkim za bogactwo przekazanych myśli. Taka jestem szczęśliwa i zadowolona, że mogę tu być.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Bardzo dziękuję panelistom i wszystkim uczestnikom i serdecznie zapraszam na następne Konwersatorium za miesiąc, 17 listopada.





*Błogosławieni, którzy się smucą,  
albowiem oni będą pocieszeni*





## Cytaty

### **Jan Paweł II, Orędzie do Konferencji Episkopatu Polski**

(Warszawa 11 VI 1999 r., fragment)

Kazanie na Górze jest programem dla całego Kościoła. Wspólnota Nowego Przymierza urzeczywistnia się, gdy opiera się na prawie miłości wpisanym w każde ludzkie serce (por. *Jr 31, 31-33; Hbr 10, 16-17*). Ewangeliczne błogosławieństwa stanowią niejako konkretyzację tego prawa, a zarazem dają gwarancję prawdziwego i trwałego szczęścia wynikającego z czystości i pokoju serca, które są owocami pojednania z Bogiem i ludźmi.

### **Stanisław Witkowski MS, Kazanie na górze: Utopia?**

(fragment)

W Panu Bogu jest współcierpienie. W Księdze Wyjścia czytamy: „Dostyc napatrzyłem się na udrękę ludu mego w Egipcie i nasłuchałem się narzekań jego (...) znam więc jego uciemienie” (Wj 3, 7). W tekście oryginalnym mamy tu słowo *jada* – „znać”. Oznacza ono zaangażowanie myśli, woli, serca. Pan Bóg jest więc zaangażowany w uciemienie swego ludu. To, co my przeżywamy, również On nosi w sobie. Czasem ktoś pyta: skoro Bóg jest taki dobry, to gdzie był wtedy, gdy mnie gwałcono? Są takie bardzo trudne dialogi. Co wtedy możemy odpowiedzieć? Odpowiedź daje Pismo Święte: Bóg współcierpiał z tobą, bolał nad twoim nieszczęściem i już myślał, jak cię pocieszyć, żeby wynagrodzić twoje cierpienie. W Nowym Testamencie przyczynami intensywnego smutku są śmierć drugiej osoby albo grzech, zarówno osobisty, jak i innych. Należy zapytać, dlaczego smutek jest błogosławiony? Dlaczego smutek rodzi szczęście? Wyrażenie „błogosławieni”, które wraca w Kazaniu na Górze, pochodzi z greckiego *makarioi* – szczęśliwi. Smutek zakłada osobową relację. Im większa jest więź z kimś, tym większy smutek po jego stracie. Smutek jest więc znakiem miłości bliźniego, zaś smutek z powodu grzechów zakłada więź z Bogiem.

Nauczanie Jezusa sprzeciwiało się poglądom stoików, którzy na ból zalecali apatię. Grecka *apatheia* oznacza nieczułość, obojętność, cechuje człowieka zimnego jak stal. Grecy głosili, że apatia ma wyróżniać mędrca. Spostrzegamy różnicę w pojmowaniu tego słowa przez Jezusa i świat. Stoicy uważali smutek za najgorszy z afektów; również smutek z powodu cudzego zła, czyli współczucie uznawali za niewłaściwy. Są jednak ludzie, którzy boleją nad cierpieniem nawet przypadkowo spotkanych osób. Jest to naprawdę wielki dar. Błogosławiona Aniela Salawa spotkała kiedyś człowieka, który miał twarz zniszczoną przez raka. Prosiła Pana Boga: zdejmij z niego ten krzyż, a daj go mnie. Człowiek ten wyzdrowiał, a Aniela zapadła na raka żołądka.

### **Benedykt XVI. Błogosławieństwa są nowym programem życia** (30 I 2011 r., fragmenty)

W Ewangelii dzisiejszej czytamy pierwsze wielkie przemówienie, które Pan kieruje do ludzi, zgromadzonych na łagodnych wzgórzach wokół Jeziora Galilejskiego. Jezus, jako nowy Mojżesz, «zajmuje miejsce na 'katedrze', jaką jest Góra» i nazywa «błogosławionymi» ludzi ubogich duchem, zasmuconych, miłosiernych, odczuwających głód sprawiedliwości, czystych sercem, prześladowanych (por. Mt 5, 3-10). Nie jest to jakaś nowa ideologia, ale nauczanie, które pochodzi z wysoka i dotyczy kondycji ludzkiej, właśnie tej, którą Pan, wcielając się, zechciał przyjąć, aby zbawić człowieka. Dlatego «Jezus kieruje swe Kazanie na Górze do całego świata, ku teraźniejszości i przyszłości (...) i można je zrozumieć i przeżywać tylko przez naśladowanie Jezusa i towarzyszenie Mu w drodze». Błogosławieństwa są nowym programem życia, pomagającym uwolnić się od fałszywych wartości świata i otworzyć się na prawdziwe dobra, teraźniejsze i przyszłe. Gdy bowiem Bóg pociesza, zaspokaja głód sprawiedliwości, ociera łzy smutku, oznacza to, że poza odczuwalnym wynagradzaniem każdemu otwiera królestwo nieba.

KONWERSATORIUM LVIII  
(17 listopada 2012)

**Błogosławieni, którzy się smućą,  
albowiem oni będą pocieszeni**

**Prowadzący:** ks. dr Henryk Małecki, proboszcz parafii p.w. św. Tomasza w Warszawie, na Ursynowie; Adam Pietrzak, wiceprezes Stowarzyszenia Przymierze Rodzin; Joanna Krupska, przewodnicząca Związku Dużych Rodzin Trzy Plus; Kazimierz Szałata, filozof, etyk, nauczyciel akademicki UKSW, kierownik Uniwersytetu Otwartego UKSW, założyciel i prezes fundacji polskiej Raoula Follereau.

**Ks. dr Henryk Małecki**

Dzisiaj rozważamy kolejne błogosławieństwo: „Błogosławieni, którzy się smućą”. Moim zadaniem jest wprowadzić wszystkich słuchaczy w kontekst tego sformułowania.

W starożytności hebrajskiej było tak, że za szczęśliwego uważano człowieka bogatego, cieszącego się uznaniem społecznym, piastującego władzę, lub człowieka, który ma dobre mniemanie o sobie, dobrą samoświadomość i przekonanie, że jest kimś bardzo wartościowym. Człowiek chory, człowiek biedny był zawsze w kręgu podejrzania, o to, że brak mu błogosławieństwa Bożego. Myślę, że taka opinia nawet do dziś tkwi w naszej mentalności. Nieraz mamy pretensje do Pana Boga, że nam nie pobłogosławił, tak jak innym, którzy są szczęśliwi, bogaci, piękni, cieszący się autorytetem, uznaniem społecznym, a mnie to wszystko jakoś omija.



Paneliści: od prawej ks. dr Henryk Małecki, Adam Pietrzak i Joanna Krupska

Mentalność i duchowość Izraela zaczęła się zmieniać w VI wieku przed narodzeniem Chrystusa, od czasu proroka Sofoniasza. O tej duchowości, która rozwijała się przez sześć wieków do przyjścia Chrystusa, mówimy, że jest to duchowość *anadim Jahwe*. *Anadim* to jest ubogi, człowiek, który z wielką pokorą wystawia się na ciosy życia, ale nie ma z tego powodu pretensji do Boga. On próbuje pozytywnie potraktować to życiowe doświadczenie.

Przed wszystkim *anadim Jahwe* to jest człowiek, który ma dobrze ustawioną hierarchię wartości, to znaczy, że Bóg jest dla niego najwyższą wartością, a jak mówi św. Augustyn „jeśli Bóg jest na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu i wszystko znajduje swój sens”. Tak więc *anadim Jahwe* to człowiek, który się po prostu poddaje woli Boga, który potrafi odczytać wolę Boga.

Oczywiście, to nie było proste. Nawet apostołowie idący za Jezusem ciągle spodziewali się, że będą mieli pewne gratyfikacje, nagrodę za to, że oni podjęli taką słuszną decyzję, że tak się poświęcili: „oto my zostawiliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą”, „i co my będziemy z tego mieli?”, pytają w podtekście. Pan Jezus widząc, że oni nie są w stanie na tym etapie zrozumieć, o co chodzi w Kró-

lestwie Bożym, że oni pojmują Królestwo Boże bardzo po ludzku, patrzy im głęboko w oczy, mając świadomość, że po zmartwychwstaniu wszystko będzie dla nich jasne i proste. Dostaną dar Ducha Świętego i zobaczą wszystko w innym świetle, głębiej zrozumieją to wszystko i mówi: „stokroć więcej otrzymacie braci, siostr i pól, a nadto życie wieczne odziedziczycie”. Więc powoli jakby kształtuje się ta duchowość *anadim Jahwe*.

To jest pewien nurt w życiu religijnym i społecznym Izraela. To jest duchowość, która, można by powiedzieć, jest dla elit, jest dla tych, którzy dużo czasu poświęcają na wnikliwe czytanie zwojów Pisma Świętego, którzy w duchu modlitewnym odczytują Objawienie Boże. Mesjasza zaczynają postrzegać nie jako króla, który przyjdzie, wzniesi powstanie i da im panowanie nad całą Ziemią, bo takie mieli ambicje, ale tak jak mówił prorok Izajasz, jako Sługę Cierpiącego Jahwe, który przyjmie na siebie cierpienia całej ludzkości po to, żeby pojednać ją z Bogiem. Powoli, etapami dojrzeva ta duchowość i szczytem, czy koroną, tego wielkiego, duchowego, zbiorowego wręcz wysiłku jest osoba i posługa Jezusa. On jest najlepszym wyrazicielem tej duchowości.

Pierwsze błogosławieństwo mówi „błogosławieni ubodzy w duchu”, czyli błogosławieni są ci, którzy na pierwszym miejscu stawiają Pana Boga, a dopiero drugie jest błogosławieństwo: „błogosławieni, którzy się smucą”. Co to znaczyło wtedy smuć się? Nie chodziło o smutek sentymentalny, jaki mamy z powodu, na przykład, utraty jakiejś rzeczy, czy kogoś kochanego, który odchodzi do wieczności. Chodziło o smutek, który jest spowodowany tym, że człowiek odkrywa w sobie niedostatek, słabość, grzech, mało tego, odkrywa, że na zewnątrz, wokół niego jest wiele tego grzechu i zła.

Izraelici mówili o sobie „jesteśmy narodem o twardym karku, bezczelnego oblicza i łamiemy Przymierze z Bogiem” i z tego powodu odczuwali smutek. Po niewoli babilońskiej Izraelici uświadomili sobie, że większym dramatem niż niewola polityczna jest niewola grzechu. Wyjście z ziemi *Goszen*, z niewoli egipskiej stało się pewnym synonimem, symbolem, obrazem wyzwolenia, stało się znakiem, że Bóg wyprowadza ich z tej niewoli i wprowadza ich w Królestwo Boże.

Pan Jezus powie, że to Królestwo Boże to jest właśnie On sam, że jest pośród nich, ale do tego muszą jeszcze sporo dojrzevać.

W drugim błogosławieństwie chodziło Panu Jezusowi, żeby powiedzieć, że błogosławieni są ci, którzy się smucą z powodu zła w świecie, którzy się nie godzą na nie, którzy nie godzą się na zło w sobie.

### **Adam Pietrzak**

Błogosławieni, czyli szczęśliwi. Kiedy czytamy u św. Mateusza, że szczęśliwi są ci, którzy się smucą, a u św. Łukasza, że szczęśliwi są ci, którzy płaczą, to zauważamy jakiś paradoks. Nie rozumiemy, o co chodzi. Jak można być szczęśliwym, będąc smutnym lub płaczącym. Nie możemy tego po ludzku zrozumieć. Św. Paweł w drugim liście do Koryntian daje klucz do zrozumienia tego, wydawałoby się, paradoksu. Wyróżnia dwa rodzaje smutku. Pisze mianowicie tak: „Bo smutek, który jest z Boga, dokonuje zbawiennego nawrócenia, smutek zaś tego świata sprawia śmierć”. Smutek pochodzący od Boga, który potrafi nas przemieniać, który kieruje naszym żalem za grzechy, naszym rachunkiem sumienia, staje się błogosławieństwem.



Adam Pietrzak

Błogosławieństwa, które są częścią Kazania na Górze, są nazywane Konstytucją Królestwa Bożego, bo Pan Jezus pokazuje w nich, jak żyć, żeby być szczęśliwym. Dlatego Kościół, przeczuwając pytanie, które powstaje w nas, w uroczystość Wszystkich Świętych daje do czytania właśnie tę Ewangelię z błogosławieństwami. Jesteśmy ciekawi, skąd wzięli się ci święci, których czcimy, których kult przeżywamy. Kościół daje przepis na życie, który prowadzi ku szczęściu wiecznemu. Posiadanie różnego rodzaju majątku i dóbr nie zawsze daje nam szczęście. Dopiero perspektywa szczęścia wiecznego rozstrzyga tę sprawę i w efekcie może być przepisem na szczęśliwe życie, również doczesne. Pierwsze z błogosławieństw mówi, że będziesz błogosławiony, kiedy Boga będziesz miał na pierwszym miejscu, a drugie pokazuje, kiedy smutek przemienia nas i skłania do pracy nad sobą.

I może jeszcze jeden przykład biblijny. Pamiętacie państwo, uzdrowienie nad sadzawką człowieka, który trzydzieści osiem lat chorował na swoją chorobę, nie wiemy na jaką. Czekał na to, żeby mógł wejść do wody, bo miała ona moc uzdrawiającą ze wszystkich chorób. Podchodzi do niego Jezus i pyta „czy chcesz być zdrowy?” Dziwne pytanie do człowieka, który tyle lat choruje, ale Pan Bóg zostawia mu wolność, nie narzuca mu się ze swoją mocą. A ten człowiek mówi, że „nie ma człowieka, który by go tam, do tej wody doprowadził”. Pan Jezus mówi mu wtedy „wstań weź swoje łożo i chodź.” W tym łożu zawierała się cała jego niemoc i Pan Jezus nie mówi mu „zostaw te łożo i chodź”, tylko „weź swoje łożo i chodź”. Chodzi o to, żeby ten smutek nas nie paraliżował, żebyśmy mimo tego zmartwienia potrafili tak działać, żeby się zbawić, żeby inne błogosławieństwa były również przez nas wypełniane, żebyśmy weszli w tę logikę, etykę Bożego działania. „Weź swoje łożo i chodź”.

Jest też inny paraliżujący nas smutek, który wynika z żałoby. Znam taką kobietę, która już od trzydziestu lat co dzień chodzi na grób swojego męża, zmienia już czwarty pomnik i niczemu się już w życiu nie oddaje, tylko temu, żeby zmiatać te spadające liście z grobu i żeby tam tkwić. Zapadła się w swoim smutku, nie potrafi nic zrobić i to jest smutek, który paraliżuje, nie jest twórczy, ten smutek nie pochodzi od Boga. To jest smutek egoistyczny, w którym „Ja jestem najważniejszy. Patrzcie, jak ja cierpię”.

Inny przykład, o którym chcę powiedzieć, dotyczy rodziców, których dzieci odeszły z domu. Często przeżywają straszny smutek, który powoduje, że używają pewnego szantażu przeciw swoim dzieciom. „Nie przychodzisz do mamusi, to nie kochasz jej”. Ja sam tego kiedyś doświadczyłem, na szczęście trwało to bardzo krótko. Gdy syn dwadzieścia sześć lat temu ożenił się, to pierwszego dnia po jego ślubie myślałem, że oszaleję, bo „nie ma go tu, w domu, tak go wszędzie było pełno i co ja teraz zrobię”. Przyszło wtedy opamiętanie, że nie powinienem się smucić, lecz się cieszyć i postanowienie „zostaw go w spokoju”.

Molestowanie uczuciowe rodziców jest spowodowane smutkiem, który nie pochodzi od Boga. Kiedy matka dzwoni do córki i mówi jej, że jest jej smutno i chce, żeby ją odwiedziła, a ona jej odpowiada, że się umówiła z mężem na ten dzień do teatru, to ja zawsze mówię „idź do teatru, matka ma prawo tęsknić, ale nie musisz jej tęsknot natychmiast zaspokajać”. Matka swój smutek powinna pokonać, gdyż, jak powiedział św. Augustyn, „Ten, który cię stworzył, nie chce cię zbawić bez Ciebie”. To współdziałanie z Bogiem jest nam koniecznie potrzebne i nie może być przerwane smutkiem, który nas wprowadza w obszary egoizmu nie do przebicia.

### **Ks. dr Henryk Małecki**

Taki smutek może być przedśmionkiem wielkiej radości. Trzeba go przeżywać w kontekście relacji z Panem Jezusem. Ja nieustannie noszę w sobie smutek z tego powodu, że dostrzegam, jak małym jestem człowiekiem, jak wielokrotnie zawodzę siebie, innych, Pana Boga, ale przy okazji tego smutku i robienia sobie rachunku sumienia z tej swojej niedoskonałości, w miarę upływu czasu coraz bardziej odkrywam, jak bardzo jestem kochany przez Boga, niezależnie od tego, jaki jestem. To mnie nakreca, żeby pracować nad sobą. Nie popadam w apatię, nie macham ręką, nie mówię: „Panie Boże, takim mnie stworzyłeś, to takim mnie masz”. Jest we mnie dynamika i za to nieustannie Panu Bogu dziękuję. Zmagam się ze swoją słabością. Ten smutek w moim życiu czasami wyraźnie zamienia się w radość. Ponieważ moim ideałem jest Jezus, wiem, jaki powinienem być, i widzę, jaki jestem i z tego powodu jest mi smutno, ale ciągle mam nadzieję na bycie lepszym, ponieważ On mnie kocha i On jest Panem mojej historii.



Adam Pietrzak i ks. dr Henryk Małecki

### **Adam Pietrzak**

Ksiądz powiedział, że my często myślimy, iż jeśli jesteśmy zamruceni, to znaczy, że Bóg nas opuścił. Wtedy pytamy „dlaczego Pan Bóg nas doświadczył takim nieszczęściem”. To pytanie można odwrócić i spytać: „czy w tym nieszczęściu doświadczyłeś Boga”?

Gdy klęczymy w kościele przed konfesjonalem, wyznajemy grzechy i za nie żałujemy, to doświadczamy smutku, że obraziliśmy Pana Boga. Z tego wynika mocne postanowienie poprawy, a odczuwany smutek powoduje, że zbliżamy się ku Bogu. Tej dwiistości smutków doświadczamy na co dzień i trzeba umieć oczyścić się z tych smutków, które nas zabijają.

### **Joanna Krupska**

We współczesnym, ale chyba nie tylko we współczesnym świecie cechy wymienione w błogosławieństwach nie są w cenie. Raczej odwrotnie, wydaje się, że poklask znajdują osoby wesołe, zawsze uśmiechnięte, głośne, wyraźnie widoczne, śmiałe, skoncentrowane na swojej karierze, swoim interesie, odnoszące sukcesy osobiste. Wystarczy rozejrzeć się po mieście: rozradowane, uśmiechnięte twarze, białe, błyszczące w uśmiechach zęby są nieodzownym ele-

mentem wszędzie obecnych reklam. Cichość, smutek budzą podejrzenia o nieśmiałość, wycofanie, depresyjność, kojarzą się negatywnie. Smutek, według wszechwiedzącej Wikipedii, to „negatywny stan emocjonalny, charakteryzujący się poczuciem krzywdy i cierpienia. Objawia się on poprzez tymczasowe przygnębienie oraz mniejszą energię. Smutek jest uważany za przeciwieństwo szczęścia. Bywa utożsamiany z żalem, nędzą i melancholią. Bardzo często towarzyszy mu płacz i zamknięcie w sobie. Uczucie to może stanowić tymczasowe obniżenie nastroju bądź też być objawem depresji, charakteryzującej się stałym i znacznym obniżeniem samopoczucia, prowadzącej do zakłócenia zdolności funkcjonowania w codziennym życiu”.



Joanna Krupska

Fragment Kazania na Górze dotyczący błogosławieństw odsłania jakby całkowicie nową, inną perspektywę. Zaskakuje pochwałą tego, co przywykliśmy uważać za niepożądane i wstydlive.

Wiele obrazów smutku oraz pocieszenia odnajdujemy w psalmach: „ja jestem nędzny i zbolący”, „...woda mi sięga po szyję, ugrzęzłem w mule topieli i nigdzie nie mam oparcia... zmęczyłem się krzykiem i ochrypło mi gardło, osłabły moje oczy...”, „...dusza

moja jest nasycona nieszczęściami... umieściłeś mnie w dole głębokim, w ciemnościach, w przepaści... Jestem zamknięty i bez wyjścia”, „...moje serce wysycha spalone jak trawa.... od głosu mojego jęku moje kości przywarły do skóry... z płaczem mieszam mój napój...”.

Smutek ten w psalmach zawsze jest połączony z wołaniem do Boga, jest wyrazem duchowości „annavim” – człowieka ubogiego: „Panie, mój Boże, za dnia wołam, nocą żalę się przed Tobą, niech dojdzie do ciebie moja modlitwa...”, „...skłoń ku mnie ucho...”, „...na moje łzy nie bądź nieczuły...”. Jest też w psalmach wiele obrazów pocieszenia, które przychodzi od Boga: „On schylił się nade mną i wydobył mnie z dołu zagłady, z kałuży błota...”, „...dusza moja się syci niby sadłem i tłustością...”, „...ja zaś jak oliwka, co kwitnie...”, „Pan... pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach,... orzeźwia mą duszę...”. Przytoczę psalm 125 (według Biblii Tysiąclecia), który w całości bardzo mocno współbrzmi z błogosławieństwem smutku:

Gdy Pan z powrotem wiódł jeńców Syjonu,  
byliśmy jak we śnie,  
wtedy usta nasze były pełne były śmiechu,  
a język nasz radości.  
Wtedy mówili między sobą poganie:  
„Wspaniale Pan z nami postąpił!”  
Wspaniale postąpił Pan z nami:  
myśmy się rozradowali!  
Odmień nasz los, o Panie,  
jak strumień w ziemi południowej.  
Którzy we łzach sieją,  
żąć będą w radości.  
Idący idą i płaczą,  
niosąc ziarno na zasiew:  
przychodząc przyjdą z radością,  
niosąc swe snopy.

Poszukując w myślach sensu błogosławieństw, sięgnęłam po małą broszurkę Ojca Thomasa Philippe, którego duchowość jest mi bliska od lat. Ojciec Philippe zwraca uwagę, że na początku Ewan-

geli i św. Łukasza (Łk 1, 45) Elżbieta, spotykając Maryję w dniu Nawiedzenia, wydaje okrzyk: „błogosławionaś, która uwierzyła” – nie dlatego, że jest piękna, radosna, ale ponieważ uwierzyła. Błogosławieństwa, które Jezus ogłosi później, na górze wobec tłumów uczniów, są w pewnym sensie rozwinięciem tego błogosławieństwa wiary wyrażonego wcześniej przez Elżbietę wobec Maryi.

„Błogosławieni smutni, bo oni będą pocieszeni” (Mt 5,3-12). W Ewangelii według Łukasza zapis jest trochę inny: „błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie”. Ujęcie Łukasza jest bardziej obrazowe: płacz widać, jest uzewnętrznieniem, wyrażeniem smutku, wypływa z niego. Zamiast pocieszenia mamy tu śmiech – słyszalny, głośny lub cichy, jest wyrazem, uzewnętrznieniem radości. Rozważmy jednak wersję Mateusza. Jezus nie mówi tylko „błogosławieni smutni”. Sam smutek nie jest stanem błogosławionym. „Błogosławieni smutni, bo oni będą pocieszeni”. Dopiero w świetle wiary smutek jest zapowiedzią pocieszenia, otwiera na nadzieję pocieszenia. Jest to dar rodzący się z wiary – żadna z ludzkich sytuacji nie jest aż tak ciemna, smutna i bolesna, żeby nie mogła do niej przeniknąć nadzieja. Smutek możemy traktować nie jako „brak”, ale jako okazję do zwrócenia się do Boga z prośbą o pomoc, o pocieszenie, do Ducha Świętego, zwanego przecież Pocieszycielem. Smutek może stać się źródłem łaski. Każde cierpienie zawiera w sobie zalążek życia i nadziei, tak jak nierozdzielne jest ukrzyżowanie Chrystusa od Jego zmartwychwstania. Gdy czujemy się najgłębiej smutni i doświadczeni, nie uważajmy tego za nieszczęście, robiąc wszystko, by tylko uniknąć cierpienia, ale odwrotnie, umiemy przyjąć to jako błogosławieństwo.

W życiu każdego z nas nietrudno znaleźć rozmaite smutki. Kiedy myślę o swoich, w pierwszej kolejności przychodzą mi na myśl smutki związane z życiem rodzinnym – poczynając od smutku rodzenia, o którym pięknie wspomina Pismo „Kobieta, gdy rodzi, doznaje smutku, bo przyszła jej godzina. Gdy jednak urodzi dziecko, już nie pamięta o bólu z powodu radości, że się człowiek narodził na świat” (J 16, 22). Smutek przewija się poprzez wszystkie nieuniknione we wspólnocie konflikty, rozczarowania, zranienia, zawiedzione oczekiwania, odchodzenie dzieci – zarówno to fizyczne, wyfruwanie z gniazda, jak i psychiczne i duchowe: poszukiwanie swoich dróg nie zawsze zgodne z naszymi pragnieniami i wyobraże-

niami. Dla rodzin wielodzietnych szczególnie jest smutek niewystarczalności rodziców wobec potrzeb dzieci. Kiedy jest ich kilkoro, bywa, że nie wystarcza dla wszystkich czasu, energii, czasem środków finansowych. Te rozmaite codzienne smutki mogą być okazją proszenia o pomoc, ratunek. Na co dzień uświadamiają naszą słabość, niewystarczalność, potrzebę kontaktu z Kimś, kto pociesza.

Myszę, że jeden z najgłębszych smutków wiąże się z rozstaniem ze współmałżonkiem. Mój mąż, Janusz, odszedł po prawie trzydziestu latach wspólnego życia. Był osobą, która dawała mi ogromne oparcie swoją niewzruszoną nadzieją, nadzieją, która w sytuacjach trudnych pomagała wytrwać, poszukiwać rozwiązań i wierzyć, że smutek jest przejściowy, a pocieszenie przyjdzie. Janusz zginął w katastrofie smoleńskiej. To dramatyczne wydarzenie, oprócz wymiaru osobistego, ma także wymiar narodowy. Wielokrotnie spotykałam osoby, które podchodziły do mnie, płacząc, mówiąc o swoim cierpieniu związanym z przeżywaniem katastrofy. Bolesne i smutne stały się głębokie podziały w polskim społeczeństwie, brak szacunku i zaufania, niezrozumienie i agresja. W takiej atmosferze trudno odnaleźć sens tego wydarzenia. Niech nam jednak nie zabraknie nadziei, która pozwala widzieć, że w głębokim smutku ukryte są kiełkujące ziarna pocieszenia.

### **Kazimierz Szalata**

Dziękuję bardzo za zaproszenie do tej wspólnej refleksji nad czymś bardzo ważnym z punktu widzenia egzystencji człowieka, ale również z punktu widzenia naszej wiary chrześcijańskiej. „Błogosławieni, którzy płaczą”. Jaka jest różnica między smutkiem, płaczem, rozpaczą, cierpieniem. Trzeba sobie wciąż odpowiadać na te pytania i starać się coś z tego zrozumieć. Przez piętnaście lat wykładałem etykę na Akademii Medycznej, później miałem dramatyczne przeżycia związane z chorobą mojej córki, a potem z jej gwałtowną śmiercią. Może właśnie dlatego często proszono mnie, abym w radiu lub telewizji opowiadał o cierpieniu, jakbym miał być w tym względzie specjalistą. Nie jestem tego pewien, choć miałem, jak widać, sporo trudnych okazji i dużo czasu, żeby akurat nad tym błogosławieństwem się zastanowić.



Kazimierz Szalata

Przed naszym spotkaniem zajrzałem do internetu, aby zobaczyć, jak dziś mówi się o cierpieniu. Wśród różnych tekstów znalazłem wypowiedź ojca Jacka Salija, którą pozwolę sobie zacytować: „Zacząłbym od próby zwrócenia uwagi na niestosowność wymądrzań się na temat zdania »błogosławieni, którzy płaczą«. W końcu zdanie to ma swój kontekst, który należy uszanować. Jest ono jednym z ośmiu błogosławieństw i wystarczy nieco wczytać się w ich duchowy nastrój, żeby wiedzieć, że błogosławieństwo dotyczy tylko płaczu mądrego i sensownego:

- błogosławieni, którzy płaczą nad nędzą lub krzywdą bliźniego, jeśli płacz ten skłania ich do okazania im solidarności;
- błogosławieni, którzy płaczą nad swoim grzechem, jeśli płacz ten jest początkiem ich nawrócenia;
- błogosławieni, którzy płaczą w obliczu panoszenia się zła, jeśli płacz ten umacnia ich do odważnego trwania przy Bożych przykazaniach.

Otóż ten mądry płacz zawsze kończy się radością. Wyraźnie zresztą napisano: „albowiem oni będą pocieszeni”.

Ta ostatnia uwaga wydaje się być szczególnie cenna, jeśli chcemy coś zrozumieć i coś wnieść w nasze życie z tego akurat błogo-

sławieństwa, podejmując refleksję nad błogosławieństwem „błogosławieni, którzy płaczą”. W tym bowiem błogosławieństwie dotykamy najgłębszej tajemnicy człowieka i najgłębszej tajemnicy jego związku z Bogiem. Zanim zaczniemy mówić o cierpieniu, trzeba najpierw zastanowić się, jak mówić o czymś, co jest tak ważne, o czymś, co dotyka tego, co ludzkie i zarazem Boże.

Wielokrotnie powtarzałem to już przy różnych okazjach, ale przypomnę jeszcze raz, że aby mieć coś do powiedzenia na temat cierpienia, to trzeba najpierw mieć odwagę długo milczeć na ten temat. Trzeba doświadczyć gasnącego spojrzenia kogoś, kto odchodzi, żeby móc powiedzieć coś na temat smutku i płaczu po śmierci kogoś bliskiego.

Jeden z biskupów francuskich ubiegłego stulecia powiedział kiedyś, że robiąc rachunek sumienia, powinniśmy sobie uświadomić, że w Kościele katolickim nauczyliśmy się pięknie, dużo i łatwo mówić o cierpieniu, tak jakby dało się je ująć w zgrabne teologiczne formuły. A to przecież nie jest takie proste, nawet dla człowieka głęboko wierzącego.

Kiedyś byłem z moimi studentami 14 lipca w Paryżu. Wracaliśmy ze święta sztucznych ogni na Champs de Mars. Po drodze w Dzielnicy Łacińskiej, mimo późnej pory, zobaczyliśmy otwarty meczet. W wejściu było sporo młodych ludzi. Chcieliśmy się dowiedzieć, co się dzieje o tej porze, nawiązaliśmy całkiem sympatyczną rozmowę, która trwała aż do świtu. To byli bardzo fajni ludzie, ogromnie życzliwi i otwarci. Pytali nas o rzeczy, których nie potrafiały zrozumieć w chrześcijaństwie. Wśród tych spraw pojawił się problem cierpienia. Patrząc z zewnątrz, odnosili wrażenie, że chrześcijaństwo gloryfikuje cierpienie i tworzy kulturę, w której wszystko jest na odwrót. To co dobre – jest złe, a to co złe – jest dobre. Jeśli bowiem chrześcijanie skłonni są mówić, że warunkiem szczęścia jest cierpienie, to przecież taka teza przeczy zdrowemu rozsądkowi. Zanim spróbowałem wyjaśnić, że przedstawiona przez nich wizja cierpienia w chrześcijaństwie jest grubym i nieuprawnionym uproszczeniem, zapytałem, jak oni rozumieją cierpienie, albo mówiąc jeszcze dokładniej, jak oni potrafią rozwiązać problem cierpienia, którego człowiek doświadcza, a którego nie da się uniknąć. Są takie sytuacje, w których człowiek musi doświadczyć bólu własnej egzystencji, postawić sobie najtrudniejsze pytania i wtedy nie ma ucieczki.

Odpowiedź, jaką usłyszeliśmy, całkiem nas zaskoczyła. Oto bowiem jeden z młodych muzułmanów z wielkim przekonaniem zaczął nam tłumaczyć, że problem cierpienia to kwesta złudzenia. Przecież cierpienia nie ma, bo nasze ciało jest tylko prochem, chwilą, złudzeniem. My jesteśmy duszą oddaną w ręce Pana Boga. A jeżeli jesteśmy duszą oddaną w ręce Pana Boga, to tej duszy nic złego się nie dzieje. Wszystko, co dzieje się w świecie materialnym, biologicznym, jest złudzeniem.

Jest to jedna z postaw, która wynika z braku odwagi zmierzenia się z tym, co ludzkie, z tym, czego uniknąć się nie da. Złudzeniem bowiem nie jest cierpienie, ale złudzeniem jest wiara, że cierpienia nie ma i w ten sposób można go uniknąć. A to nie jest prawda. Nikt cierpienia nie uniknie. Jest to wpisane w naturę człowieka. Chrześcijaństwo nie wyeliminowało cierpienia z życia człowieka, ale pozwoliło nam zrozumieć jego istotę poprzez prawdę o grzechu pierworodnym, która odcisnęła się na naturze człowieka, która jest podatna na cierpienie. Chrześcijaństwo nie dało nam recepty na uniknięcie cierpienia, ale pokazało jego sens, wpisując cierpienie w logikę relacji osobowych, wpisując je w logikę miłości. To prawda, że odpowiedź nie jest prosta, tak jak chrześcijaństwo wcale nie jest prostą i łatwą drogą, ale jest drogą racjonalną, na której, licząc się z naszą ułomną naturą, otwieramy się na Łaskę, byśmy byli zdolni z każdego cierpienia, z każdego doświadczenia, z każdego braku wyprowadzić jakieś dobro i być bliżej Pana Boga.

Po ludzku płacz jest wyrazem czegoś głębokiego w człowieku. Oczywiście płacz prawdziwy, a nie jakieś chore, histeryczne szlochanie. Płacze bowiem ze złości rozkapryszone dziecko, ale też płacze nawrócony grzesznik, płacze cała w smutku pogrążona matka żegnająca syna i płacze ktoś z radości, komu przyszło witać przyjaciela po długim rozstaniu. Płacze, bo ma odwagę ujawnić coś bardzo intymnego, coś, czego na co dzień nie ujawniamy. Płacz jest wyrazem doświadczenia pustki, jest wyrazem doświadczenia czegoś, co mnie przeraża i przerasta. U podstaw płaczu jest zawsze szczerłość, pokora, jakaś szczególna autentyczność, które są warunkami nawrócenia i naprawy relacji międzyludzkich. Z teologicznego punktu widzenia płacz jest zawsze związany z naturą ludzką. Wynika z lęku związanego z odczuwaniem nieobecności Boga w naszym życiu w trudnych sprawach, z doświadczenia braku Boga

w naszym życiu, jest wyrazem wołania z głębi bezradności o miłość Boga. W tym sensie płacz może nas uczyć pokory, może nas oczyścić z pychy i otworzyć na Pana Boga, bo człowiek wie, że miłość Boga jest najważniejsza. A człowiek, który ma tego świadomość, jest już blisko Boga, który jest pocieszeniem i zbawieniem.

Chciałbym odwołać się do swoich własnych doświadczeń, które układają się w pewien ciąg wydarzeń. Pamiętam taki moment, kiedy w Lasku Bielańskim spotkałem księdza Jarka Budzisa. Było to wtedy, gdy dowiedzieliśmy się wszyscy, że zginął ksiądz Popiełuszko. Stanęliśmy naprzeciwko siebie i wtedy ksiądz Jarek powiedział mi tak: „Trzeba to zostawić. Wszystko już zostało powiedziane. Nie powinniśmy już o tym mówić. Teraz powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki skutek to straszne wydarzenie powinno wywołać we mnie. Czy ja potrafię z tego coś dobrego wyprowadzić”.

To krótkie spotkanie, a zwłaszcza słowa księdza Budzisa, bardzo pomogły mi, gdy przyszły trudne chwile w moim życiu. Najpierw wtedy kiedy nasza córeczka Ania ciężko zachorowała, musiała przejść ciężką operację i długotrwałe leczenie, podczas którego otarła się niemal o śmierć. Mimo bardzo trudnej sytuacji, nasza córeczka wróciła do zdrowia, co sama uznała w swoim pamiętniku za cud uzdrowienia. Jeździła, co prawda, od najmłodszych lat na wózku inwalidzkim, ale była bardzo aktywna. Zaraz po powrocie ze szpitala została przewodniczącą klasy i wiceprzewodniczącą samorządu szkolnego. Angażowała się w harcerstwo i pracę na rzecz misji w Fundacji Polskiej Raoula Follereau.

Kilka miesięcy później Ania ginie na przejściu dla pieszych. Moja żona, która była z naszą córeczką, została odwieziona w ciężkim stanie do szpitala. Znalazłem się w sytuacji tragicznej. W szpitalu umierająca żona, a ja mam przygotować pogrzeb córki. Całe szczęście, że została ze mną dwójka starszych dzieci, które z dnia na dzień stały się dorosłymi ludźmi. Wtedy jak w kalejdoskopie przewijali się różni ludzie starający się za wszelką cenę mi pomóc, a to jedni mówili mi, bym spojrział na to, co się wydarzyło z innej strony, żebym zobaczył, jakiej doświadczam łaski od Pana Boga... i to jest prawda, ale do niej trzeba dojrzeć. Byli też psychiatrzy, psychologowie, którzy mówili „słuchaj, my się zaopiekujemy tobą, wyeliminujemy to, co ciebie czeka, w ciągu kilkunastu dni”. Byłaby to ucieczka od cierpienia i wcześniej czy później człowiek musiałby to doświadczenie skonsumować.

Kiedy nazajutrz po wypadku wracałem do domu, w miejscu, w którym zginęła Ania, zobaczyłem palące się znicze. Pamiętam, że wtedy padał ulewny deszcz i w tym deszczu zobaczyłem dwójkę młodych harcerzy, którzy chcieli coś zrobić, bo zginęła ich koleżanka. Włożyli więc mundury i mimo zimna i deszczu stanęli tam na warcie. Zaprosiłem ich na herbatę do domu, bo widziałem, jak byli zziębnięci. Oni przyszli, usiedli przy stole, ale żaden nie miał odwagi, by cokolwiek powiedzieć, bo tak samo jak ja byli bezradni i zagubieni. Dzisiaj wszędzie, gdziekolwiek mam okazję mówić o cierpieniu, zawsze przywołuję tę mądrość młodych ludzi, którzy mieli odwagę nic nie powiedzieć. Cierpienie jest bowiem tak głęboką tajemnicą, że żadne słowo nie przystaje. A słowa lekkie zawsze ranią.

Egzystencjaliści w swojej teorii sytuacji granicznych mówią, że ten moment, kiedy płacemy, ujawnia jakąś głęboką prawdę o nas samych. Płacząc, przyznajemy się do naszej bezradności, słabości. Uwalniamy się z egoizmu. Płacz oczywiście może nas sparaliżować całkowicie, ale jeśli mamy obok siebie kogoś, kto nam pomoże wyprowadzić z tego coś dobrego, możemy stać się trochę dojrzałsi. Owszem, w sposób farmakologiczny można bardzo szybko i łatwo uśmierzyć ból, można człowiekowi podać specyfik o efekcie „głupiego Jasia”, który sprawi, że człowiek mimo tragicznej sytuacji będzie przeżywał stany euforii, ale będzie to tylko ucieczka od świadomości, która wcześniej czy później wprowadzi nas w jeszcze głębsze, być może już nie do zniesienia, cierpienie.

Tak, cierpienia nie da się uniknąć, cierpienie trzeba przyjąć. Jeżeli jednak cierpieniu towarzyszy prawdziwy płacz, to taki stan może nas otworzyć na łaskę Boga. W cierpieniu bowiem doświadczamy jakiegoś ogromnego braku, który może nam zaspokoić tylko Bóg.

Na koniec uroczystości pogrzebowych ks. Patrick Laubier, który na tę okazję przyjechał aż z Genewy, powiedział: „Ania była niepełnosprawnym dzieckiem, miała słabe ciało, nie mogła wiele zrobić. Teraz, gdy uwolniła się od słabości fizycznych, dopiero zacznie działać – z cudami włącznie. Zaintrygowany tymi słowami, zapytałem, co ja powinienem w tej sytuacji robić. Na to ksiądz Patrick odpowiedział mi po prostu – nic, ty nic nie musisz robić. I w ten sposób już od dziesięciu lat rozwija się zainspirowane przez Anię Misyjne Apostolstwo Niepełnosprawnych Dzieci, realizują się wymarzone Festiwale Misyjne w Zielonce z udziałem misjonarzy i ich do-

broczyńców. To prawda, że jeszcze za życia Ania mi podpowiadała, byśmy coś takiego zorganizowali, ale wtedy brak mi było jeszcze tego, co Jan Paweł II nazywał wyobraźnią miłosierdzia.

Z cierpienia można wyprowadzić coś dobrego przez otwarcie na Łaskę, bo to Bóg, a nie ja/ty wyprowadzi z cierpienia coś dobrego. To w świetle Pana Boga ma sens. Bez Pana Boga płacz jest absurdalny, bez sensu, prowadzi nas do rozpacz, a rozpacz to równia pochyła, na której człowiek wyniszcza swoje życie intelektualne, psychiczne, wolitywne, prowadząc wprost do samodestrukcji.

## Dyskusja

### Bogdan Motelski

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa niezależne elementy. Pierwszy to stare benedyktyńskie motto, które mówi: „módl się, pracuj i bądź radosny”, a drugi to sposób przekazu publikatorów. Występują w nich ludzie, którzy wyglądają na radosnych, uśmiechniętych, ale oni przekazują informacje również o nieszczęściach, bo takie informacje podobno lepiej się sprzedają. Trzeba sobie zdawać sprawę, że taka manipulacja nas osłabia.



Bogdan Motelski

Smutek tego świata, który do nas dochodzi, powoduje, że informacje pozytywne stosunkowo wolniej do nas docierają, gdyż wydają się nam nieobiektywne. To działanie, osłabianie społeczne wydaje się być robione z premedytacją. Takimi ludźmi jest łatwiej sterować i wywoływać działania zgodne z oczekiwaniami tej manipulacji. Chciałem zwrócić na to uwagę. Jeśli natomiast ktoś jest smutny w Boży sposób, czyli budujący, tak jak mówili paneliści, to oczywiście temu nie podlega.

### Wanda Zając

Błogosławieństwa nie mówią o złych rzeczach, ale o rzeczach, które wydają się nam trudne. Wiem ze swojego przykładu, że dopóki myślałam, że są to złe rzeczy, to buntowałam się przeciwko nim. Mam już trochę lat i nie ukrywam, że kilkakrotnie dotknął mnie wielki smutek. Kiedy zdarzają się takie rzeczy trudne, których nie potrafimy nazwać, wobec których czujemy tylko bezradność, dopóki nie zrozumiemy, że to jest błogosławieństwo, to trudno nam się przeciwko temu nie buntować. Jeżeli natomiast odczytamy, co to znaczy błogosławieństwo, to znaczy życzyć dobrze drugiemu i że błogosławieństwo to pochodzi od Boga, to znaczy, że są to przeżycia czy sprawy, których mam doświadczyć, które są mi potrzebne i mam je przeżyć.



Wanda Zając

Była tu też poruszona sprawa dojrzałości do przyjęcia cierpienia, do spotkania się z Bogiem, może nawet z drugim człowiekiem, bo nieszczęścia czasem zbliżają nas do siebie. Pani Joanna opowiadała o katastrofie smoleńskiej, w której zginął jej mąż. Przypomniałam sobie moment, kiedy dowiedziałam się o katastrofie. Byłam wtedy na zajęciach dla wolontariuszy w ośrodku hospicyjnym na

Targówku. Uczono wolontariuszy, jak posługiwać ludziom chorym terminalnie. W pewnym momencie ktoś z pracowników wszedł na salę i powiedział, że spadł samolot, prawdopodobnie wszyscy zginęli. Ksiądz, który prowadził to hospicjum, zaproponował modlitwę. Chwilę po wspólnej modlitwie ksiądz powiedział „wszyscy prowadzimy dalej zajęcia”. Dla mnie to było bardzo trudne, bo pojawiły się we mnie myśli, dlaczego nas dotknęła ta katastrofa i co się właściwie dzieje. Potem pomyślałam, że ksiądz jest bardzo dojrzały. Dla mnie to było za trudne tak szybko przejść do porządku dziennego, dla mnie to było za szybko. Teraz wiem, że on był dojrzały, bo na co dzień pracuje z ludźmi terminalnie chorymi, dla niego śmierć to codzienność, nauczył się ją przyjmować.

### **Adam Pietrzak**

Chciałbym odnieść się do jednego wątku tu poruszonego. Pan Krzysztof powiedział, że wobec cudzego nieszczęścia często stajemy bezradni, ale nie akceptujemy tej bezradności. Ona mobilizuje nas do tego, żeby pocieszać, żeby wypełniać obowiązki miłosierne wobec duszy: pocieszać strapionych. Czasem lepiej nic nie robić, ale wspólnie pomilczeć.

Ostatnio zająłem się w swojej działalności w Kościele propagowaniem świadomości, ile nieszczęścia przynoszą rozwody, które są już w tej chwili społecznie akceptowane. Nie mamy już oporów, nie drażnią nas już mężczyźni, którzy mówią, że mają trzecią czy czwartą żonę, albo partnerkę. Mężczyźni, którzy chcą się usprawiedliwić i uciszyć swoje sumienie, mówią, że nie zrobili żadnej krzywdy nikomu. Myślę sobie wtedy, że trzeba by tych mężczyzn wysłać do szpitala dla psychicznie chorych, nie po to, żeby oni się tam sami leczyli, tylko po to, żeby zobaczyli tam swoje dzieci, którym świat się zawalił. Zobaczyli, że są niekochane, że rodzice się nie kochają. Wobec ich smutku i łez nie potrafimy zrobić nic poza jednym – płakać z płaczącymi, nie używać słów, które niczego nie zmieniają, umieć wejść w nieszczęście drugiego człowieka i współczuć. Niestety często nie umiemy tego robić.

Kiedy zabieramy kogoś do samochodu, to odczuwamy przymus mówienia, bo gdy milczymy, obawiamy się, że nasz gość pomyśli, że go nie akceptujemy. Podobnie czujemy konieczność „zagadania” nieszczęścia drugiego człowieka.

### Kazimierz Szalata

Chciałbym nawiązać do bardzo ciekawego rozróżnienia, które przedstawiła nam pani Wanda, między tym, co złe, a tym, co trudne. Otóż jeżeli spotyka nas jakaś trudna sytuacja, to mamy zawsze skłonność oceniania i mówimy od razu, że spotkało nas jakieś zło. A ze zła nie da się przecież wyprowadzić dobra. Nie nam oceniać, czy to, co nas spotkało, jest dobre czy złe. Bóg daje nam czas, liczy się z naszą psychiką, która dojrzewa.

Od kilkunastu lat chodzimy razem z harcerzami w dzień chorych do szpitala przy ulicy Niekłańskiej, gdzie organizujemy dla chorych dzieci gry, koncerty, zabawy. W tym roku, kiedy mieliśmy już wyjeżdżać do szpitala, dotarła do nas straszna wiadomość. Zginął Kamil Kulczycki, który od lat organizował z nami to prawdziwe święto chorych dzieci. Kamil miał 24 lata. Był narzeczonym mojej córki. Razem zakładali Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Przez dziesięć lat codziennie starali się zrobić coś dobrego. Mimo wszystko pojechaliśmy do szpitala, tym bardziej że czekali na nas umówieni muzycy. Co prawda, kapelan szpitalny powiedział, że nie należy nic mówić dzieciom i jak zwykle urządzić dla nich koncert i zabawy, by nie popsuć im święta. Kiedy jednak przekazałem tragiczną wiadomość muzykom, którzy przecież od lat przychodzili tu z Kamilem, powiedzieli, że nie są w stanie zagrać. Owszem, zagrali tylko jedną spokojną piosenkę „Mała błękitna chusteczka” i widziałem, że nie potrafili grać dalej. Mieli łzy w oczach. Oczywiście powiedziałem dzieciom, dlaczego nie zrobimy dzisiaj święta i dzieci przyjęły to z dojrzałym zrozumieniem.

Przypominam sobie też inną historię. Kiedy mój ojciec w zaawansowanej chorobie nowotworowej trafił do szpitala, leżał na sali z równie chorym człowiekiem, który się strasznie buntował. I kiedy na sali pojawił się ksiądz, zaczął go pytać „dlaczego Pan Bóg nas oszukuje... to jest niesprawiedliwe”. Ksiądz go wtedy zbeształ „Ty bluźnisz Panu Bogu, a przecież za chwilę skończy się Twoje życie”. To było straszne.

Pamiętam też inny przykład ze szpitala w Zamościu. Czuwaliśmy przy ciężko chorym, który cały czas powtarzał, że jeszcze nie czas, jeszcze nie teraz, gdy wszyscy przekonywali go, że powinien się natychmiast wypowiadać. Widząc to i słysząc nasze rozmowy, obecny tam ksiądz kapelan powiedział: „zostawcie go, dajcie mu

czas”. Zrezygnowaliśmy. Moja żona całą drogę wyrzucała nam i sobie, że nic nie zrobiliśmy, by się przygotował do śmierci. Następnego dnia pojechałem do szpitala i na stoliku obok łóżka chorego znalazłem kartkę, na której było napisane: „chory wyspowiadał się, został zaopatrzony w Najświętsze Sakramenty. Godzina 0.40”.

Jest czas, który daje nam Bóg, abyśmy mogli dojrzeć. To czas, którego nie mierzy się ani w minutach, ani w godzinach. Każdy dojrzewa inaczej. Jeden szybciej, drugi wolniej, a kiedy patrzemy na całą tradycję judeochrześcijańską, widzimy, że Pan Bóg daje nam czas i liczy się z tym, że każdy człowiek jest inny, każdy potrzebuje swojego czasu. Przynagła nas, ale nie zniewala. Daje nam czas.

Ponieważ na samym początku pojawiła się wizja, jak to jest z chrześcijaństwem – czy ono jest radosne, czy gloryfikuje postawy smutku i płaczu, przytoczę słowa Raoula Follerau, któremu wiele zawdzięczam: „bycie chrześcijaninem to rzecz wspaniała, chrześcijanin marzy i realizuje marzenia. Ateista zaś planuje i ciągle mu nie wychodzi, całe życie jest smutny”.

W tym roku brałem udział w Kongresie Rodziny z okazji otwarcia Roku Wiary, w Paryżu, przy Bazylice Najświętszego Serca Jezusa na Montmartre. Rozmawialiśmy m.in. o tym, jak dzisiaj przedstawia się w mediach rodzinę katolicką. Najczęściej jest ona przedstawiana w sposób karykaturalny, jako porażka człowieka żyjącego ciągle z tą samą żoną i w zniewoleniu obowiązków rodzinnych. To jest smutne.

Trzeba zatem zmienić sposób prezentacji rodziny, sposób prezentacji chrześcijaństwa. To prawda, że rodziny wielodzietne mają ogromne problemy, ale to jest równocześnie ogromne szczęście. Coś na ten temat wiem. Mam trójkę dzieci, w tym naszą Anię, która od najmłodszych lat jeździła na wózku inwalidzkim. Wiem, że opieka nad niepełnosprawnym dzieckiem to rzecz trudna, ale wiem też dobrze, ile daje radości. Nam często brakuje czasu dla dzieci. Dziecko niepełnosprawne wymusza na nas ten czas, bo trzeba mu stale pomagać, trzeba być przy nim cały czas – mamy okazję odkrywać każdego dnia radość bycia rodzicem. A to jest prawdziwe, niekłamane szczęście, tylko musimy jeszcze nauczyć się dzielić z innymi naszą radością.

Mam znajomego, który ożenił się i kilka lat po ślubie jego żona została sparaliżowana. Całe życie opiekował się nią, jak to często

mówimy „roślinką”. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, by ją zostawić. Mówiłem: „słuchaj, Marian, zawieziemy gdzieś do sióstr twoją żonę, żebyś miał chociaż tydzień odpoczynku”. Nigdy jej nie zostawił samej. Karmił ją, przewijał, mył. Tylko tym się zajmował w ciągu dnia, a nocą jeździł taksówką. Kiedy po dwudziestu pięciu latach zmarła jego żona, uświadomił sobie, że jego życie naprawdę było szczęśliwe, bo miał dla kogo żyć. Na pogrzebie wszyscy mówili: „no, nareszcie, ale się namęczyłeś”. A on bezradnie pytał: „co ja teraz zrobię? Przecież całe życie poświęciłem mojej żonie”.



Paneliści: od lewej Kazimierz Szałata, Joanna Krupska, Adam Pietrzak, ks. Henryk Małecki

Być może, ktoś powie, że to jest jakiś świat na odwrót, ale to jest prawdziwy świat. Ile razy przychodzili do mnie dziennikarze, by rozważać za i przeciw eutanazji w trudnych życiowych sytuacjach. Zwykle odsyłałem ich do mojego znajomego, który takich wątpliwości nie miał. Niestety, nikt się nie zdecydował, a może nie miał odwagi pojechać i porozmawiać z tym człowiekiem, który jest wzorem męża. On miał wszystkie powody, by wziąć sobie drugą żonę, zorganizować sobie życie, oddać sparaliżowaną żonę pod opiekę państwa.

Takich świadków nam trzeba, ale naszym zadaniem jest pokazywać ich prawdziwie, takich jacy są – ludzi szczęśliwych, choć to szczęście okupione jest prawdziwą ofiarą. To samo dotyczy rodzin wielodzietnych, w których żyje się coraz trudniej i biedniej, ale szczęśliwiej.

### **Joanna Krupska**

Czuję się trochę wywołana przez pana, bo jestem prezeską związku rodzin wielodzietnych. Sama też mam siódmkę dzieci. W naszym statucie jest walka z takim stereotypem rodziny wielodzietnej. W wielu mediach rodziny wielodzietne są przedstawiane jako rodziny patologiczne. Czujemy się niesprawiedliwie traktowani przez społeczeństwo, które nas tak odbiera. Jesteśmy normalnymi rodzinami, w których jest mnóstwo życia, mnóstwo intensywnych doznań, radosnych i smutnych, ale myślę, że pomimo tych wszystkich trudów, które spotykają rodziny wielodzietne, przeważa radość z rozwoju dzieci, z tego życia, które tak intensywnie toczy się w naszych domach.

Chciałam też odnieść się do tego, co pani mówiła na temat dojrzałej reakcji na trudną sytuację, z którą spotkaliśmy się, na rozstanie, na śmierć najbliższych. Bałabym się takiej oceny, czy jakaś reakcja jest dojrzała czy niedojrzała. Każdy reaguje inaczej i każdy ma prawo reagować tak, jak reaguje. Niektórzy potrzebują się wyłączyć, niektórzy płaczą, niektórzy potrafią grać i śpiewać. Myślę, że nie ma nic złego w tych reakcjach. To co się wydaje niebezpieczne, to próba wyparcia smutku w sytuacji, kiedy się stało coś złego, coś trudnego. Wyprzec smutek, nie czuć go. To jest niebezpieczne. Reagujemy bardzo różnie i myślę, że nie oceniamy, czy to jest dojrzałe czy nie, bo tego naprawdę nie wiemy.

### **Jan Zmysłony**

Przyjechałem tutaj ze szpitala uzdrowiskowego. Jestem na przepustce. Tak się złożyło, że po rocznej chorobie trafiłem do miejsca, gdzie przyjeżdżają ludzie z całej Polski. Można powiedzieć, że są to ludzie, którzy się smucą, bo cierpią. Życie tam narzuca pewien rygor. Wszyscy jesteśmy poddani rehabilitacji. Musimy zmierzyć się z tym swoim smutkiem i działać, być aktywni.



Jan Zmysłony, w pierwszym rzędzie, z mikrofonem

Po tym dzisiejszym spotkaniu jutro tam wrócę i postaram się tych ludzi pocieszać. Być z nimi i razem z ich problemami. Po prostu im pomagać i zgodnie z Bożym nakazem – smutnych pocieszać.

### **Adam Pietrzak**

Miałem znajomą, która już nie żyje. Była chora onkologicznie. Leżała w szpitalu na Wawelskiej, w sali ośmioosobowej. Była jedyną osobą wierzącą w tym gronie. Była codziennie na Eucharystii i odmawiała codziennie brewiarz. Była zupełnie inna, bo nie okazywała cierpienia, choć pewno tak jak inni odczuwała ból i wszystkie strapienia oraz świadomość, że już niewiele życia jej zostało. Kiedy ją wypisano z oddziału, kobiety, z którymi leżała, prosiły ją, by przychodziła do nich i się z nimi modliła. Przychodziła tam potem przez kilka miesięcy i nauczyła je modlić się brewiarzem, bo one były niewierzące z zaniedbania. Były to osoby ochrzczone, ale takie, które zapomniały, że jest Bóg, że jest modlitwa, że jest możliwość dotknięcia Go, a ona to robiła swoją postawą. Nasza obecność wobec cierpienia drugiego człowieka musi być rozumna i moja znajoma tę rozumność wykazała w maksymalnym stopniu. Warto się nad tym

zastanowić, ponieważ czasem cierpienie dotyka nas samych, a czasem jesteśmy świadkami cierpienia i powinniśmy zdawać sobie sprawę, że nasze chrześcijaństwo jest powołaniem do tego, żeby zajmować wobec tego cierpienia stanowisko, żeby stosować miłość, która jest pragnieniem dobra dla drugiego człowieka.



Paneliści i słuchacze

## C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

### **Sofija Okolko**

(Ukraina, obecnie studiuje na SWPR w Warszawie)

Na naszej ziemskiej drodze jest bardzo dużo tęsknot. Można tęsknić za utraconą bliską osobą, za utraconym mieniem, zdrowiem, ale też istnieje tęsknota duszy do nieba. Tęsknota ta gryzie serce ludzi nawet pośród radości i zabaw na tym świecie.

Obecnie jestem daleko od domu, od bliskich... i jest to nowy etap w moim życiu, chyba najtrudniejszy z dotychczasowych. Mimo że jestem osobą niezależną i optymistycznie nastawioną, ada-

ptowanie się do innego sposobu życia jest trudnym doświadczeniem. Brak mi rodziny, przyjaciół, bliskich mi osób duchownych, którzy zawsze mogli mi coś doradzić czy pocieszyć. Teraz mam tylko ich uśmiech i mądre słowa w moim sercu.

Mimo wszystko rozumiem i czuję, że mam siły na każdy dzień do pracy, rozwiązywania różnych problemów i zdobywania wiedzy. Tęsknota, która głęboko ukryta jest w moim sercu, to tęsknota za świętym i czystym życiem. Aby prowadzić je nie według mojej woli, ale woli Bożej.





*Błogostawieni cisi,  
albowiem oni na własność posiadają ziemię*





## Cytaty

**Ks. Józef Pierzchalski, SAC**  
**Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię**  
(fragmenty)

Trzecie błogosławieństwo dotyczy „cichości” i wydaje się rzeczą szczególnie intrygującą zgłębienie tej postawy, którą dzisiaj uważamy za mało popularną. Istotnie, słowo „cichość” rzadko jest dziś używane, ale jeśli już się go używa, to z jakimś odcieniem negatywnym: albo jako słabość, szybkie ustępowanie innym, albo, przeciwnie, jako niewzruszoność, obojętność, właściwa człowiekowi, który kieruje się zimnym wyrachowaniem albo celami politycznymi. Najczęściej jednak „cichość” przywodzi nam na myśl człowieka, który daje się łatwo nabrać i nigdy nie potrafi postawić na swoim.

Według Błogosławieństw ten jest człowiekiem cichym, kto mimo natężenia swoich emocji pozostaje elastyczny i nieskrępowany, niezaborczy, wewnętrznie wolny i zawsze w najwyższym stopniu szanujący tajemnicę wolności swoich bliźnich. Przypomina w tym Boga, który działa z najwyższym szacunkiem dla człowieka i pobudza go do posłuszeństwa i miłości, nie używając nigdy przemocy.

Cichość staje się więc przeciwieństwem wszelkiej formy przemocy fizycznej czy moralnej; staje się zwycięstwem pokoju nad wojną, dialogu nad gwałtem. „Cichość” z Błogosławieństw nie jest niczym innym, jak tym aspektem pokory, który zaznacza się jako uprzejmość świadczona bliźniemu. Przykładem takiej cichości i jej doskonałym wzorem jest osoba Jezusa, cichego i pokornego sercem. W gruncie rzeczy tak rozumiana cichość okazuje się formą miłości, która jest cierpliwa i subtelna wobec drugiego człowieka.

Co należy czynić:

Nie rościć sobie pretensji do ostatniego słowa w każdej dyskusji. Niekiedy nie potrafimy się zgodzić, żeby to ktoś inny zakończył dyskusję; chcemy, żeby ostatnie słowo należało zawsze do nas. Byłoby rzeczą bardzo piękną, gdybyśmy się praktycznie nauczyli tego błó-

głosławieństwa i potrafili również w pewnym momencie pokornie zamilknąć, godząc się, że przeważy racja kogoś innego, bo w gruncie rzeczy to nie jest aż takie ważne zawsze mieć ostatnie słowo.

Nie odpowiadać złem na zło. Przez „zło” nie rozumiem tutaj tylko przemocy fizycznej, ale również te maleńkie złośliwości w rozmowach, na które często mamy ochotę odpowiadać równie maleńkimi złośliwościami; te wszystkie pomówienia, na które reagujemy podobnymi pomówieniami; czy te wszystkie obraźliwe aluzje, w które obfitują wypowiedzi nasze i bliźnich, odpłacane równie obraźliwymi aluzjami. To wszystko sprzeciwia się chrześcijańskiej łagodności – „cichości” z Jezusowych Błogosławieństw.

**Stanisława Grabska**  
**Błogosławieni cisi**  
(fragmenty)

Co to znaczyło „cichy” dla słuchających Jezusowych błogosławieństw? Głośnymi w życiu Izraela byli ludzie możni – królowie i książęta, ludzie sławni – nauczyciele i uczeni w Piśmie. Głośnymi byli też kupcy na targowisku, spierający się o zysk.

Cichymi byli rybacy na jeziorze, rolnicy siejący ziarno, kobiety w ich domach, poddane władzy męża i nie mające prawa do żadnych funkcji w społeczności. Cisi to ci, którzy pracują, służą i nie zabiegają o własne wywyższenie. Cisi to w życiu tego świata ci, do których ziemia nie należy, choć oni ją czynią ludzką i do zamieszkiwania zdatną.

Jezus był cichy i pokornego serca – On, który będąc Synem Bożym przyszedł służyć, a nie po to, by Jemu służono, który przeszedł przez ziemię, czyniąc dobrze, a wiedziony na śmierć jak baranek, ust nie otworzył w swej obronie.

Boża ziemia – przez Pana stworzona i napelniona życiem – nie należy do królów ani do wojsk, ani do gwiazd filmu czy sportu, ale do tych cichych, dobrych ludzi, których nikt nie dostrzega, a z których pracy i troski, i serc wielu korzysta.

To, co krzykliwe, minie i zgaśnie, jak szybko gaśnie płonąca słoma, a ci, nikomu nieznanymi, zostaną ze swym dziełem na wieczność. To właśnie ta ziemia, którą tworzy cicha praca, cicha pomoc bliźnim, dobre, ciche słowo, spojrzenie, życzliwy uśmiech, a czasem

mocne i uparte, choć nie krzykliwe i bez reklamy pozostawanie przy prawdzie, dobru i sprawiedliwości wbrew hałaśliwej reklamie zła – jest już teraz „nową ziemią”, ziemią Królestwa Bożego, gdyż wprowadza inną orientację od powszechnie stosowanej.

**Ks. Zygmunt Podlejski**  
**Błogosławieni cisi**  
(fragmenty)

Trzecie błogosławieństwo obnaża pewien stereotyp obecny w ludzkiej mentalności, który polega na przekonaniu, że zło tego świata można i trzeba zwalczać przy pomocy siły; bić do utraty tchu, gdy się samemu oberwało. Taka metoda „naprawiania” świata jest zupełnie nieskuteczna, bo pałający chęcią odwetu i zemsty upodabnia się do agresora, sam się nim staje i do już istniejącego zła dodaje kolejne. Gniew rodzi się ze strachu, z egoizmu. Cnota cichości, łagodności wzmacnia wolność człowieka, a równocześnie uczy go umiaru. Człowiek cichy panuje nad uczuciami gniewu i zemsty.

Mahatma Gandhi nazwał później taką postawę biernym oporem i udowodnił, że jest ona tak skuteczna, że stosując ją, można zmusić do kapitulacji nawet potężne imperium. Przywódca indyjski powiedział, że nieużywanie przemocy nie jest bronią słabych, lecz mocnych serc. I dodał: „Kto nie chce używać przemocy, nie może się gniewać na tego, kto go obraża. Nie może mu życzyć źle. Musi mu życzyć dobrze (...). Używanie przemocy jest czystą formą miłości”.

Chrystus obiecał cichym, że posiadą ziemię. Również historia dostarcza wielu cennych przykładów, że należy Jego obietnicę traktować poważnie. Jednym z nich jest upadek reżimu komunistycznego. Przyczynił się do niego cichy papież i ludzie, którzy uwierzyli Jezusowej obietnicy.

Duch cichości jest silniejszy od przemocy i niesprawiedliwości. Potrafi dla królestwa niebieskiego zrobić o wiele więcej niż Kodeks prawa kanonicznego, działania administracyjne czy polityczne. Jezus rządzi światem przy pomocy miłości. Szanuje jednak człowieczą wolność. Naśladowanie Jezusa jest jedyną skuteczną drogą do pokonania wszelkiej agresji, przemocy, fałszu i niesprawiedliwości.



## KONWERSATORIUM LIX

(15 grudnia 2012)

### **Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię**

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Karolina Pietruk, doktor nauk o zdrowiu, wykładowca na WUM i przełożona pielęgniarek w Hospicjum Onkologicznym im. św. Krzysztofa na Ursynowie w Warszawie; brat Kazimierz Dmitrzak, ze zgromadzenia Małych Braci Jezusa; Alojzy Witeska, profesor dr hab. nauk med., urolog; Małgorzata Jabłońska, teolog, pracownik administracyjny UKSW; ojciec diakon Wojciech Mojecki, ze zgromadzenia Kamilianów.

#### **Ks. Adam Zelga**

Dzisiaj spotykamy się, aby mówić o ciszy. Ciszy trzeba słuchać, ciszą trzeba żyć, w ciszę trzeba uciekać, ponieważ cisza jest niezwykłym, cennym doświadczeniem budującym człowieka. Myślę, że cisza naświetlona jednym reflektorem robi wielkie wrażenie, ale naświetlona pięcioma reflektorami, przez pięciu znakomitych panelistów, pozwoli spojrzeć na nią znacznie szerzej, niż może to zrobić każdy z nas.

#### **Karolina Pietruk**

Pracuję w hospicjum stacjonarnym. Swój pierwszy dzień pracy wspominam jako bardzo trudny. To było jeszcze w czasie moich studiów, na których uczono nas, że mamy walczyć o życie, że mamy ratować życie za wszelką cenę. Uczono nas, jak rozszerzać nowe technologie diagnozowania i uczyć się nowych metod leczenia.

Kiedy pewnego dnia znalazłam się na praktykach w hospicjum stacjonarnym, skonfrontowałam z tym wszystkim to, czego mnie uczono. Trudno było mi się pogodzić z tym, że w hospicjum już nie walczy się o życie.



Paneliści i słuchacze

Zacząłam wtedy obserwować personel pracujący w hospicjum stacjonarnym. Były to osoby bardzo otwarte, spokojne, które potrafiły z szacunkiem podejść do drugiego człowieka, a w cierpieniu i umieraniu widzieć nie błąd medycyny – tylko człowieka, który odchodzi. Kiedyś powiedziałam jednej z pielęgniarek, że wykonuje bardzo trudną pracę. Ona zgodziła się ze mną, ale dodała: „pamiętaj, że jeżeli nauczysz się tej pracy i zrozumiesz jej sens, to sobie poradzisz w wielu dziedzinach swojego zawodu”. W czasie ostatniego roku moich studiów zaczęłam bić się z myślami, żeby może jednak spróbować tej pracy w hospicjum. Teraz, po pięciu latach pracy w hospicjum, mogę powiedzieć, że nie widzę nigdzie indziej dla siebie miejsca. Ta praca ma dla mnie sens.



Karolina Pietruk

W hospicjum śmierć jest zjawiskiem codziennym. Ona przychodzi w dzień i w nocy, codziennie i jedyne, co możemy o niej powiedzieć, to – że przychodzi zwykle za wcześnie. Każdego dnia hospicjum uczy mnie cierpliwości, spokoju, zrozumienia dla cierpienia. Pokazuje, że mam się pozbyć postawy udowadniania, że moje jest na wierzchu i chęci pokazania swoich ambicji w zawodzie, bo podstawą pracy z pacjentem umierającym są jego potrzeby i jego oczekiwania. Mimo że pacjent jest u kresu swojego życia, to on też ma swoje potrzeby i my jesteśmy po to, żeby je realizować.

W hospicjum nie każdy pacjent jest spokojny, życzliwy i otwarty na nas – a z takim pacjentem łatwo się nam pracuje i porozumiewa. Zdarzają się natomiast pacjenci nieprzyjemni, złośliwi i marudni. W życiu mamy możliwość wyboru, czy my chcemy z takimi osobami przebywać, obcować, czy nie. Jeżeli mamy takiego pacjenta w hospicjum, to wielką sztuką jest, żeby zobaczyć w tym złośliwym, przeklinającym do nas i na nas pacjencie też człowieka. Jest to duża wartość i duża łaska, żeby go nie określać mianem trudnego pacjenta, nie dać mu takiej etykiety i omijać go szerokim kątem, tylko widzieć w nim człowieka, jak w każdym innym pacjencie. To jest pokora, spójność i ta otwartość, których uczę się przy tych pacjentach.

W hospicjum bardzo często pacjenci, których mamy, to pacjenci bez kontaktu, umierający, którzy mają zamknięte oczy i widać tylko, że oddychają. Jest bardzo ważne, żeby nie traktować tych ludzi jak słupy telegraficzne. Co to znaczy? Wyobraźmy sobie słup telegraficzny przy drodze – cały okablowany, a równocześnie zastanówmy się, czy mijając go, zwracamy na niego uwagę. Tak samo nasi pacjenci. Oni też bardzo często są okablowani, mają dreny od kroplówek i różnego rodzaju cewniki, sondy. I rodzi się pytanie: czy my, wchodząc na salę z takimi pacjentami, będziemy tylko sprawdzać, czy przepływ w pompie jest prawidłowy, czy dren nie jest zagięty, czy wszystko dobrze funkcjonuje – zapominając o naszym pacjencie. To, że on do nas nie mówi, nie znaczy, że on nas nie czuje. Jest bardzo ważne, żeby każdego dnia pomyśleć o tym, że może to, czego nasz pacjent potrzebuje, to bliskość i ciepło drugiej osoby i to jest te pięć sekund, na które możemy przystanąć przy pacjencie i po prostu z nim pobyc. To może być w tych ostatnich chwilach życia dla niego najważniejsze. Warto, by te ostatnie chwile były jak najlepsze dla tego pacjenta.

I może teraz troszkę powiem, jak odnoszę się w tej pracy do cichości i co ona mi daje zawodowo i prywatnie.

Cichości w hospicjum uczyć się każdego dnia. Z jednej strony, można mieć tytuły naukowe, można być ekspertem w dziedzinie, w której się pracuje, natomiast nikt nie jest ekspertem od życia pacjenta, od umierania danego pacjenta, nie jestem ekspertem od śmierci. Nie mogę dać recepty, nie mogę narzucić ani nakazać, jak dana rodzina czy dany pacjent ma się zachowywać po to, żeby było jak najlepiej. Bo każda śmierć jest inna, każde umieranie jest inne i to pacjent ma prawo wyboru, jak to będzie wyglądać. To co jest rolą zespołu, który pracuje w hospicjum, to jest podążanie za pacjentem, za jego potrzebami i takie nakierowanie opieki, żeby te ostatnie chwile były jak najbardziej autentyczne dla pacjenta, jak najbardziej ciepłe i w atmosferze bliskości z drugim człowiekiem.

Ja nie zawsze jestem wzorem cichości w hospicjum, bo są różne sytuacje, natomiast za każdy moment czy w hospicjum, czy w życiu prywatnym takiej cichości, czyli otwartości na drugiego człowieka, szacunku do drugiego człowieka, widzenia wbrew wszystkiemu człowieka w drugim człowieku, jestem wdzięczna Bogu. Myślę, że o tę łaskę cichości względem drugiego człowieka warto się modlić.

### Małgorzata Jabłońska

Jestem teologiem. Kiedy mnie tu zaproszono, od razu zerknęłam do Pisma Świętego, żeby zobaczyć, jakie są komentarze: „cichy” to znaczy *delikatny, łagodny*, co wcale nie jest bez znaczenia w związku z tym, o czym będę dalej mówić. To samo słowo „cichy” jest użyte także u Św. Mateusza (11,28-29), gdzie Jezus mówi o sobie: „jestem cichy i pokornego serca”. W ostatnim tłumaczeniu Ewangelii słowo „cichy” jest przyjęte jako *łagodny*.



Małgorzata Jabłońska (z mikrofonem). Obok Karolina Pietruk i brat Kazimierz Dmitrzak

Chciałabym odnieść to błogosławieństwo do osób pogrążonych w głębokim kryzysie. Myślę o zdarzeniach granicznych, jakimi są utrata bliskiej osoby, bardzo ciężka choroba, śmierć bliskiej osoby, rozwód, porzucenie czy odrzucenie przez bliską osobę, skazanie na niechcianą samotność czy wykluczenie. Jest to doświadczenie, którego my nie chcemy przyjąć, które jest dla nas bardzo trudne, a jednocześnie bardzo często wpływa na całe nasze dalsze życie. Pierwszym naszym odruchem jest reakcja obronna, żeby tego nie przyjąć.

Zacznę od własnego świadectwa. Takie bardzo trudne doświadczenie graniczne przeżyłam 20 lat temu. Niemal wszystkie te doświad-

czenia zdarzyły się w jednym czasie. Umieranie mojej mamy, wykluczenie, utrata bliskiej osoby i inne trudne doświadczenia. Był to dla mnie moment tak trudny, że wydawało się, że jest to nie do przeżycia.

Odruchowo włączamy wszystkie mechanizmy obronne, czyli odrzucamy, interpretujemy zupełnie inaczej, wydaje się nam, że to nie jest możliwe. Biegamy od jednego lekarza do drugiego. Taka walka może trwać bardzo długo, gdy nie jesteśmy w stanie przyjąć zaistniałej sytuacji. W pewnym momencie następuje poddanie, przyjęcie do wiadomości tego, co tak się naprawdę dzieje, adaptacja zaistniałych wydarzeń. To jest czas, w którym rodzi się cisza, która zaczyna układać na nowo życie po ciężkim kryzysie, która pomaga nam przetrwać i rodzi w nas siłę. Ja tak rozumiem błogosławionych cichych, którzy doświadczają sytuacji granicznych i potrafią nie buntować się, tylko przyjąć cierpienie, graniczne sytuacje w pokoju. To jest proces, który trwa bardzo długo. Myślę, że jest to dar Ducha Świętego. Będzie owocował tą dalszą częścią zdania, czyli oni „posiądą ziemię”.

Ludzie cisi charakteryzują się tym, czego nie czynią, czyli wstrzymują się od zemsty, od gniewu, od złości. To jest wejście w bardzo głęboką ciszę i wtedy pojawia się pokora, która jest siostrą ciszy. Dlatego nawiązałam do Ewangelii św. Mateusza, gdzie Jezus mówi, że jest „cichy i pokornego serca”. Pokora jest siostrą ciszy. Pokora to nie jest wzgardzenie samym sobą. Mamy dwa aspekty pokory: pierwszy, to jest taka świadomość, poznanie samego siebie, kim jestem, czyli własnej słabości, kruchości, tym, że nie nad wszystkim panuję, że nie mam na wszystko wpływu, ale pokora jest też godnością dziecka Bożego. Jest we mnie zapisany kod Boga. Jestem dziedzicem Boga i to, co zostało dane na tym świecie, należy również do mnie. I kiedy obok ciszy rodzi się taka pokora, jest to początek narodzin nowego człowieka.

We mnie okres tej walki trwał półtora roku i potem przyszła cisza. Byłam zdumiona, bo ta cisza była i we mnie, i na zewnątrz. Zostałam wyrzucona w drugi koniec Polski, w zabita wieś, gdzie nawet telefon był jeszcze na korbkę, zostałam odłączona od wszystkich bliskich i przyjaciół. Cisza stała się moim błogosławieństwem. Przestałam tęsknić za kimkolwiek. Wiem, że kiedy po roku pojechałam do moich bliskich, byłam zupełnie innym człowiekiem. Narodziły się we mnie nowe wartości. Jezus mówi, że oni na wła-

sność posiadają ziemię. W moim przypadku stało się tak dosłownie. W rok później jeździłam po całym świecie, latałam samolotami, Azja, Afryka, zobaczyłam wiele rzeczy, poznałam nowych ludzi i z tego kryzysu wyszłam bardzo ubogacona.

Cieszę się, że jest tu wielu młodych ludzi. Zajmuję się profilaktyką uzależnień i chciałam powiedzieć, że wszystkie kryzysy, które wy, młodzi, będziecie kiedyś przeżywali, postawią przed wami możliwość wyboru – albo wybieriecie ciszę, która pozwoli wam wzrastać, albo, nie mogąc poradzić sobie z silnymi napięciami, wpadniecie w uzależnienia. Musimy zdawać sobie sprawę, że proces wchodzenia w ciszę jest często bardzo trudny, dopóki ta cisza do nas nie dotrze. Teraz prawie w każdej rodzinie jest ktoś uzależniony. Myślę, że jest to wynikiem braku odporności na przeżywanie cierpienia i momentów krytycznych.

### **Alojzy Witeska**

Chwila ciszy może zadecydować czasami o całym życiu. Pamiętam, że wybierałem się na całkiem inne studia. Jechałem na wigilię z Legionowa do siostry, która miała dyżur w szpitalu. Następnego dnia powiedziałem jej, że pójdę na medycynę, a ona zaczęła się śmiać. Poszedłem na medycynę i pierwszego kopniaka dostałem na trzecim roku, kiedy zmarła moja mama, mająca 42 lata. Wtedy uważałem, chodząc do chorych, że medycyna może zrobić wszystko. Niestety, przegrałem. Miałem jeszcze jedną pretensję do Boga, że nie pozwolił mi się nią zaopiekować.

Później z tą ciszą było u mnie różnie. Trudno jest wymagać ciszy od trzyletniej dziewczynki, której przeszczepia się moczowody, a ona następnego dnia mówi: „zobacz, wujek, zdążyłeś tylko wyjść, jak mi zrobili brzydki opatrunek”, a następnego dnia do matki serwuje tekst: „ty niedobra matko, nie chciałaś przynieść mi kapusty”. Proszę państwa, trudno wymagać ciszy od wieśniaka, którego przywieziono gdzieś z głębokiej prowincji i który chwali się, że ma dzieci, które go odwiedzają. Owszem, przyjeżdżają dwie córki, jedna przywozi mandarynki, druga pomarańcze, o które wtedy było ciężko, ale zaraz za nimi wchodzi notariusz, a syn, który przyszedł, włączył sobie telewizor. Trudno wymagać ciszy od człowieka, który wie, że jutro, ratując mu życie, okaleczę go, bo mu muszę przyczepić moczowody do skóry, będzie się załatwiał przez worek.



Alojzy Witeska

Miałem świetnego nauczyciela, który mnie nauczył, żeby rano w soboty i w niedziele być u pacjentów. Przez ostatnie 24 lata, kiedy prowadziłem klinikę MSW, rano przychodziłem do chorych, aby sprawdzić wyniki i wtedy była minuta na ciszę. Przychodził ksiądz i widać było wahanie u pacjentów: wypowiadać się czy nie, co pan lekarz radzi. Jako wierzący zawsze doradzałem spowiedź. Niektórzy spowiadali się po kryjomu. Takie były czasy.

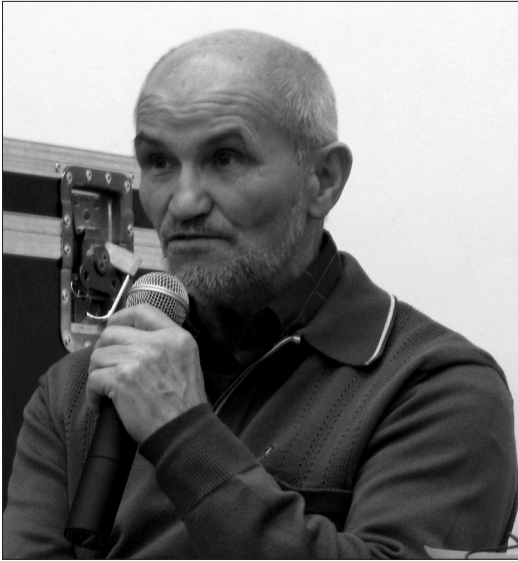
Najwięcej ciszy przeżyłem, chodząc do Częstochowy. Tam poznałem swoją żonę, która niestety odeszła w tym roku. Kiedy ksiądz kardynał Wyszyński był w więzieniu, warszawska pielgrzymka chodziła w milczeniu. To była najlepsza lekcja ciszy. Wtedy byłem jeszcze młodym człowiekiem. Zapamiętałem to na całe życie.

### **Kazimierz Dmitrzak**

Mam na imię Kazek. To jest istotne, bo nie jestem ani wielkim profesorem, ani doktorem. Po prostu mam chrzest i ten chrzest mnie do czegoś zobowiązuje – do głębokiej refleksji i do wielkiej ciszy. Każdy chrzest prowadzi do tego, żeby zostać dzieckiem Bożym.

Mam 68 lat i połowę swojego życia przeżyłem w zgromadzeniu Małych Braci Jezusa. Byłem człowiekiem bardzo gwałtownym. Urodziłem się pod Przemyślem, tam mnie nauczono, że warto

mieć siekierę pod poduszką, a na strychu karabin. Poszedłem do szkoły budowlanej, uczyłem się na murarza i tynkarza. Zacząłem ćwiczyć w klubie samoobrony, gdzie nauczyłem się różnych chwytów. Później były zapasy, trzy lata ćwiczyłem w Stali Rzeszów, znowu tylko walka. Ten jest dobry, kto jest silny. Przyszły studia, znowu było judo, karate. I wreszcie miałem tego dosyć. Wtedy odkryłem wysokie góry. Cisza, błękit, spokój. Odkryłem też świat żagli. Cisza, wiatr i żywioł. Woda i powietrze. Walczyć z żywiołem, znaczy przegrywać. Żywioł należy wykorzystywać. Zdałem sobie sprawę, że muszę coś zrobić ze swoją gwałtownością. Przerzucić ją na inne tory.



Brat Kazimierz Dmitrzak

Wtedy dotarło do mnie przesłanie, które jest od dwóch tysięcy lat. Tym przesłaniem jest po prostu Betlejem i Nazaret. Jezus się rodzi w cichości. Jezus mieszka w cichości, w Nazarecie. W życiu całkowicie normalnym, zwyczajnym, codziennym. Jego siła jest w tym życiu. On pokazuje, że tam są nasze korzenie. Rodzina, praca, spokój.

Przyszedł czas, że musiałem zdecydować, co dalej. Szukałem zgromadzenia zakonnego, bo mając 33 lata, jeszcze się nie ożeniłem. Uznałem, że jeśli się nie ożeniłem do tego wieku, a mam pięć

siostr zameżnych i trzech braci żonatych, to widać znaczy, że moja droga będzie inna. Wtedy odkryłem zgromadzenie Małych Braci Jezusa. Tu nie miejsce, żeby mówić o historii Zgromadzenia i jego założycielu. Wystarczy powiedzieć, że nasze życie ma być takie jak Jezusa Nazarejczyka – ciche, spokojne, zwyczajne, normalne. Tak jak ogromna większość ludzi żyje na całym świecie. Dla ludzi istotne jest mieć rodzinę, mieć na jej utrzymanie i mieć gdzie mieszkać. Siła takiego życia jest powalająca, ogromna. To jest ogromna siła cichych i słabych. Oni po prostu są, a jakość ich życia mówi o tym, czy oni są silni czy słabi. Papież Jan Paweł II mówił: „musicie być silni”. Moźni tego świata pokazują, że siła to jest władza, pieniądź, znaczenie. Otóż u Małych Braci nie ma ani władzy, ani pieniędzy, ani znaczenia. Mamy codzienną, zwyczajną pracę. Pracujemy jako zwyczajni ludzie. Sam pracowałem 25 lat jako murarz. W tej chwili żyję wśród braci, z których jeden pracuje w serwisie zegarkowym, inny jako salowy w szpitalu, kolejny w szkole specjalnej jako pomocnik nauczyciela dla niepełnosprawnych umysłowo dzieci, a jeszcze inny w Lidlu jest wykładowcą chemii. Nasze życie codzienne jest zwyczajne. A gdzie jest cisza? Cisza jest tam, gdzie zawsze jej szukamy. Cisza jest w naszej kaplicy. Każda nasza wspólnota ma kaplicę. Na ulicy Brzeskiej, gdzie teraz mieszkamy, jeden z pokoi jest kaplicą, kilka ikon, obecność Najświętszego Sakramentu. Po pracy idę, siadam lub klęczę, i w ciszy patrzę na Tabernakulum i Ktoś patrzy na mnie. Nie osądza, nie poucza. Patrzy. Ja patrzę na Niego. Ja wiem, że On mnie rozumie i czeka.

Gdy wprowadzaliśmy się na ulicę Brzeską, był to rok 1990, była to ulica, gdzie nie stał wieczorem ani jeden samochód, nie świeciła się ani jedna latarnia. Chodnik był taki, że każdy, kto był nieco starszy, mógł się wywrócić po kilku metrach. Dziki bruk. Codziennie było kilka do kilkunastu napadów i wszyscy nazywali ulicę Brzeską trójkątem bermudzkim. Ludzie, którzy tu mieszkali, byli normalni, zwyczajni, tylko ci, którzy byli i zachowywali się odmiennie, narzucali rytm życia czy opinię o tej ulicy. Nasze mieszkanie musieliśmy sami wyremontować po dzikich lokatorach i po pożarze na strychu. Od samego początku była kaplica. My uważamy, że obecność Jezusa zmienia wiele. Dzisiaj ulica Brzeska jest pokryta asfaltem, chodnik jest wyrównany, latarnie wszystkie się świecą, są całkiem inaczej skonstruowane, nie można powyrywać kabli,

a mieszkający ludzie nadal są zwyczajni. Nie ma napadów. Ktoś powie, że zmieniły się czasy, zmienił się system, zmienili się ludzie. Możliwe. Ja, jako wierzący, mogę powiedzieć, że zmieniło się to wszystko od czasu, kiedy tam zamieszkaliśmy.

Kiedy jeszcze ta cisza jest we mnie? Może być nawet tam, gdzie jest najwięcej zgiełku. Na przykład, idę w marszu, są skandowane hasła. Jestem tam w ciszy. Próbuję się modlić. Może mi to nie wychodzi, ale jestem. Staram się mieć ciszę w sobie.

Tu jest trochę młodych, którzy pewnie czytali Kiplinga „Księgę Dżungli”. Tam jest takie zdanie: „I była taka cisza, aż się ją słyszało”. Możliwe, że będziecie kiedyś w kościele, na jeziorze, na kajakach, w górach, i usłyszycie ciszę. I jak będziecie czytać Rogowskiego o jego chodzeniu po górach, to on powie, że w ciszy mieszka Pan Bóg.

### **O. Wojciech Mojecki**

Jak wszyscy widzą, jestem zakonnikiem. Niektórzy mówią na nas „Krzyżacy”, a ja trochę się śmieję, bo albo są daltonistami, albo są niedouczeni, bo Krzyżacy wyglądają trochę inaczej.



Ojciec Wojciech Mojecki

Na początku muszę wyznać, że nigdy nie chciałem być zakonikiem, a już na pewno, broń Boże, kamilianinem. Zastanawiam się, jak Pan Bóg to zrobił, że ja jestem tutaj przed wami jako zakonnik, po ślubach wieczystych i już po pierwszych święceniach.

Jako zbuntowany nastolatek, trochę ponad dziesięć lat temu, oglądając telewizję, trafiłem na program o bezdomnych na Dworcu Centralnym, gdzie wypowiadał się, już świętej pamięci, mój współbrat Ojciec Bogusław Paleczny. Był to człowiek, który poświęcił całe swoje życie dla bezdomnych. Oglądając ten program, powiedziałem sobie: „Panie Boże, ja jestem w stanie zrobić wszystko w swoim życiu, ale na pewno nie to”. Z tego względu, że odrzucało mnie od osoby bezdomnej, nie potrafiłem zrozumieć, jak można mieć kontakt z kimś, po którym chodzą wszy i nieprzyjemnie pachnie. Ale życie moje tak się ułożyło i Pan Bóg tak zadziałał, że dwa lata później pojechałem na takie wczaso-rekolekcje, też nie wiem dlaczego, nigdy nie chciałem być zakonikiem. W wieku 18 lat pojechałem na te rekolekcje, gdzie patrzyłem na niepełnosprawnych ludzi, wieszonych na wózkach przez ich bliskich, i pomyślałem: „Panie Boże, chyba pojedę do domu, bo nie jestem w stanie zająć się osobą niepełnosprawną. Nie dam sobie rady przez całe dwa tygodnie, 24 godziny na dobę. Tylko cały czas, ja i mój podopieczny, który jest niepełnosprawny na wózku”. Ale poznałem tam odpowiednie towarzystwo, m. in. byli to księża, klerycy i coś mnie zafascynowało w ich postawie.

Na tych wczaso-rekolekcjach był też czas przewidziany na medytację w ciszy. Kaplica była o wiele mniejsza niż ta aula. Na podłodze była wykładzina, tak że można było się nawet położyć przed Najświętszym Sakramentem i w ciszy, w półmroku przy zapalanej świecy, adorować Najświętszy Sakrament. Tak mnie urzekło to miejsce, ta kaplica i ta cisza, że w następnym roku pojechałem już na dwa turnusy.

Później wstąpiłem do seminarium duchownego, co było też paradoksem, bo wtedy zacząłem w sobie odkrywać powołanie do życia zakonnego – nie nadaje się do pracy na parafii, bo to byłoby dla mnie ograniczające; muszę być cały czas w biegu i mieć duży zasięg działania. Wstąpiłem do seminarium, ponieważ to wydawało się najprostsze. Pojechałem na rekolekcje ignacjańskie – dziewięć dni w całkowitej ciszy. Można było rozmawiać ze swoim kierowni-

kiem duchowym chyba tylko przez pół godziny. Więcej się człowiek nie odzywał. Rozmawiałem z nim i powiedziałem mu, że rodzi się we mnie chęć pracowania z chorymi i że wcześniej już trochę współpracowałem z rodzinami dysfunkcyjnymi, osobami niepełnosprawnymi i chciałbym zostać kamilianinem. On się uśmiechnął i powiedział do mnie słowa, które uważam, wypowiedział do mnie Chrystus ustami tego kapłana: „wiesz, Wojtek, ja zawsze chciałem być albertynem, ale jeden ksiądz mi powiedział, że mogę być w diecezji, a ja ci mówię, że tak się nie da. Trzeba wybierać!”. Do końca rekolekcji byłem bardzo cicho i po zakończeniu zabrałem papiery z seminarium i wstąpiłem do Zakonu Ojców Kamilianów Posługujących Chorym. W czasie gdy odbywałem nowicjat, zmarł Ojciec Paleczny, człowiek, który wskazał, że ja mam być kamilianinem.

Nowicjat, który przeżyłem w Taciszowie, był, jak sama nazwa wskazuje, miejscem ciszy. Mielśmy normalnie gospodarstwo, bo to nie jest tak, że mamy osoby nam usługujące. My wszystko robimy sami, począwszy od gotowania, skończywszy nawet na malowaniu czy cerowaniu. W tej miejscowości na Śląsku, w otaczającej mnie ciszy, coraz bardziej odkrywałem jedność z Bogiem, coraz bardziej starałem się dostrzec to, co On do mnie mówi. Pan przemawiał konkretnie przez osoby i wydarzenia. Po nowicjacie następuje bardzo uroczysty moment – obłóczyny. Otrzymuje się habit jako strój zakonny i składa się pierwsze śluby zakonne. Dla mnie był to ważny moment, bo przez cały rok starałem się przeanalizować, co znaczą dla mnie słowa czwartego ślubu zakonnego, który składamy: „będę służył chorym nawet z narażeniem własnego życia”.

Ten rok ciszy uświadomił mi, co to w rzeczywistości znaczy. Od momentu, kiedy sobie to uświadomiłem, stałem się całkowicie innym człowiekiem. Na pewno jestem spokojniejszy. Nie wiem, czy pani doktor Karolina może to potwierdzić z czasu, kiedy razem współpracowaliśmy. Najpierw była koleżanką z tak zwanego szeregu, a potem oddziałową. Trafiłem do hospicjum na praktyki duszpasterskie jako wolontariusz i jako kamilianin, który powinien być łącznikiem między teologią a medycyną. W hospicjum miałem normalne zadania pielęgnacyjne. Bez wewnętrznego oporu kąpałem czy przebierałem chorych. Nawet asystowałem przy opatrunkach, mimo że wcześniej odczuwałem wstręt do jakichkolwiek rzeczy

związanych z rozkładem ciała czy z chorobami. To mnie wcześniej przerażało, teraz nie mam z tym problemu, a nawet bardzo lubię wykonywać takie czynności medyczne. Byłem też osobą, która słuchała ludzi przebywających w hospicjum i osób umierających.

Chciałbym podzielić się krótką refleksją na temat moich obserwacji jako człowieka, który stoi z boku człowieka umierającego, jego rodziny i całego personelu medycznego.

Zacznę od personelu medycznego. Sytuacja jest bardzo skomplikowana. W środowisku medycznym pracującym w hospicjum jest bardzo ciężko o znalezienie chwili ciszy. Panuje ciągły pośpiech i zabieganie. Wiemy doskonale, że jest coraz mniejsza liczba pielęgniarek i pielęgniarzy na różnych oddziałach szpitalnych. To samo dzieje się w hospicjum. Były nawet starania, żeby zwiększyć liczbę personelu medycznego, ale oczywiście nie ma pieniędzy. Pielęgniarki, które we trzy obsługują 26 pacjentów, z czego 24 jest leżących, nie są w stanie zrobić nic konkretnego. Kto z państwa byłby w stanie wykąpać przynajmniej połowę tych osób? Sądzę, że nikt. Nie wspominam już o czynnościach pielęgniarstkich, które wykonują. Nie jest łatwo założyć wenflon. Pielęgniarkom ciężko jest znaleźć ciszę i spokój. Żyją cały czas w biegu, często w paru miejscach pracy, bo z jednej trudno wyżyć.

Inną sytuację odnajdywania ciszy i jej znaczenia obserwuję u rodzin pacjentów. Obserwując członków rodziny, staram się zrozumieć, jakie przesłanie niesie ich cisza. Uważam, że w 90% albo nawet w 95% wynika z bezradności, z nieumiejętności pogodzenia się z sytuacją, że członek ich rodziny, najbliższy, dla którego wielokrotnie nie mieli czasu, byli dla niego niedostępni niekiedy przez kilkadziesiąt lat, teraz odchodzi. Dręczy ich pytanie, jak mają nadrobić ten stracony czas. Cisza jest wyrazem takiej całkowitej bezsilności. Często negatywnie wpływa to na relacje między rodziną a personelem. Dochodzi do kłótni, bo rodzina chorego próbuje siebie usprawiedliwić. Narzuca pielęgniarce nakarmienie w danej chwili mamy czy taty, zmiany pampersa czy poprawienia poduszki, gdyż sama nie umie tego wykonać.

Najpiękniejszą ciszą jest cisza samego pacjenta. Proszę sobie wyobrazić człowieka leżącego na łóżku, który patrzy nieruchomo w sufit czy w ścianę. Czasem na jego twarzy pojawia się uśmiech lub łzy. Jako zakonnik i osoba duchowna pytałem śmiało, o czym

myśli, co się z nim dzieje. Dowiadywałem się często, że cisza, w której się obecnie znajduje, to czas intensywnej refleksji nad swoim życiem. Analizuje swoje życie od najwcześniejszych lat, to, co robił, jak żył, jak postępował, i myśli też nad tym, co zrobić, żeby można było jeszcze coś zmienić.

Jako zakonnik jestem dla tych osób człowiekiem zaufanym i wielokrotnie słyszałem słowa, których nigdy nie powinno się powiedzieć. Najbardziej bolesne i wstrząsające były: „żałuję, że się w ogóle urodziłem, żałuję za swoje życie. Jeżeli się jeszcze da, to chciałbym to zmienić”. Wiemy doskonale, że ci umierający ludzie to ludzie w terminalnej fazie choroby, mają czasem mniej niż dwa tygodnie życia przed sobą. Nie da się wszystkiego nadrobić. Nie da się naprawić całego zła. Niedawno miałem takie zdarzenie, że rodzina trzyosobowa zniszczyła sobie łącznie 165 lat życia. To jest paradoks. Ojciec umierający, matka schorowana, córka wyklęta przez matkę i odkąd się urodziła, była dzieckiem niechcianym. To są bardzo trudne, tragiczne historie. W takiej sytuacji ja, jako zakonnik, mogę tylko słuchać w ciszy, by w pełni wysłuchać tych ludzi.

Staram się działać na każdej płaszczyźnie, czyli wśród pacjentów, wśród personelu, a także wśród rodziny. Jestem osobą, od której często zależy, czy będzie między nimi jakikolwiek kontakt. Staram się załagodzić wszelkie konflikty, kierując się zawsze dobrem pacjenta, który niedługo odejdzie. Mimo że pracowałem w hospicjum tylko dwa i pół roku, byłem już przy około 50 zgonach. Praca w hospicjum jest bardzo ciężka, ale daje człowiekowi dużo satysfakcji i wiele zmienia w jego życiu. Czasami słyszałem od swoich koleżanek – pielęgniarek, że jestem zwariowany, taki pozytywny świr. Rzeczywiście, pełno mnie wszędzie, dużo mówię, jestem spontaniczny, ale chyba też jestem człowiekiem spokojnym, który lubi wieczorem sięść w kaplicy przy zgaszonym świetle i trwać na modlitwie, krótszą lub dłuższą chwilę, kontemplując Jezusa ukrytego w Najświętszym Sakramencie. Potrafię też po prostu słuchać i to jest najważniejsza umiejętność, jaką mam. Jest mi ona ogromnie przydatna. Dzięki niej czasem udaje mi się komuś pomóc.

### **Alojzy Witeska**

Parę słów do tego, co Ojciec powiedział. Pacjenci, tak jak ich rodziny, są różni. Miałem kiedyś taki przypadek. Mężczyzna – nie-

operacyjny nowotwór. Córka, jak się okazało, nie pokazała się przez cały pobyt ojca w szpitalu. Po czterech latach wracam z Sesseli zadowolony, uśmiechnięty, opalony, a tu telefon z izby lekarskiej, żebym się zgłosił, bo jest na mnie skarga. Zostałem oskarżony, że dałem temu choremu cztery i pół roku życia. Ta pani nie skończyła studiów, bo się opiekowała ojcem. To był powód skargi.

Następny przypadek. Ostry dyżur, który mam z koleżanką; ona do drugiej w nocy, a ja od drugiej. Za dwadzieścia druga koleżanka mnie budzi i prosi na izbę przyjęć, bo chcą mężczyznę. Pacjent po pijanemu założył sobie na męską część złotą obrączkę, obrzęk i co teraz zrobić. W takich sytuacjach czuję Bożą pomoc i przypomniałem sobie wtedy znajomego jubilera, który przyjechał i obrączkę przepiłował. Wpisałem do raportu, że coś takiego się odbyło. Za rok znów jestem wzywany do sądu. Prezes sądu był człowiekiem inteligentnym i dowcipnym, polecił sprawę prowadzić pani sędzinie. Ona obłożyła się aktami i za każdym pytaniem chowała głowę. Skarga dotyczyła nieoddania opilek z rozciętej obrączki. Czasami medycyna przynosi humorystyczne historie.

### **O. Wojciech Mojecki**

Kiedyś zadałem pytanie: dlaczego oddajecie matkę do hospicjum? Była to pacjentka w podeszłym wieku. Lekarz z wykształcenia. Nowotwór. Idealny stan ciała. Zadbana, wypielęgnowana. Cały czas spała. Przywiozła ją córka. W odpowiedzi na moje pytanie usłyszałem „bo wie ksiądz, z mamą już jest tak ciężko, że nie dajemy sobie rady”. Córka – osoba niezamężna, a syn wysoko wykształcony. Wynajmowali opiekunkę do mamy na dwanaście godzin, przez siedem dni w tygodniu, tak że nic praktycznie przy matce nie robili. Ale „z mamą jest tak ciężko, że nie dajemy sobie rady, a poza tym – dodała córka w uzupełnieniu – mam w domu dwa duże psy”.

### **Alojzy Witeska**

My mamy problem ze Świadcami Jehowy i ich zasadą nieprzetaczania krwi. To są porządni, uczciwi ludzie, dobrze pracujący. Kiedy byłem młodym lekarzem, odbywałem staż ortopedyczny w klinice chirurgii. Przywieziono mężczyznę po wypadku. Konieczna pourazowa amputacja nogi. Pacjent ma dostać krew. Toczyć,

nie toczyć? Dzwonię do lekarza dyżurnego miasta. Mówi mi „ma pan trzy wyjścia, wszystkie są złe. Jeśli pacjent umrze, to ma pan dochodzenie, dlaczego pan zaniedbał. Jeśli pan przetoczy krew, doniosą, że jest to naruszenie osobistej nietykalności i też będzie pan miał nieprzyjemności. A trzecie wyjście, niech pan myśli, jak z tego wybrnąć”. Przetoczyłem krew. Rodzina powiedziała mi, że nie chce wiedzieć, że była przetaczana krew.

Miałem kolegą Irańczyka. On mówił „słuchaj, ja mogę wypić, ale po zachodzie słońca, żeby Allah nie widział”.

## Dyskusja

### Bogdan Motelski

Urodziłem się, mieszkam i pracuję w Warszawie. Tu nie znajduję ciszy. Tu jest stały hałas i dlatego poza sezonem wybieram się w Polskę i wracam z miłymi wspomnieniami. Znajduję upragnioną ciszę, siedząc na łódce na jeziorze.



Bogdan Motelski

### Małgorzata Jabłońska

Jeśli ktoś chociaż raz doświadczy takiej ciszy, to myślę, że cały czas jej szuka. Jest to coś, co towarzyszy nam do końca życia. Są okresy, kiedy żyjemy bardzo gwałtownie w dużym hałasie, ale cały czas pragniemy ciszy. Jest to czas, kiedy regenerujemy się, podejmujemy właściwe decyzje. Doświadczyłam raz takiej ogromnej ciszy, kiedy moja córka zdecydowała się pójść do klasztoru za klauzurę do Karmelitanek Bosych. Było to dla mnie bardzo trudne doświadczenie. Musiałam wejść w ciszę, żeby zgodzić się z jej decyzją i wyborem. Po takiej ciszy coś nowego się w nas rodzi. Nasze relacje są teraz całkiem inne. Ona jest tam szczęśliwa, bo to jest jej po-

wołanie i miejsce. Mówi bardzo rzadko, one po prostu milczą. Natomiast paradoksem jest to, że patronką misji na całym świecie jest karmelitanka Teresa od Dzieciątka Jezus, która nigdy w życiu nie wyszła poza klasztor.



Małgorzata Jabłońska

### **Bogdan Puławski**

Cisza jest ogromnie obszernym pojęciem. Bardzo często mówimy o ciszy jako o czymś fizycznym: „jest cisza”, ale Jezus powiedział „jestem cichy i pokornego serca”. Więc pokora, uległość jest też formą ciszy.

Mój zawód inżyniera nie pozwala na zbyt wiele ciszy, ale przeżywałem chwile ciszy w górach w Arabii Saudyjskiej, gdzie jest pusto, niczego nie ma, tylko to piękno dzikiej pustyni.

Chciałbym poruszyć jeszcze inny aspekt ciszy. Uważam, że dobro rodzi się tylko w ciszy. Dobro nie znosi hałasu, fanfar, chwaleń się. Dobro tworzy ciszę duchową, tę dobrą, pokorną ciszę. Hałas, szum, bębny to odwrotność ciszy. Jak mówią Francuzi, „puste beczki robią dużo hałasu”. Często w polityce ludzie się na to nabierają i głośują na ludzi, którzy jak te puste beczki robią dużo hałasu, ale niewiele mają w sercu.



Bogdan Puławski

### **Kazimierz Dmitrzak**

Mali Bracia mają pewien system, pozwalający w hałasie codzienności, normalności chwycić chwilę ciszy. Każdego dnia staramy się mieć godzinę ciszy w kaplicy. Może to być związane z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Nie odmawiamy w tym czasie różańca, koronki, niczego. Trwamy w ciszy z Jezusem.

Poza tym raz w miesiącu każda nasza wspólnota ma coś takiego, co nazywamy pustelnią. Jedna powstała na obrzeżu Izabelina, w Puszczy Kampinoskiej. Jest to teren prywatny i każdego miesiąca każdy z braci chce tam być dwa dni w ciszy i spokoju. Wystarczy, żeby tam było łóżko, stolik, kąt, coś do picia i do jedzenia. Można wyjść na spacer.

Raz w roku mamy osobiste rekolekcje w ciszy. Najczęściej na tydzień wykorzystujemy domki kempingowe znajomych. Może to być w Górach Świętokrzyskich, w Beskidzie Żywieckim czy gdzieś nad Narwią.

W 60. roku życia odkryłem jeszcze jeden sposób „łapania” ciszy. Otóż mam malutki dmuchany kajaczek. Pakuję go do wielkiego wora, trochę jedzenia i wyruszam gdzieś na rzekę. Płynę sam około tygodnia. Wcześniej pływałem z różnymi grupami. Teraz pływam sam. Przepłynąłem (raz w roku, tydzień po tygodniu) z Sa-

noka do Szczecina. Nie spotkałem ani jednego kajaka. Zapraszam, jeśli ktoś nie widział pięknej Polski, niech zrobi to co ja.

Przygoda fantastyczna, również duchowa. Gdy o 6 rano siądę do kajaczka i płynę spokojnie godzinę, nie machając ani razu wiosłem, cały świat rzeki, cała przyroda, wszystkie ptaki myślą, że jestem swój. Płynę wolniutko w ciszy. Nie wolno uczynić gwałtownego ruchu i wtedy ptaki widzą mnie, ja widzę ptaki, łania na mnie patrzy z odległości trzech metrów i nie ucieka, i wtedy przypomina się inna rzeczywistość. Warto jest posłuchać ciszy. Bardzo namawiam.

**Sofija Okolko** (studentka pedagogiki)

Chciałam powiedzieć swoje własne doświadczenie, jak ja patrzę na ciszę. Jak tutaj słyszeliśmy, cisza ma mnóstwo odmian. Dziękuję Bogu, że mogę tutaj być na tym konwersatorium.



Sofija Okolko

Jak każdy z ludzi, mam swoje problemy. Jestem daleko od rodziny, studiuje i pracuje, ale nie wiem, co będzie dalej. W Biblii Bóg mówi, żebyśmy się nie bali, bo On jest z nami.

Cisza przychodzi w modlitwie. Cisza to jest taki czas, kiedy nie boję się tego, co będzie dalej. Cisza to jest spokój. Kiedy mam pro-

blemy, kiedy nie wiem, jak co zrobić, potrzeba mi ciszy. Pomaga mi też umocnić swoją wiarę. Cisza pomaga iść dalej.

### **O. Wojciech Mojecki**

Jestem zwolennikiem innego tłumaczenia, żeby zamiast „błogosławieni”, mówić „o jakże szczęśliwi”, bo to jest wyrażenie bliższe naszemu rozumieniu słów. Lepiej odzwierciedla znaczenie. Cisi to są ci, którzy już tu na ziemi osiągnęli cząstkę z tego, co będzie w niebie. Są to ludzie, którzy na pewno nie walczą z nikim, są pokorni. Są to ludzie, którzy mają to szczęście w sobie, które nie jest niczym ograniczone. Stan ciszy rozumiem w taki sposób, że mimo iż wiem, że jest świat i ludzie dookoła mnie, to w tym momencie nic mi nie przeszkadza, nic mi nie zakłóca tego mojego stanu i nic nie jest we mnie zmaćcone.

### **Andrzej Witeska**

Jestem pod wrażeniem wypowiedzi studentki, pani Okolko. Jestem szczęśliwy, że tyle młodzieży jest na sali. Jest to przykład, że poruszane tutaj tematy są potrzebne. Miałem okazję być na rekolleksjach u ojców Benedyktynów w Tyńcu i szliśmy Drogą Krzyżową szlakami, gdzie zginęła błogosławiona Karolina Kózkówna. Mamy naprawdę wspaniałą młodzież, nie tylko dlatego, że wygrywa konkursy pianistyczne, architektoniczne, sportowe itd. Mamy młodzież, która potrafi być wyciszona.

### **Małgorzata Jabłońska**

Warto dodać, że cisza jest wynikiem wyboru, że my wybieramy ciszę, to samo się nie stanie. Musimy ją wybierać i wtedy ona będzie w nas dojrzewała i będzie owocowała.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Dziękuję ogromnie wszystkim za wypowiedzi i serdecznie zapraszam za miesiąc 19 stycznia (jak zawsze w trzecią sobotę miesiąca o godz. 11.00). Konwersatorium będzie poświęcone kolejnemu błogosławieństwu: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”.



Słuchacze

### C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

**Jacek Mycielski**  
(Włochy)

W jednej z bieżących wypowiedzi Ojca Świętego Benedykta XVI czytamy: „Cisza i refleksja są lekarstwem w epoce *szaleńczego miotania się*. Głos Boga nie jest rozpoznawalny w zgiełku i w zamieszaniu”.

W cytatach niniejszego konwersatorium zamieszczona jest następująca definicja (ks. J. Pierzchalski): „Według Błogosławieństw ten jest człowiekiem cichym, kto mimo natężenia swoich emocji, pozostaje elastyczny i nieskrępowany, niezaborczy, wewnętrznie wolny i zawsze w najwyższym stopniu szanujący tajemnicę wolności swoich bliźnich. Przypomina w tym Boga, który działa z najwyższym szacunkiem dla człowieka i pobudza go do posłuszeństwa i miłości, nie używając nigdy przemocy”.

Trudno się z powyższym nie zgodzić. Ale już widzę, jak ktoś, kto na co dzień poważną lekturą i refleksją ma „na pieńku”, będzie starał się zdeformować znaczenie powyższych prawd. Zresztą

taka teraz moda, taki trend, żeby nie nazwać tego zbrodnią. Z pierwszych okładek kolorowych pism na dworcu warszawskim dowiedziałem się ostatnio, że patriotyzm oznacza nacjonalizm lub wręcz faszyzm. Że promocję zbrodni seksualnej należy nazywać tolerancją. Gdzie indziej czytam, że klaps dany dziecku przez rodzica jest nagannym użyciem przemocy, a odważne publiczne próby oddzielenia prawdy od medialnego kłamstwa nazwane są kłótnią!

Idąc dalej tym torem, pragnę solidaryzować się z ks. Pierzchałskim i przeciwstawić się propagowanej medialnie deformacji znaczenia słów dotyczących prawdziwych wartości. Ergo: nie będzie „cichy i pokornego serca” ktoś deklarujący: ja się nie będę mieszał, ja tego i tak nie zmienię, ja się polityką nie zajmuję, do urny nie pójdę, nie zabiorę głosu w ważnej dyskusji. Szefowi (nieuczciwemu) się nie sprzeciwię – „bo ja tylko wypełniam rozkazy”...

Popularnie mówi się, że „w małżeństwie można być szczęśliwym albo... mieć rację”. Jeśli w ramach zdrowego rozsądku, to zgoda. Ale czy jest człowiekiem wolnym ktoś tłumiący w sobie własne opinie, zamykający się w sobie, żyjący „pod pantoflem”? Nie jest. Na dłuższą metę – bez prawdziwego wzajemnego partnerstwa – skończy się też to jego „szczęście małżeńskie”. Czy jest człowiekiem wolnym matka, która – nie chcąc „użyć przemocy” – nie da zasłużonego klapsa rozkapryszonemu dziecku i wychowa domowego tyрана, egoistę, nie liczącego się z żadnym autorytetem, potencjalnego klienta narkotyków już na pierwszych etapach „trudnego wieku”? Nie jest. Czy jeśli ktoś, widząc zbójcecki napad, nie zareaguje, nie ruszy się do obrony, nie krzyknie głośno o pomoc – pozostanie „wolny” i będzie sobie w duchu gratulował, że pozostał „cichy” i „nie zastosował przemocy”?

Życie – godne życie – oczekuje od nas „ciszy dojrzałej”. To znaczy wyważonej, słuchającej, pełnej pokory, ale, w pewnych sytuacjach, dzielnej, aktywnej. Jeśli pójdziemy za głosem sumienia i zdrowego rozsądku, to w pewnych sytuacjach będziemy musieli zachować się głośno, odważnie, postarać się „postawić na swoim”, obronić kogoś lub jakąś słuszną sprawę. Cisza, usunięcie się w cień, chowanie głowy w piasek będzie równoznaczne z karygodnym przyzwoleniem społecznym, potencjalnym źródłem propagowania zła.

W mojej karierze zawodowej zdarzało mi się czasem użyć siły. Nie wstydzę się tego. Szef wydziału pewnej fabryki – na wstępie

złośliwy i arogancki w stosunku do mnie (mimo że byłem jego szefem), po mojej „interwencji” (gdzie prośby i perswazje nie skutkowały, z wielkim bólem „użyłem przemocy”) zaczął mi się nisko kłaniać i wreszcie współpracować! Smutne to, ale język cichy, uprzejmy u niektórych naszych bliźnich jest interpretowany jako słabość. Lub jest wręcz niezrozumiały!

Czy Jezus, „cichy i pokornego serca”, nie potraktował mocnymi słowami „plemię żmijowe”? Czy nie wyrzucił „z hukiem” handlarzy ze świątyni?

### **Marcin Borzęcki**

(Warszawa)

Mimo nieobecności na Konwersatorium, chciałbym dodać swoje świadectwo na temat znajdowania, odkrywania ciszy w moim życiu. Ponieważ jestem katolikiem zaangażowanym, to najczęściej Bożej ciszy odnajduję w kościele. Powiem o kilku konkretnych momentach.

Pierwszym jest dla mnie chwila spowiedzi. Kiedy Chrystus ustami kapłana udziela mi przebaczenia grzechów. Kiedy mogę doświadczyć miłosierdzia Boga, który pomaga mi się podnieść z upadku, który mnie kocha, który nie odrzuca mnie, mimo że po raz kolejny upadam w ten sam grzech, czasem bardzo ciężki.

Kolejnym takim momentem ciszy jest adoracja Najświętszego Sakramentu. Nieważne jest, czy tej adoracji towarzyszą modlitwy czy jest to adoracja w ciszy, mogę wtedy odczuć bliskość Jezusa, który w ciszy chce do mnie mówić, lub mogę na Niego w ciszy patrzeć. Jak powiedział brat Kazimierz, Chrystus też patrzy na mnie. Wchodząc do kościoła, przyklękając przed Tabernakulum mogę w ciszy przywitać się z Jezusem i to jest dla mnie piękny moment.

Ważna jest też dla mnie chwila po przyjęciu Komunii świętej, kiedy mogę chwilę modlić się, adorować Chrystusa, przychodzącego do mojego serca. Najbardziej ten moment przemawia do mnie w czasie Eucharystii we wspólnotach neokatechumenalnych, gdzie najpierw Ciało Chrystusa jest rozdawane wszystkim, a dopiero później wspólnie spożywane. Ten moment oczekiwania aż kapłan podejdzie do ostatniej osoby z Ciałem Chrystusa, kiedy mogę wpatrywać się w Jego Ciało złożone na moich dłoniach, ułożonych na

kształt krzyża, jest dla mnie momentem, gdy najbardziej odczuwam bliskość Chrystusa, którego za chwilę przyjmę do swojego serca.

Kolejnym takim momentem, również w czasie tych Eucharystii, jest chwila tuż po zakończeniu Ewangelii, kiedy mogę weryfikować w ciszy, czy dane słowo do mnie przemówiło i jeśli tak, to dać temu świadectwo. My mamy przeważnie raz w miesiącu, czasem rzadziej, rekolekcje zwane konwiwencjami. W czasie laudesów (jutrzni), od których zaczynamy te rekolekcje, jest zawsze moment cichej modlitwy, kiedy możemy w ciszy wołać do Boga, aby On się zmiłował nad nami, lub możemy tylko siedzieć i milczeć.

Jest taka piękna ikona, na której Chrystus jest przedstawiony jako pukający do drzwi. Ale te drzwi mają klamkę tylko po jednej stronie, tej naszej. To od nas zależy, czy otworzymy te drzwi i wpuszczymy Jezusa do naszego serca. On będzie stał i pukał w ciszy.

Dla mnie takim wzorem ciszy jest Maryja, która wiernie zachowywała wszystko w swym sercu. Ona nie powiedziała nigdy „nie”, nigdy nie było w Niej sprzeciwu wobec woli Boga. Wszystko rozważała w ciszy w swym sercu. I myślę, że Jezus, wypowiadając słowa, że jest „cichy i pokornego serca”, wskazywał też na swoją Matkę, która właśnie w pokorze przyjmowała wszystko.

Takim wzorem ciszy był też dla mnie papież Jan Paweł II, szczególnie w ostatnich momentach swojego życia, kiedy choroba nie pozwalała mu przemawiać do rzeszy wiernych. On się nie buntował, tylko ufał Bogu, że może jutro spróbuje ponownie przemówić, pokornie i w ciszy przyjmując chorobę i szykując się do spotkania z Panem.

*Błogostawieni, którzy łakną i pragną  
sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni*



## Cytaty

NN  
(fragmenty)

W błogosławieństwie: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni” (Mt. 5, 6) Jezus uczy nas, że sprawiedliwość trzeba koniecznie łączyć z czynami pełnymi miłości, miłosierdzia i przebaczenia.

Czego nam ludziom najbardziej potrzeba?

Potrzeba miłosierdzia, bowiem gdyby Bóg oddziaływał na nas samą, czystą sprawiedliwością, to doprowadziłoby to nas do ruiny.

**Ks. Józef Pierzchalski**  
(fragmenty)

Czym jest sprawiedliwość? Mówi się, że sprawiedliwość jest ślepa, że prawo jest twarde, ale to jest prawo. Mówi się jeszcze „nieugięty, twardy jak prawo”. Kiedy wyrządzona jest komuś jakaś krzywda, oddaje mu się sprawiedliwość. Dziś sądzić – oznacza skazywać, podczas gdy w sensie biblijnym królowie Izraela, sędziowie, siadywali u bram miasta, gdzie musieli oddawać sprawiedliwość. Maluczcy, ubodzy, ci, którzy byli ograbieni, odwoływali się do króla, apelowali do tego, który był przedstawicielem Boga. Sprawiedliwość Salomona jest ściśle związana z jego mądrością, która pochodzi od Boga. Wyrokiem Salomona nie będzie właściwie rozcięcie dziecka na dwoje, ale wzbudzenie w sercu prawdziwej matki uczuć szlachetnej miłości, które pozwolą jej raczej oddać swe dziecko, niż widzieć je martwym. To oznacza oddać sprawiedliwość. Oddać ubogiemu, temu, który zwykle jest skrzywdzony to, co do niego należy, to, co mu przypada w udziale. Królowie Izraela siadali w bramach Jeruzalem, aby niestrudzenie słuchać tych, którzy doznawali krzywd i nie mieli dość władzy, aby bronić swych praw.

Istnieje jakiś rozdźwięk między tym, co jest sprawiedliwością ludzką, a sprawiedliwością, która pochodziłaby z natchnienia Bo-

żego i która miałaby na względzie panowanie Boga w sercach wszystkich ludzi. W chrześcijańskiej terminologii mówimy o sprawiedliwości, dodając do niej określenie „społeczna”. Sprawiedliwość społeczna oddaje sprawiedliwość, oddaje temu, kto jest ograbiony z tego, co do niego należy. Jest ona owocem sprawiedliwości. Zadośćuczynić wdowie, sierocie, uciśnionemu, to wszystko jest owocem, który musi pochodzić z drzewa prawdziwej sprawiedliwości.

W języku hebrajskim wyrażamy sprawiedliwość przez dokładność, odpowiedniość lub jeszcze lepiej przez dopasowanie. Kto to jest sprawiedliwy? We wszystkich fragmentach Biblii, w których poruszony jest temat sprawiedliwego, można by słowo „sprawiedliwy” wyrazić przez „święty”. Jest powiedziane na przykład o świętym Józefie: „Józef był człowiekiem sprawiedliwym”. Nie oznacza to, że był sprawiedliwy, tak jak rozumiemy to teraz, ani na przykład, że był sprawiedliwy wobec Maryi. Nie, przeciwnie. Józef nie zdaje się na sprawiedliwość, ale na miłość. Sprawiedliwy oznacza święty. Można by przetłumaczyć: „Józef był człowiekiem świętym”, lub „to był święty człowiek”. I za każdym razem, kiedy chodzi o sprawiedliwość, można ją wyrazić przez świętość.

### **Parafia Najświętszego Sakramentu**

Łódź – Radogoszcz, listopad 2006

(fragment)

Bez miłości szacunek do człowieka, wrażliwość na jego potrzeby, relacje międzyludzkie – to wszystko może być poprawne, ale może też stać się biurokratyczne, niezdolne, by konstruktywnie odpowiedzieć na ludzkie potrzeby. Bez miłości nigdy nie będzie prawdziwej sprawiedliwości, podziału dóbr między bogatymi i biednymi, zwrócenia uwagi na niepowtarzalność każdego człowieka i konkretną sytuację, w której się on znajduje. Dobra nie ruszą się same; to serca powinny się poruszyć i wprawić w ruch dobra.

**Ks. Jacek Żurawski**  
(fragmenty)

Nauczanie Ojca Świętego w czasie VII pielgrzymki do Polski oparte na Ośmiu Błogosławieństwach Pana Jezusa jest ważne dla naszego życia religijnego. Błogosławieństwa bowiem wyrażają miłość Boga do nas, mówią o naszym powołaniu i wskazują drogę do uczestniczenia w Bożym Królestwie.

Sprawiedliwość w życiu potocznym oznacza uczciwość. Człowiek sprawiedliwy nikogo w życiu nie skrzywdzi, czynem czy słowem, każdemu odda to, co mu się należy. Sprawiedliwość jako cnota moralna może być obecna także w życiu człowieka niewierzącego. W Piśmie Świętym to słowo oznacza znacznie więcej, jest równoznaczne ze świętością, doskonałością.

Świętość bywa nieraz pojmowana niewłaściwie. Myśli się o niej, że jest zarezerwowana wyłącznie do życia konsekrowanego, że polega na czynieniu rzeczy wielkich, nadzwyczajnych, że można ją osiąść za cenę praktyk ascetycznych, długich modlitw. Jest to nieporozumienie. Wszyscy jesteśmy wezwani do świętości i jest ona dostępna dla każdego. Świętość należy pojmować jako posłuszeństwo Bogu, pełnieniu Jego woli w życiu. Najlepszą wykładnią życia w świętości jest naśladowanie Chrystusa: „Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem” (J 13, 15).

**Ks. Jan Twardowski**

Gdyby wszyscy mieli po cztery jabłka  
gdyby wszyscy byli silni jak konie  
gdyby wszyscy byli jednakowo bezbronni w miłości  
gdyby każdy miał to samo  
nikt nikomu nie byłby potrzebny

Dziękuję Ci że sprawiedliwość Twoja jest nierównością  
to co mam i to czego nie mam  
nawet to czego nie mam komu dać  
zawsze jest komuś potrzebne  
jest noc żeby był dzień

ciemno żeby świeciła gwiazda  
jest ostatnie spotkanie i rozłąka pierwsza  
modlimy się bo inni się nie modlą  
wierzymy bo inni nie wierzą  
umieramy za tych co nie chcą umierać  
kochamy bo innym serce wychłódło  
list przybliżyła bo inny oddala  
nierówni potrzebują siebie  
im najłatwiej zrozumieć że każdy jest dla wszystkich  
i odczytywać całość.

## KONWERSATORIUM LX

(19 stycznia 2013)

**Błogosławieni, którzy łakną i pragną  
sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni**

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Izabela Szwarocka, psycholog oddziału psychiatrycznego Szpitala Wolskiego; Jerzy Wrątny, profesor prawa w Instytucie Nauk Prawnych PAN, nauczyciel akademicki w uczelni im. Łazarskiego; Zdzisław Bielecki, prezes fundacji D.O.M;

**Ks. Adam Zelga**

Jeśli chodzi o dzisiaj rozważane błogosławieństwo „błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości”, warto zastanowić się, dlaczego w Ośmiu Błogosławieństwach jest dwukrotnie mowa o sprawiedliwości. Ósme błogosławieństwo brzmi „błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości”. To jest zastanawiające, ponieważ Słowo Boże ma swoje pokłady, swoje warstwy, jest w nim zawarty apel do nas, żeby tę kwestię pogłębiać, żeby się w niej zanurzać, żeby rozmyślać – tak jak Maryja, która rozważała i zachowywała w swym sercu – co to wszystko ma znaczyć.

Dzisiaj w trakcie naszych rozważań nad Ośmioma Błogosławieństwami spotykamy się po raz pierwszy ze sprawiedliwością. Ten tekst brzmi: „błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”.

Oddaję głos panelistom.

**Izabela Szwarocka**

Nazywam się Izabela Szwarocka, na co dzień pracuję w szpitalu Wolskim jako psycholog i psychoterapeuta; jestem osobą niewi-



Ks. Adam Zelga, obok siedzą Jerzy Wratny i Izabela Szwarocka

dzącą. Chciałabym podzielić się z państwem doświadczeniem omawianego dziś przez nas błogosławieństwa – poszukiwaniem rozumienia tego, czym jest łaknienie i pragnienie sprawiedliwości zarówno z perspektywy psychologa, jak też własnej, głęboko ludzkiej. Tak naprawdę sama nie mam na to jasnej odpowiedzi.

Jak rozumiem je jako psycholog, jako ktoś, kto próbuje pomagać ludziom w takim poszukiwaniu sprawiedliwości, żeby poprzez pragnienie jej wzmacniać swoje życie psychiczne i czynić je dojrzałym?

Myślę, że jedną z przyczyn utrudniających dojrzałe łaknienie i pragnienie sprawiedliwości jest utrwalone poczucie krzywdy, które blokuje w człowieku chęć poszukiwania jej. Jeśli krzywda nie jest przeżywana w sposób dojrzały (jest raczej udowadnianiem swojej racji niż dążeniem ku prawdzie), koncentruje energię i uczucia na przekonywaniu samego siebie i innych do własnego sposobu patrzenia. Konsekwencją tego może być postrzeganie innych jako wrogów, z którymi trzeba walczyć, albo też tych, którzy pozbawili nas wpływu i dlatego w naszym życiu nie jest tak, „jak – w naszym przekonaniu – być powinno”.

Poczucie krzywdy powstaje wtedy, kiedy w doświadczeniu człowieka łączą się trzy zjawiska: cierpienie, poczucie bezsilności



Izabela Szwarocka

i zburzenie porządku (składają się na niego powstające już we wczesnym dzieciństwie głębokie przekonania, wyobrażenia, sądy, odczucia i założenia na temat samego siebie i świata, które określają ważne aspekty życia człowieka i zasady, jakimi każdy z nas kieruje się, „układając” swoje relacje z sobą samym i z otoczeniem; dotyczą one naszych oczekiwań w stosunku do samych siebie, jak i innych osób, a także tego, jacy powinniśmy być i co powinniśmy robić, by spełniać te oczekiwania i, co ważne, być godnymi miłości ze strony tych, na których szczególnie nam zależy).

– Cierpienie jest bardzo mocno związane z życiem emocjonalnym, czyli z uczuciami, które w sytuacji poczucia krzywdy są zdominowane przez cierpienie i trudne do zniesienia napięcie, wymagające jakiejś formy obrony i poradzenia sobie z bólem. Mogą być uczucia takie, jak: ból psychiczny, bolesne napięcie fizyczne i psychiczne, obawa, przerażenie, lęk, rozpacz, smutek, zmęczenie itd...

– Co do bezsilności: ważne jest tu podkreślenie, że podstawowy aspekt samodzielnego funkcjonowania człowieka wiąże się z pojawianiem się energii niezbędnej do działania, czyli wywierania wpływu na otaczający świat i na siebie samego. Realizowanie tej możliwości, przynajmniej w ograniczonym zakresie, jest jedną z podstawowych potrzeb człowieka. W sytuacji krzywdy osobistej

poczucie bezsilności oznacza bezbronność wobec cierpienia i towarzyszącego mu zagrożenia.

– Burzenie porządku: wspomniane wcześniej podstawowe (rdzenne) przekonania i założenia dają nam poczucie orientacji w świecie i w życiu, co pozwala w pewnym sensie uporządkować świat osobistych znaczeń i własną egzystencję. W sytuacji krzywdy, cierpieniu i bezsilności towarzyszy poczucie rozpadania się porządku, na którym opierało się dotychczasowe życie. Ten rozpad lub poważne naruszenie może dotyczyć różnych sfer porządku osobistego (sfera fizyczna, psychiczna, społeczna i duchowa).

Rozpoznajemy wtedy, że spotyka nas jakaś niesprawiedliwość; to co się stało w naszym życiu, w jakimś sensie „przykładamy” do ważnych dla nas standardów i/lub porównujemy do tego, co przeżywają inni ludzie, i nazywamy to właśnie niesprawiedliwością czy też burzeniem psychologicznej tożsamości, bo zachwiane są ważne obszary naszego ja.

Bywa tak, że poczucie krzywdy nie utrwała się w życiu człowieka, staje się jednym z doświadczeń, które człowiek musi uznać, ale nie organizuje ono jego sposobu myślenia i działania. Zdarza się jednak, w okolicznościach, które są czasem trudne do jednoznacznego wyjaśnienia, że ślad poczucia krzywdy z przeszłości pozostaje jak trwała blizna, staje się bolesną lub zamrożoną częścią osoby, wokół której koncentruje się uwaga i energia człowieka. Taka blizna psychiczna może wpływać przez wiele lat na postępowanie, myśli oraz uczucia przeżywane w różnych sytuacjach życiowych.

Są różne sposoby przeżywania poczucia krzywdy, np. w postaci ogólnego zubożenia emocjonalnego albo życia „z ciągle niezagojonym naskórkiem na dłoni w cienkiej rękawiczce”.

Myślę, że łaknienie i pragnienie sprawiedliwości będzie w tym kontekście procesem poszukiwania prawdy o tym, co się wydarzyło; psychologia doda jeszcze – i o tym, jakie to budzi uczucia, z jakimi ważnymi potrzebami i przekonaniami wiąże się dane zdarzenie; to jest też pytanie o znaczenie tego zdarzenia (np. jak po tym, co się stało, można uporządkować sposób odnoszenia się do siebie samego i do innych osób, często do Boga). Potrzebne jest jasne określenie tego, kto w tej sytuacji jest krzywdzącym, a kto krzywdzonym. Owo poszukiwanie prawdy każe nazwać, ale i zaakceptować pewne fakty, które się już dokonały. To wcale nie oznacza, że

ktoś, kto akceptuje fakty, zgadza się na związane z nimi konsekwencje, np. takie, które mogą się jeszcze wydarzyć w przyszłości, albo zachowanie, którego konsekwencją jest czyjaś krzywda.

Jako terapeuta często towarzyszę w takim łaknieniu i pragnieniu sprawiedliwości ludziom przeżywającym różne problemy emocjonalne, mającym trudności z wyrażaniem swoich uczuć czy jasnym stawianiem granic. Zajmujemy się porządkowaniem sfery tych uczuć, wyobrażeń i sposobów reagowania, które zostały kiedyś doświadczeniem krzywdy zaburzone, czyli taką pracą z poczuciem krzywdy, która byłaby włączeniem go w cały obraz własnego doświadczenia. Chodzi tu o rozpoznanie i przepracowanie treści, które wciągają w stare zmagania i udręki tak, by zdarzenia związane z poczuciem krzywdy były integralną, a nie oddzielną częścią życia emocjonalnego osoby. Jest to często jeden z kluczowych elementów pomocy czy terapii psychologicznej. Uczciwe przeżycie poczucia krzywdy pozwala zrozumieć własne reakcje w obliczu tego, co się stało, oddzielić nieakceptowane zachowanie i/lub postawę osoby krzywdzącej od niej samej, pomaga też popatrzeć na krzywdę jako na jedno z wielu doświadczeń, a nie coś, co determinuje myślenie i w ogóle życie osoby skrzywdzonej. Ułatwia to uzyskiwanie wpływu np. poprzez umiejętność słusznej obrony siebie lub ważnych spraw albo zmianę swojej sytuacji. Pojawia się potrzebna do tego energia; w ten sposób człowiek zaczyna docierać do innych jeszcze – poza poczuciem krzywdy i potrzeby ciągłego jej akcentowania – uczuć i potrzeb.

Myślę, że to pragnienie i łaknienie sprawiedliwości jest od strony psychologicznej przeżywaniem bardziej w pełni naszej teraźniejszości, bo utrwalenie się w poczuciu krzywdy jakoś odrywa nas od tego, co dzieje się w naszym życiu „tu i teraz”. Dzięki temu możliwe jest rozpoznanie tego, co było, ale też – w pewnym stopniu – wpływanie na to, co będzie.

Zyskiwana w pracy terapeutycznej większa jasność, spójność zachowań, odwaga nazywania niesprawiedliwością zarówno zachowań innych osób, ale też czasem własnych, nie tylko wzmacnia życie psychiczne, ale również życie duchowe.

Pracowałam kilkanaście lat temu z rodzicami umierających dzieci, którzy – aż chciałoby się powiedzieć – ze wszech miar mają prawo do przeżywania krzywdy. Uczciwe przejście przez wszystkie

etapy żałoby: targowania się z Panem Bogiem, buntu, protestu, zaprzeczania, wyrażania negatywnych uczuć i myśli wobec Boga i tego, co się stało, aż do akceptacji faktów – to wszystko oczywiście nie wymazało krzywdy, ale pozwoliło im zachować w sercu i w myślach perły ich wzajemnej relacji: ważne rozmowy z dziećmi, zwycięże, którym również po ich śmierci pozostawali wierni, wielką często dojrzałość tych dzieci, które niejednokrotnie bardziej niż oni sami – otwarcie rozmawiały zarówno o życiu, jak i o tym, że umierają. „Mamo, albo mnie wyleczą, albo umrę – i z jednym, i z drugim musisz się pogodzić” – powiedział chłopczyk, wyjeżdżając na bardzo obciążającą chemioterapię do jednej z renomowanych klinik. Wiele podobnych myśli dzieci było po ich śmierci siłą dla rodziców, których w ludzkim rozumieniu spotkała niesprawiedliwość. Często w modlitwie pytam Boga: czy można o nich powiedzieć, że będą pocieszeni i nasyceni przez Jego Miłość, przez miłość dzieci, które kochali i które ich kochały? Ośmielam się wierzyć, że tak.

### **Jerzy Wratny**

Chciałbym bardzo podziękować za zaproszenie do Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin. Z Przymierzem Rodzin mamy rodzinne związki, ponieważ mój syn, który siedzi tutaj w pierwszym rzędzie, skończył liceum Przymierza Rodzin, a obecnie jest absolwentem teologii i uczestnikiem studium doktoranckiego z teologii, a wszystkie moje dzieci, których jest troje, przeszły przez formację Przymierza Rodzin przy kościele Najświętszego Zbawiciela.

Sprawiedliwość jest tematem filozoficznym, teologicznym i prawnym od głębokiej starożytności aż do dziś. Właściwie każdy z wielkich filozofów myśli klasycznej coś na ten temat powiedział. Od Platona pochodzi zestawienie czterech cnót kardynalnych. Sprawiedliwość jest wymieniona obok umiarkowania, roztropności i męstwa. Ten zestaw cnót kardynalnych przeszedł poprzez Arystotelesa do św. Tomasza, jak również Kościół przyjął go w swojej teologii moralnej. Według dewizy rzymskich stoików życie sprawiedliwe miało polegać na tym, aby „oddać każdemu, co mu się należy, nikogo nie skrzywdzić, żyć uczciwie”.

Nawiązując do przesłanych cytatów, można twierdzić, że sprawiedliwości czegoś nie dostaje bez miłosierdzia, o czym jest mowa w kolejnym piątym błogosławieństwie: „błogosławieni miłosierni,



Jerzy Wratny

albowiem oni miłosierdzia dostąpią”. W tym miejscu przypomina mi się przypowieść ewangeliczna o młodzieńcu, który pytał Chrystusa „Mistrzu, jak mam żyć?” I dalej mówił, że przestrzegał wszystkich przepisów prawa, był więc w sensie starotestamentalnym człowiekiem sprawiedliwym. Chrystus spojrział na niego z miłością, ale powiedział też: „jednego ci brakuje: rozdaj wszystko, co masz i chodź za mną”. Młodzieniec wówczas się zasmucił, był bowiem bardzo bogaty, jak mówi ewangelista.

Zostałem poproszony o świadectwo osobiste. Było to dla mnie trudne wyzwanie, ponieważ sprawiedliwością zajmuję się zawodowo. Zacytuję napis na frontonie sądów warszawskich „sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”. Temida, nasza bogini prawa z przepaską na oczach, ma sędzić, nie zważając na okoliczności uboczne, kierując się tylko literą prawa.

Ale jakie świadectwo osobiste mógłbym złożyć na temat sprawiedliwości? Przyszło mi na myśl, że mój własny życiorys można zamknąć w takiej paroli: „pragnienie sprawiedliwości i nasyceenie”. Jest mi wprawdzie niezręcznie mówić o własnych przeżyciach i doświadczeniach, ale ponieważ zostałem poproszony, krótko je państwu przedstawię.

W 1966 roku skończyłem studia prawnicze i zostałem zatrudniony jako asystent na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Wkrótce nadszedł rok 1968 i znane wydarzenia marcowe. Nastąpiła niesłychanie brutalna rozprawa władz ze studentami i z całym światem akademickim. Na zebraniu młodych pracowników Wydziału przyjęto mój projekt rezolucji potępiającej wejście milicji i ORMO na teren Uniwersytetu, pobicie studentów przez milicję i „aktyw robotniczy” oraz zwolnienia z posad akademickich tak zwanych syjonistów i rewizjonistów, których wówczas nazywano wicherzycielami. Na rezultat mojej działalności nie musiałem długo czekać, ponieważ zwolniono mnie z pracy z końcem roku akademickiego. Jeszcze wcześniej, jednocześnie z zatrudnieniem na Uniwersytecie, podjąłem studia na wydziale Filozofii Chrześcijańskiej, w ówczesnej Akademii Teologii Katolickiej – dzisiejszym UKSW. Byłem słuchaczem na seminarium profesora Stefana Świerżawskiego, miałem zajmować się filozofią chrześcijańskiego średniowiecza. Aktywnie udzielałem się też w duszpasterstwie akademickim przy kościele św. Anny. Angażowałem się też w ruchach katolików świeckich. Parę dni temu zmarł jeden z moich przewodników duchowych, ksiądz Jerzy Kacper Dziurzyński, który działał w kościele św. Anny, a następnie w Marysinie Wawerskim.

Dobrze zapowiadająca się kariera naukowa została nagle przerwana i znalazłem się bez środków do życia, z wilczym biletem zakazującym mi pracy dydaktycznej, jako osobie, która demoralizowała młodzież. Łatwo wyobrazić sobie mój ówczesny stan ducha. I wtedy po raz pierwszy objawił się łańcuch ludzi dobrej woli. Pierwszym ogniwem tego łańcucha był ksiądz Zbigniew Piasecki, który uczył mnie religii jeszcze w klasie maturalnej. Śpiewałem w założonym przez niego chórze międzyuczelnianym. W 1966 roku na ingres Episkopatu Polski nasz chór zaśpiewał Bogurodnicę tak, że drżały mury kościoła św. Anny. Tenże ksiądz Piasecki dał mi list polecający do profesora Macieja Świącickiego. Był to wspaniały, niezwykły człowiek. Żył na co dzień Ewangelią. Jako wotum za swoje przeżycia wojenne tłumaczył z francuskiego komentarz do Ewangelii św. Jana.

Państwo Hanna i Maciej Świącicy mieli sześcioro własnych dzieci i niemal tyle samo adoptowanych. Nadto wiele dzieci znalazło u nich przejściowe schronienie. Z całą tą gromadką co roku

pielgrzymowali pieszo na Jasną Górę. Dom Państwa Świącickich na Żoliborzu był otwarty o każdej niemal porze dnia i nocy.

Maciej Świącicki zajmował się prawem pracy, był profesorem w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (dzisiejszym SGH). Profesor Świącicki załatwił mi pracę w Instytucie Pracy. Po rozwiązaniu Instytutu znalazłem się pod jego kierownictwem na studium doktoranckim w SGPiS. Opowiadam zawsze, że był moim promotorem zaledwie przez dwie godziny. Wracając do domu po otwarciu mi przewodu doktorskiego, zginął w wypadku samochodowym na przejściu dla pieszych. Mój drugi promotor, docent Roman Korolec, uczeń profesora Świącickiego, zmarł na moich rękach i kolegów w czasie prowadzenia seminarium w SGPiS. Wcześniej zdążył mnie wypromować.

Był rok 1975. Wróciłem do pracy w reaktywowanym Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych. Zostałem kierownikiem Zakładu Prawa Pracy. Przyszedł rok 1980 i zryw Solidarności. Od początku angażowałem się w tym ruchu. Prowadziłem badania porównawcze w celu zaproponowania zmian w ustawodawstwie pracy w dziedzinie związków zawodowych, prawa do strajku i zapewnienia uczestnictwa pracowników w zarządzaniu zakładami pracy. To ostatnie zagadnienie (partycypacja pracownicza) stało się moją specjalnością. W stanie wojennym robiłem analizy prasy oficjalnej pod względem kierunku propagandy, które przekazywałem do struktur podziemnej Solidarności. Odebrano mi kierownictwo Zakładu, a później zwolniono z pracy. Do utrzymania miała mi wystarczyć skromna renta. Wówczas po raz drugi objawił się łańcuch ludzi dobrej woli. Należeli do niego, między innymi, profesor Waclaw Szubert, wybitny autorytet z dziedziny prawa pracy i polityki społecznej z Uniwersytetu Łódzkiego, oraz profesor Wiesław Chrzanowski, późniejszy założyciel Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, który miał katedrę prawa cywilnego w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Świeżo po habilitacji w 1983 roku zostałem polecony do pracy w KUL, gdzie w 1984 roku objąłem katedrę prawa pracy. Miałem przejścia z bezpieką, bo odmawiano mi stanowiska docenta, mimo że spełniałem przesłanki prawne docentury. KUL zatrudnił mnie jednak na stanowisku docenta, chociaż nie uznawano tego w ministerstwie, a bezpieka wzywała mnie na rozmowy, w czasie których pouczano mnie, że w niewłaściwym świetle, nie-

zgodnie z linią Partii przedstawiam na wykładach problematykę związków zawodowych.

Od momentu zatrudnienia mnie w KUL zaczął się dla mnie trend wznoszący. Pomnażałem swój dorobek, publikowałem książki, artykuły, wyjeżdżałem na staże, stypendia zagraniczne, zdobywałem kolejne stopnie i tytuły naukowe, starałem się wpływać na kierunki legislacji. Również w sprawach osobistych los (czy też Opatrzność) mi dopisywały. Założyłem rodzinę, mam kochającą i mądrą żonę i troje dzieci.

W tych wszystkich okolicznościach dostrzegam jakieś spełnienie, nasycenie, o którym mówi czwarte błogosławieństwo. Opatrzność obdarowała mnie z naddatkiem. Spotkałem na swojej drodze ludzi opatrnościowych, mądrych i kryształowych. Mogę więc stwierdzić, że ofiarowano mi z naddatkiem wieniec sprawiedliwości. Ten naddatek domagał się spłacenia. Staram się go spłacać przez służbę sprawiedliwości w stosunkach pracy uprawiając moją dziedzinę, jaką jest prawo pracy, wspierając się nauką Kościoła, bo ukończyłem również teologię ze specjalnością katolicka nauka społeczna. Staram się więc, mówiąc górnolotnie, służyć sprawiedliwości w stosunkach pracy, konfrontując się z takimi zjawiskami, jak praca bezpłatna, umowy śmieciowe, wstrzymywanie należnych wynagrodzeń i brak pracy, szczególnie dla młodych. Ogólnie można to nazwać, nie przeceniając własnej roli, pracą na polu sprawiedliwości społecznej. A w tle jawi się jeszcze inna, Boża sprawiedliwość, według której każdy będzie sądzony. Potrzebna nam jest wizja tego ostatecznego Najwyższego Trybunału. Nawet ludzie niewierzący odczuwają taką potrzebę, przed którym to Trybunałem będą zważone naręcza naszych dobrych czynów i ciężary naszych win. Pozwolę sobie przeczytać mój krótki wiersz pod tytułem „Sąd”:

„Jedni dostali jedno szczęście,  
Rozsnute we mgle, bez guzików,  
Zaś drugim dano ich pięćdziesiąt,  
A trzeci dostawali wyspy  
I muszle szumiące.

Przyszli też oddawać, co mieli,  
– Szatańskie stygmaty, wersety,

Mundury, które wymyślili  
Z lęku przed barankiem paschalnym  
I krzykiem ofiar.

Sumieniem naznaczona noc  
A twarze sędziów nieprzekupne”.

A jeszcze głębiej jawi się tajemnica Bożego miłosierdzia.

### **Zdzisław Bielecki**

Dlaczego łaknę sprawiedliwości? Może dlatego, że widzę, że ten świat nie jest sprawiedliwy, a może dlatego, że chciałbym, żeby ten świat był inny. Wiemy, że idea socjalizmu, w której wszyscy będą mieli wszystko i tyle samo, nie sprawdziła się. Pięknie o tym napisał ksiądz Twardowski w cytacie, który otrzymaliśmy:

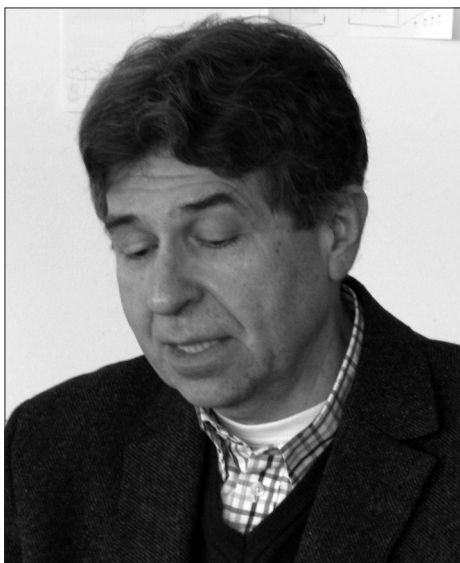
„Gdyby wszyscy mieli po cztery jabłka  
Gdyby wszyscy byli silni jak konie  
Gdyby wszyscy byli jednakowo bezbronni w miłości  
Gdyby każdy miał to samo  
Nikt nikomu nie byłby potrzebny”...  
i dalej:  
„Nierówni potrzebują siebie  
Im najłatwiej zrozumieć, że każdy jest dla wszystkich”.

To jest ta kwintesencja odpowiedzi, jak należy rozumieć sprawiedliwość i że ona jest nierozdzielnie związana z miłosierdziem.

„Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”. Zastanawiam się, na ile mocno łaknę i pragnę sprawiedliwości i czy zawsze. Zostałem tutaj zaproszony jako prezes instytucji, której pełna nazwa brzmi: „Dzieło Odbudowy Miłości, Fundacja D.O.M.” Redaguję też portal nieobojętni.pl skupiający ludzi nieobojętnych, czyli takich, którzy łakną sprawiedliwości, łakną miłości...

Parę słów jestem Państwu winien o fundacji D.O.M. Mamy pod opieką dwa miejsca w Warszawie: jedno na Ochocie, gdzie przyjmujemy dary dla osób ubogich i bezdomnych, czyli to jest to dzielenie się tymi jabłkami, może ten, kto ma pięć, da temu, kto ma tyl-

ko trzy i gdzie wydajemy dary często tym, co nie mają nawet jednego jabłka, poza słowem dziękuję – osobom bezdomnym, takim z tzw. przestrzeni publicznej, czyli działek, klatek schodowych, dworców, z ulicy. Bywa czasem trzydzieści i czterdzieści osób, które potrzebują realnego wsparcia i to jest ta sprawiedliwość, której z całego serca pragniemy, patrząc na to ewangeliczne wezwanie od strony sprawiedliwego podziału dóbr. Jak mówi jeden z cytatów wprowadzających w nasze rozważania: „dobra nie ruszą się same, to serca powinny się poruszyć i wprawić w ruch dobra”.



Zdzisław Bielecki

Drugie miejsce naszej działalności znajduje się na Mokotowie, gdzie powstał Klub Nieobojętnych. Wśród rozlicznych inicjatyw na uwagę zasługują korepetycje dla dzieci i młodzieży z rodzin niezbyt zamożnych i dla uczniów czasem bardzo zdolnych, a często bardzo zaniedbanych wychowawczo. Nie zapominamy o rodzinach dzieci i sąsiadach, o emerytach – taka między pokoleniowa, między środowiskowa integracja, do której mozolnie, na miarę skromnych możliwości, dążymy. Prowadzą to bezpłatnie nauczyciele – wolontariusze. Jest tu obecna na sali osoba, która kiedyś uczęszczała do naszego klubu, a dzisiaj jest już wolontariuszką,

która służy innym, jednocześnie studiując na uczelni kierowanej przez panią profesor Mycielską-Dowgiałło.

Chciałabym z tego miejsca podziękować każdemu z osobna z tysięcy osób, dzięki którym fundacja D.O.M. istnieje już dwadzieścia jeden lat. Pomagamy dzięki darom miłosierdzia, ale też dzięki wolontariuszom, którzy biorą czynny udział w pracach Fundacji, a też dzięki tym, którzy wspierają nas w modlitwie.

Wracając do tematu naszych rozważań, nawiążę do osobistego świadectwa. Były takie momenty w moim życiu, gdy nie tylko na polu osobistym, ale i zawodowym wytrwale łąknąłem sprawiedliwości. Tak było też wówczas, gdy pracowałem jako dziennikarz. Nie miałem w tych czasach upolitycznienia mediów możliwości uzyskania przydziału do pracy w tym zawodzie w Warszawie, jednak szczęśliwie otrzymałem zgodę na staż w „Tygodniku Siedleckim”. Tak się złożyło, że jednym z pierwszych moich samodzielnych tematów była relacja o zatruciu rzeki Wilgi i dowodzie winy miejscowej mleczarni – śniętych rybach. Po tym reportażu musiałem się rozstać z pracą. W tym czasie telewizja ogłosiła konkurs na kierowników produkcji ze znajomością języków obcych. Miałem szczęście i zostałem pracownikiem Komitetu ds. Radia i Telewizji. Program koprodukcji międzynarodowych nie wypalił, a ja spróbowałem sił jako dziennikarz telewizyjny. Po jednej z produkcji jednoznacznie doradzono mi, żebym podejmował inne, mniej kontrowersyjne tematy. Było to po moim reportażu pod tytułem „Pamiętka z kombinatu”. Przedstawiłem w nim historię kobiety, która urodziła niepełnosprawne dziecko, a badania i wypowiedzi lekarzy dowodziły, że przyczyną kalectwa dziecka była praca matki w zakładach Petrochemicznych w Płocku. Reportaż, poprzez osobisty wątek bohaterki i wypowiedzi specjalistów, ukazał zagrożenie kombinatu dla zdrowia mieszkańców miasta. Lekarz prowadzący bohaterkę i jej dziecko poradził jej, aby zmieniła miejsce pracy na oddalone od kombinatu i tak uczyniła. Jakiś czas po przebywaniu w niezatrutym środowisku urodziła zdrowe dziecko, co było niezbitym dowodem, że niepełnosprawność jej pierwszego dziecka – Dorotki – była związana z pracą w Petrochemii. Wspomniana kobieta sama, wbrew sugestiom państwowej opieki, wychowywała swoją kalekę Dorotkę, pomimo że dziewczynka nie bawiła się zabawkami, nie chodziła, nawet nie jadła samodzielnie, wymagała

nieustannej opieki i nie kwalifikowała się do jakiegokolwiek nauki. Mama mimo wszystko nie oddała dziecka do domu dla kalek. Film o dzielnej kobiecie był wyemitowany w programie „Zawsze po 21”, bardzo późno wieczorem, a jednak zauważony. Po emisji sprawę szkodliwego oddziaływania Petrochemii podjęły komisje sejmowe, a ja nie posłuchałem dobrych rad przełożonych i dalej szukałem sprawiedliwości. W 1985 roku pożegnano się ze mną pod pretekstem konieczności oszczędności w firmie przez redukcję zatrudnienia....

Dlaczego o tym mówię? Co skłoniło mnie, żeby przypomnieć o tamtych czasach trudnych wyborów? Również dzisiaj w naszych miejscach pracy musimy wybierać, po której stronie się opowiadamy, czy po stronie tych, którzy chcą sprawiedliwości, czyli dobra również dla innych, nie tylko dla siebie, czy też tych, którzy skupieni są wyłącznie na sobie i nie interesują ich osobiste dramaty innych czy też dobro społeczności, ojczyzny.

Z pewnością gorąca dyskusja nad dylematem sprawiedliwości toczyła się od pierwszych dni zapisania Ośmiu Błogosławieństw na kartach Ewangelii i będzie zapewne powracała w przyszłości, ale dla nas jest ważne odniesienie do rzeczywistości, która nas otacza. Prowadząc klub dla ubogich dzieci i młodzieży, myślę, jak to jest niesprawiedliwe, że musimy płacić wygórowany czynsz, a nasze aplikacje w konkursach o granty są odrzucane. Podobnie mamy problemy z pozyskaniem funduszy na utrzymanie lokalu fundacji wynajmowanego od Miasta Stołecznego Warszawy na Ochocie. Tam zbieramy i rozdajemy dary, prowadzimy wsparcie bezdomnych, spotykamy się i rozmawiamy z tymi, którzy tego łakną. Dlatego to oczywiste, że i my pragniemy sprawiedliwego wsparcia ze strony władz stolicy. Pozostaniemy nieobojętni mimo wszystko!

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

W czasie kiedy studiowałam we Wrocławiu, były, podobnie jak dzisiaj, dwa stopnie studiów: trzyletni inżynierski i dwuletni magisterski. Były to lata pięćdziesiąte, głębokie czasy stalinowskie. Powiedziano nam, że wszyscy ci, którzy znajdą się w pierwszej ósemce, dostaną się bez kłopotu na studia magisterskie. Miałam na swoim roku drugie miejsce, nie obawiałam się więc, że nie dostanę się na drugi stopień – magisterski. Oczywiście to była naiwność. Jak doszło co do czego i moja sprawa była rozpatrywana przed komisją, w której między innymi zasiadał członek partii, bardzo długo, chyba godzinę, nie było żadnego werdyktu. Członkiem partii zasiadającym w komisji był mój kolega z roku. Gdy w końcu wyszedł mój profesor, u którego miałam robić magisterium, powiedział mi, że niestety się nie dostałam. Ten mój kolega powiedział, że ja się nie nadaję na studia magisterskie, ponieważ działałam w katolickich organizacjach i chodzę do kościoła. Wyjaśnił też komisji, że ja tak dobrze zdaję egzaminy, ponieważ przed każdym idę do kościoła.

Dzięki interwencji w ministerstwie w Warszawie jakoś ostatecznie dostałam się na studia i dwa lata później je skończyłam. Pracę podjęłam w Warszawie, najpierw w Polskiej Akademii Nauk, a potem na Uniwersytecie Warszawskim. Kolega, o którym wspominałam, pracował w Instytucie Geologii we Wrocławiu.

25 lat później spotkaliśmy się przypadkowo na zjeździe naukowym i zaistniała taka sytuacja, że razem wysiadaliśmy z autobusu. Zagadałam do niego wtedy: „Stefan, powiedz mi, czy masz dzieci, rodzinę”. On mi to wszystko opowiadał, a potem powiedział: „słuchaj, ja na to spotkanie z tobą czekałem 25 lat, żeby cię przeprosić za tamte lata, za to, co ci wtedy zrobiłem. Ja potem zrozumiałem, że byłem w błędzie, że jest inaczej, ale wtedy byłem całkowicie zaślepiony. Potem nie mieliśmy kontaktu, ale dzięki temu, że ty teraz zaczęłaś ze mną rozmawiać, to mogę cię przeprosić, bo sam bym nie śmiał i za to ci dziękuję, bo będzie mi łatwiej żyć”. Muszę powiedzieć, że są takie sytuacje w życiu, kiedy brakuje słów. I pozostaje tylko wdzięczność Panu Bogu.

### Zdzisław Bielecki

Chciałem powiedzieć o tym łaknieniu i pragnieniu sprawiedliwości, opierając się na własnym doświadczeniu. Odczuwa się je szczególnie w momentach krzywdy i bólu. Gdyby nie łaska wiary, trudno byłoby mi z tymi wewnętrznymi zmaganiem sobie poradzić. Ona przyszła przez ludzi, którzy z tą wiarą do mnie przyszedli. Dzięki nim udało mi się poradzić sobie z tym łaknieniem wewnętrznym, z tym bólem i z tym poczuciem niesprawiedliwości. Pozwoliło mi to żyć dalej i żyć bez negatywnych uczuć wobec osób czy sytuacji, czy systemu, który to spowodował. Więc to jest ten jeden element, osobisty – łaknienie sprawiedliwości dla siebie.

Z drugiej strony, to łaknienie sprawiedliwości pojmowane szerzej, jest to dla mnie bycie nieobojętnym. Czyli jeśli widzimy, że coś jest nie tak, to mamy starać się, aby było inaczej. Nawiązując do mądrości pedagogiki Bożej, którą pięknie wyraził ksiądz Jan, Pan Bóg stworzył nas po to nierównymi, mającymi nie tyle samo, żeby można było się dzielić. Żeby uśmiech mógł iść od osoby uśmiechniętej do smutnej. Żeby osoba, która zauważa piękno świata, mogła podzielić się tą radością z osobą, która nie ma tego daru, tej łaski. Żebyśmy tak jak św. Marcin, który podzielił się swoim płaszczem i okrył żebraka u wrót miasta, potrafili dzielić się nie tylko tym, co nam zbywa, ale czasem również tym, czego mamy niedostatek.



Zdzisław Bielecki, Izabela Szwarocka i Jerzy Wratny

### **Izabela Szwarocka**

Odnosząc się do tego, co powiedział pan Zdzisław, chciałabym dodać, że jest różnica między przeżywaniem konfliktu rozpiętego między manifestowaniem swojej siły i krzywdy i wycofaniem się z życia jako manifestacji własnej krzywdy a konfliktem, który człowiek przeżywa zarówno w odniesieniu do swoich uczuć, jak i do płaszczyzny wiary. To napięcie między psychiczną i duchową sferą człowieka jest rozwojowe: dojrzała wiara korzysta z ludzkich uczuć, które jakoś ją ożywiają, a uczucia potrzebują odniesienia do wiary – może zwłaszcza te, poprzez które człowiek w codziennych doświadczeniach łaknie i pragnie sprawiedliwości, w taki sposób, by ważyć proporcje między poszukiwaniem prawdy (sprawiedliwości) a miłością, chęcią porozumienia się z innymi.

Mój ojciec powiedział mi kiedyś w szczerzej rozmowie o swojej, bardzo dla mnie trudnej, reakcji na to, że nie widzę. Początkowo przestraszyło mnie to, poczułam się pokrzywdzona i myślałam, że to niesprawiedliwe, przecież to nie moja wina, że nie widzę, jak on tak mógł (tyle uczucia, myśli, do których skądinąd miałam prawo). Powierzenie tej sprawy w osobistej modlitwie pozwoliło mi jednak odkryć w tym, co usłyszałam, siłę przebaczenia, które, nie odbierając mi prawa do łaknienia i pragnienia sprawiedliwości, zrobiło w sercu przestrzeń na zrozumienie bezradności ojca wobec niemożności zmiany tego, czego zmienić nie mógł. Pomyślałam wtedy, że to dobry moment, żeby na tę „niesprawiedliwość niewidzenia” raz jeszcze uczciwie popatrzeć. Zaakceptowanie faktu, którego zmienić nie mogę, nie niweczy codziennych trudności, ale pozwala z nimi żyć; są trudności wynikające z faktu, że nie widzę, ale są też możliwości, z których mogę korzystać sama, jak też ku pocieszeniu tych, którym dzieje się jakaś niesprawiedliwość.

### **Jerzy Wratny**

Sprawiedliwość domaga się zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy, co można ująć w trzech płaszczyznach: w życiu osobistym – po okresie niepowodzeń przychodzą sukcesy i wyrównanie krzywd, to jest mój przypadek.

Po drugie, w życiu społecznym – gdy zadośćuczynienie krzywdom przynosi historia kolejnych, czasem odległych generacji. Ofiara wydaje się niepotrzebna, zmarnowana, tak jak te kamienie

rzucane na szaniec w Powstaniu Warszawskim, jednak z czasem przynosi owoce.

Trzecia płaszczyzna dotyczy zadośćuczynienia przez sprawiedliwość Bożą w wymiarze ostatecznym. Przez Boży sąd. Kościół nie przyjął poglądu Orygenesa, jednego z pisarzy wczesnochrześcijańskich, który twierdził, że u kresu dziejów wszyscy będą odkupieni przez miłosierdzie Boże. Jest to pogląd hipotetyczny i zuchwały. Istnieje piekło i mogą być grzesznicy, których winy, mimo obfitości miłosierdzia Bożego, nie zostaną odpuszczone.

### **Izabela Szwarocka**

Kiedy czytałam cytaty przysłane nam przed Konwersatorium, najbliższy był mi ten, że „bez miłości szacunek do człowieka, wrażliwość na jego potrzeby, relacje międzyludzkie – to wszystko może być poprawne, ale może też stać się biurokratyczne, niezdolne, by konstruktywnie odpowiedzieć na ludzkie potrzeby. Bez miłości nigdy nie będzie prawdziwej sprawiedliwości, podziału dóbr między bogatymi i biednymi, zwrócenia uwagi na niepowtarzalność każdego człowieka i konkretną sytuację, w której on się znajduje”.

Z tym cytatem chciałabym powiązać moje osobiste świadectwo. Wiele jest zakorzenionych przekonań co do tego, co mogą albo czego nie mogą robić osoby niewidzące. Chciałabym powiedzieć o jednym zdarzeniu, w którym czułam się skrzywdzona i odczuwałam pragnienie sprawiedliwości. Pewnego dnia zostałam wykluczona z badań klinicznych prowadzonych nad skutecznością jednego z leków, właśnie dlatego, że nie widzę i firma farmaceutyczna z góry założyła, że ja na pewno nie zrobię tych obserwacji. W rzeczywistości mogło być zupełnie inaczej. Oczywiście nie mogłam się posługiwać wzrokiem, ale sobie dostosowałam metody, które były wiarygodne. I wtedy bardzo mocno zrozumiałam, czym może być łaknienie i pragnienie sprawiedliwości. Jak państwo się pewnie domyślają, sądenie się z koncernem farmaceutycznym byłoby dla mnie aktem samobójczym, ale bardzo pragnęłam wówczas napisać list do Prezydenta RP opisujący całą zaistniałą sytuację, która naruszyła moją godność osobistą. Pragnęłam zwrócić uwagę na to, co jest możliwe dla ludzi niewidomych, a na co nie uzyskujemy zezwolenia, co wynika z uprzedzeń czy niewiedzy. Łatwiej jest myśleć swoje, a trudniej wyjść naprzeciw człowiekowi i za-

stanowić się, jakie są rzeczywiste jego możliwości i co się da jeszcze zrobić.

### **Andrzej Skoczek**

Według mnie „błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyчени” to program na całe nasze ziemskie życie, które dopiero po śmierci skończy się pełnym nasyceciem sprawiedliwością, kiedy staniemy przed sądem Bożym.



Andrzej Skoczek

Wydaje mi się, że na ziemi to my do końca tej sprawiedliwości nie jesteśmy w stanie osiągnąć, chociaż jej pragniemy i łakniemy. Nasze ludzkie poczucie sprawiedliwości mija się ze sprawiedliwością Bożą, bo Boże drogi nie są naszymi drogami. Zwrócę uwagę choćby na niektóre cytaty z Ewangelii. Oto przypowieść o winnicy, kiedy to właściciel winnicy zaprasza pracowników i umawia się na zapłatę jednego denara. Dostają go zarówno ci, którzy pracowali cały dzień, jak i ten, który pracował jedną godzinę, wszyscy otrzymali po denarze. Dla nas, z czysto ludzkiej perspektywy, jest to niesprawiedliwe. To samo dotyczy dobrego łotra, który całe życie czynił źle, a wystarczyło jedno westchnienie na krzyżu i stał się

dobrym łotrem i pierwszym świętym. I znowu ludzka logika buntuje się przed takim rozumieniem sprawiedliwości. Ale Boża logika, Boże poczucie sprawiedliwości jest o wiele doskonalsze. I to jest dla nas bardzo piękna, wspaniała perspektywa, ponieważ daje nam nadzieję, że kiedyś po śmierci miłosierdzie Boże będzie większe od ludzkiego poczucia sprawiedliwości. Gdyby sąd Boży opierał się tylko na ziemskiej sprawiedliwości, to nie mielibyśmy szans na zbawienie. Dzięki Bogu mamy jednak perspektywę miłosierdzia Bożego, które daje nam szansę zbawienia, jeśli szczerze uderzymy się w piersi, własne piersi i zawczasu wyrzucimy belkę z oka.



Andrzej Dowgiałło

### **Andrzej Dowgiałło**

Jest sprawa dojrzałości i niedojrzałości ludzi. Istnieje postawa roszczeniowa, niemożność uznania, że z mojej strony też mam jakieś zobowiązania wobec drugich ludzi albo że się komuś coś bardziej należy niż mnie. Było takie wydarzenie. W pewnym przedszkolu był konkurs, który jakieś dzieci wygrały i dostały nagrody, a tu nagle płacz i rozpacz tych dzieci, które nagrody nie dostały. Wtedy tłumaczono im, że tamte dzieci wygrały, zasłużyły, a tym

drugim się nie należy, ale nie docierało to do nich, więc pani musiała udać się do sklepu i coś tym dzieciom kupić, żeby one też coś dostały. Jest to dobry przykład na niedojrzałe rozumienie sprawiedliwości.



Ks. Adam Zelga i słuchacze Konwersatorium





*Błogosławieni miłosierni,  
albowiem oni miłosierdzia dostąpią*





## Cytaty

### ks. Wojciech Bartkowicz. Siedem słów Chrystusa na krzyżu (fragmenty)

1. Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

*Kuszenie Jezusa, Miłośnika ludzi*

Kiedyś szatan na pustyni bezskutecznie usiłował przekonać Mesjasza do swojego pomysłu na historię Bosko-ludzkich relacji. Teraz wykorzystuje swoją ostatnią szansę. – Nie da się ukryć, że przegrałeś tę romantyczną walkę o człowieka – szepcze do ucha Skazańcowi to maleńkie zwierzątko, któremu wydaje się, że jest Bogiem. – Przyznaj mi rację: przeklęty jest człowiek, który odrzuca ofiarowaną mu pomoc. Nie jest wart Twojego trudu ten, kto przybija do krzyża uzdrawiające go ręce. Wracaj do Ojca, nie ponizaj więcej Jego świętego majestatu. Nie – odpowiada Jezus – „Ja po to przyszedłem na świat, by dać świadectwo prawdzie” o Ojcu, który pochylił się nad człowiekiem. Nikt Mnie nie oderwie od ludzi, którzy zaplątali się we własne grzechy jak owieczka w cierniste zarośla. Nikt Mnie nie oderwie od Ojca, który jest sprawiedliwy w swoim miłosierdziu i miłosierny w swej sprawiedliwości.

2. Zaprawdę, powiadam ci, dziś ze Mną będziesz w raju.

*Kuszenie złoczyńcy*

Wielokrotnie ulegał podszeptom złego – przyprowadziło go to aż tutaj, na szubienicę. Teraz szatan chce ostatecznie zamknąć sprawę kolejnego zdeprawowanego przez siebie łotra. Życie zeszło mu na gonitwie za uludą, niech teraz przeklnie swój los, ludzi, Boga, historię... Niech umrze w poczuciu absolutnej beznadziei i bezsensu – że Przedwieczny źle urządził ten świat, źle zaplanował historię, że bawi się nami jak dziecko trzymające świerszcze w pudełku od zapalek...

To nie tak, bracie – mówi Jezus swemu towarzyszowi męki – nie pozwól odebrać sobie jedyne go dobra, którego w życiu nie zmarnowałeś: nadziei. To nieprawda, że wszystko skończone. Za

tobą dopiero jedna część życia – drugą możesz jeszcze wygrać. Czujesz, że jesteś na dnie? Zszedłem tu za tobą. Uchwyc się Mnie, tak jak Ja uchwyciłem się Ojca. Razem wygramy tę ostatnią bitwę. Dziś ze Mną będziesz w rajach...

### **Krzysztof Popławski. Błogosławieni miłosierni...** (fragmenty)

Miłosierdzie jako dar przebaczenia, który otrzymujemy „siedemdziesiąt siedem” razy, jest szczególnie doświadczane w sakramencie pojednania. Formuła rozgrzeszenia rozpoczyna się od słów: „Bóg Ojciec Miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna...” i streszcza całe dzieło miłości Boga, powierzone Kościołowi. Spowiedź ma być dla nas podstawowym sposobem spotkania Bożego miłosierdzia jako Jego dzieła i daru. Bł. Faustyna zapisała słowa Jezusa: „Pragnę, ażeby kapłani głosili to wielkie Miłosierdzie Moje względem dusz grzesznych. Niech się nie lęka zbliżyć do Mnie grzesznik. Pałaj Mnie płomieniem Miłosierdzia, chcę je wylać na dusze ludzkie”. Sakrament pojednania to przedłużenie spotkania Jezusa z grzesznikami, to przebaczenie przynoszące nowe życie.

Inną drogą do rozpoznania Bożego miłosierdzia mogą być nasze codzienne sytuacje: czyjeś dobre słowo, gest, doświadczenie miłości, wierność przyjaźni czy znak pamięci. Papież wyraźnie podkreśla wyjątkowe znaczenie modlitwy: „Poprzez modlitwę Bóg objawia się przede wszystkim jako Miłosierdzie, to znaczy jako Miłość, która wychodzi na spotkanie człowieka cierpiącego, jako Miłość, która dźwiga, podnosi z upadku, zaprasza do ufności. Zwycięstwo dobra w świecie jest organicznie związane z tą prawdą. Człowiek, który się modli, wyznaje tę prawdę i niejako uobecnia Boga, który jest Miłością miłosierną pośród świata”. Człowiek modlący się odkrywa swoją biedę i kruchość, grzeszność i słabość oraz absolutną zależność od Boga.

Istnieją znacznie powszechniejsze obszary domagające się miłosierdzia: nasze słowa o innych, oceny, opinie, obmowy, oszczerstwa... Miłosierdzie w słowie wyraża się najpierw w obronie innego przede mną samym i moim ocenianiem. Wyrazem miłosierdzia

może tu być pokora wobec drugiego człowieka i jego tajemnicy (tego, że wszystkiego nie wiem), przyjęcie możliwości mojej pomyłki (pokora wobec własnego sądu) oraz coś, co można by nazwać uczestnictwem w Bożym spojrzeniu. Zaskakującą ilustracją takiej postawy możemy znaleźć w opowiadaniu Karla Čapka, gdzie sądzony po śmierci człowiek pyta się Boga, który jest świadkiem w procesie prowadzonym przez innych ludzi: „Dlaczego właśnie pan... dlaczego Ty, Boże, nie sądzisz sam?” I słyszy odpowiedź: „Dlatego, że wszystko wiem. Gdyby sędziowie wiedzieli wszystko, ale zupełnie wszystko, też by nie mogli sądzić; tylko by wszystko rozumieli, aż by ich od tego bolało serce”. Nasze miłosierdzie będzie związane z „dobrym myśleniem” o drugim, doszukiwaniem się i mówieniem o dobrych cechach innych, co nie jest łatwe, zwłaszcza wśród najlepiej nam znanych. Znowu powraca tu motyw doświadczenia obdarowania: „Ten, kto jest świadom otrzymanej Bożej dobroci, nie może już występować przed Bogiem jako sędzia innych”.

### **Benedykt XVI. Z ufnością przyzywajmy Matki Miłosierdzia** 18 XI 2011 r. (fragment)

Dziewica Maryja doświadczyła w najwyższym stopniu tajemnicy Bożej miłości: «Miłosierdzie Jego z pokoleń na pokolenia dla tych, co się Go boją» (Łk 1, 50) – woła w swoim *Magnificat*. Poprzez swoje «tak» w odpowiedzi na Boże wezwanie przyczyniła się Ona do objawienia Bożej miłości pośród ludzi. W tym sensie jest Matką Miłosierdzia, przez udział w misji swego Syna; otrzymała przywilej, że może przychodzić nam z pomocą zawsze i wszędzie. «Poprzez swoje wielorakie wstawiennictwo ustawicznie wyjednuje nam dary wiecznego zbawienia. Dzięki macierzyńskiej miłości opiekuje się braćmi swego Syna, pielgrzymującymi jeszcze i narażonymi na niebezpieczeństwa i trudy, dopóki nie zostaną doprowadzeni do szczęśliwej ojczyzny» (*Lumen gentium*, 62). Pod osłoną Jej miłosierdzia goją się zranione serca, udaremniane są zasadzki Złego, a nieprzyjaciele jedną się ze sobą. W Maryi mamy nie tylko wzór doskonałości, ale także pomoc do osiągnięcia jedności z Bogiem oraz z naszymi braćmi i siostrami. Matka Miłosierdzia

jest niezawodną przewodniczką uczniów swego Syna, którzy chcą służyć sprawiedliwości, pojednaniu i pokojowi. Z prostotą i macierzyńskim sercem wskazuje nam jedyne Światło i jedyną Prawdę: swego Syna, Jezusa Chrystusa, który prowadzi ludzkość ku pełnemu urzeczywistnieniu w Jego Ojcu. Nie lękajmy się przyzywać z ufnością Tej, która nieustannie rozdaje swoim dzieciom Boże łaski.

**Benedykt XVI. Przemówienie na spotkaniu stowarzyszenia  
„Pro Petri Sede”, 15 II 2011 r.**

Aby żyć tym świadectwem miłosierdzia, jest zatem niezbędne spotkanie z Panem, który przemienia serce i spojrzenie człowieka. Istotnie, to właśnie świadectwo o miłości Boga do każdego z naszych braci w człowieczeństwie nadaje prawdziwy sens chrześcijańskiemu miłosierdziu. Nie może się ono ograniczać do zwykłego humanizmu czy promocji ludzkiej. Pomoc materialna, choć również konieczna, to jeszcze nie całość miłosierdzia. Jest ono udziałem w miłości Chrystusa, którą przyjmujemy i którą się dzielimy. Każde autentyczne dzieło miłości jest zatem konkretnym ukazywaniem miłości Boga do ludzi, a przez to staje się głoszeniem Ewangelii. W obecnym okresie Wielkiego Postu gesty miłosierdzia, pełnione ze szczodrością, pozwalają każdemu iść ku Chrystusowi, który nigdy nie przestaje wychodzić na spotkanie ludziom

## KONWERSATORIUM LXI

(16 lutego 2013)

**Błogosławieni miłośni,  
albowiem oni miłosierdzia dostąpią**

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; brat Mirosław Kruk, Zgromadzenie Małych Braci Jezusa; Joanna Trzcionka, nauczyciel akademicki UKSW, doktor, wolontariuszka Fundacji PROJAN; siostra Małgorzata Ochędusko, Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Starowiejskich; Anna Niepiekło, koordynator projektu, Fundacja Kapucyńska.

**Ks. Adam Zelga**

Jestem proboszczem kościoła pod wezwaniem błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Kiedy mój poprzednik, organizator parafii, zastanawiał się, jakiego patrona wybrać dla niej, zdecydował, że będzie to błogosławiony Edmund Bojanowski. Uważał, że na początku trzeciego tysiąclecia trzeba dowartościować świeckich w Kościele. Edmund Bojanowski to świecki błogosławiony. Kiedy objąłem tę parafię, zbiegło się to z tragedią zamachu na World Trade Center. Wstrząśnięty, zastanawiałem się, jakiej można udzielić odpowiedzi na ten wylew czystej nienawiści. Zabić, zniszczyć, bo ktoś jest inny. Była to jednocześnie końcówka pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II, który skupił się wówczas na przekazaniu ludzkości przypomnienia idei o Bożym Miłosierdziu. Wtedy zrozumiałem, że u początku XXI wieku zostały nam zaproponowane dwa scenariusze dla świata. Jeden to wydarzenie, którego symbolem jest World Trade Center, a drugie to propozycja płynąca z Watykanu: „Otwórzcie się na Boże Miłosierdzie”. Jeżeli człowiek otworzy się na doświadczenie Bożego Miłosierdzia, wówczas ludz-

kość ma przed sobą szansę pozytywnego rozwoju, jeżeli nie, to scenariusz będzie przeciwny.



Ks. Adam Zelga

U mnie w kaplicy wisi kopia obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej. Często zastanawiałem się, dlaczego najczęściej wydarzeń związanych z objawieniami siostry Faustyny wiąże się z Wilnem? Może właśnie dlatego, że patronuje temu miastu Matka Boża Miłosierdzia. Wtedy poprosiłem kardynała Nowego Jorku, żeby przysłał mi fragment z rozbitej wieży World Trade Center. Otrzymałem go i wmontowałem w nasz obraz Matki Bożej Miłosierdzia. W ten sposób w tej Ikonie zderzyły się wspomniane dwa scenariusze.

### **Siostra Małgorzata Ochęduszko**

„Cała nadzieja w nieprzebranym Miłosierdziu Bożym” – jest to myśl zaczerpnięta z dziennika apostoła Miłosierdzia błogosławionego Edmunda Bojanowskiego, założyciela Zgromadzenia Sióstr Służebniczek, którego jestem siostrą. Na początek pragnę wyrazić ogromną wdzięczność za zaproszenie mnie tutaj. Uczelnia, w której jesteśmy, nosi imię mojego założyciela, dzięki któremu ja też dostąpiłam miłosierdzia. Przygotowałam sobie parę myśli błogosła-

wionego Edmunda, które pragnę przedstawić: „wieczorem do modlitw zwyczajnych dodałem serdeczne Bogu dziękczynienie za dzień tak szczęśliwie spędzony, w którym mi Bóg tak wiele miłosierdzia i cudownej Opatrzności okazał. O Boże, jakże serce moje przepełnione pociechą”. Cieszę się, że błogosławiony Edmund jest tutaj patronem, że jest coraz bardziej znany i jest wzorem służby Bogu dla ludzi świeckich.



Siostra Małgorzata Ochęduszek wśród panelistów

Ponieważ temat dotyczy miłosierdzia, należy podkreślić dwa jego aspekty: duchowy i materialny. Aspekt duchowego miłosierdzia Bóg pokazał nam, ludziom współczesnym, przez siostrę Faustynę. Jest to niejako wylanie Bożego Miłosierdzia na świat.

O Bogu miłosiernym przychodzącym do nas z przebaczeniem świadczył swoim życiem błogosławiony Edmund Bojanowski. Miał wielkie nabożeństwo do Jezusa Miłosiernego. Godzinami trwał na modlitwie. Rano zaczynał przy świecy i kończył wieczorne modlitwy też przy świecy. Trwał przed Najświętszym Sakramentem, korzystał z rekolekcji, z rachunku sumienia. Bardzo pomocna była mu duchowość ignacjańska. Był to człowiek naprawdę miłosierny i uczył się tego od Jezusa. Czytał Słowo Boże, żywoty świętych, korzystał z sakramentów i zachęcał do tego ludzi i swoje siostry, a także niósł miłosierdzie w sposób materialny. W książce pod tytułem „Nędzy same-

mu trzeba dotknąć” jest opisana jego posługa miłosierna. Współcześni nazywali go drugim Wincentym à Paulo. Wszystko co miał, rozdawał ubogim. Jedną rękę wyciągał do Boga Miłosiernego, by otrzymać, a drugą rozdawał to ubogim. Korzystał z każdej okazji, żeby miłosierdzie nieść ludziom ubogim na wsi. Niósł wszechstronnie, zarówno w sensie materialnym, jak i duchowym.

Ojciec Edmund założył Zgromadzenie Sióstr Służebniczek, które stara się nieść miłosierdzie na te czasy. Jestem już w zgromadzeniu trzydzieści lat. Nasze zgromadzenie pracuje na wielu placówkach w Polsce i za granicą. Miłosierdzie zapoczątkowane przez ojca Edmunda sięga teraz na wszystkie kontynenty. Zacytuję wypowiedź księdza podczas pogrzebu ojca Edmunda: „czy znacie męża ze stanu świeckiego, który by tak obficie, z takim błogosławieństwem rozsiewał ziarna swych miłosiernych uczynków, jak Edmund Bojanowski. Jak daleko rozmnożyła się jego rodzina córek duchowych, tak daleko rozsiewa się jego pole urodzajne. Ileż łez ręką otartych, ileż sierot uratowanych, pocieszonych, ileż dzieciaków wyćwiczonych w bojaźni Bożej, ile chorych wypielegnowanych, ile błądzących po wsiach przykładem naprawionych, tyle składa się na wieniec zasług tego Apostoła Miłosierdzia”.

Oprócz naszych Sióstr miłosierdzie niosą również ludzie świeccy. Na jedno ze spotkań przyjechała siostra asystentka Rodziny błogosławionego Edmunda i powiedziała, że jest on jak kamień rzucony w wodę. Woda poruszona kamieniem zatacza kręgi. Tym pierwszym kręgiem są Siostry Służebniczki – córki duchowe, czyli my, ale następne kręgi się tworzą i tym następnym kręgiem jest Stowarzyszenie: Rodzina Błogosławionego Edmunda, które od dziesięciu lat zrzesza ludzi świeckich. Ludzie ci na wzór błogosławionego Edmunda Bojanowskiego, Apostoła Miłosierdzia, starają się naśladować go w niesieniu miłosierdzia poprzez własną formację, czynne włączanie się w posługę w parafiach, a także niosąc pomoc w konkretnych dziełach miłosierdzia. Wiele z tych osób angażuje się w prowadzenie świetlic, odwiedzanie chorych, pomoc dzieciom, organizowanie pomocy doraźnej czy stałej, wspieranie rodzin zagrożonych. Osobiście jestem teraz koordynatorką czterech grup Rodziny Błogosławionego Edmunda i naocznym świadkiem, jak rozdawane jest miłosierdzie.

Mam kontakt z Sebastianem, chłopcem, który już nie ma rodziców, wychowała go ciocia, ale bardzo się pochorowała i już nie była

w stanie się nim zająć, musiał więc przejść do Domu Pomocy Społecznej. Ma trzydzieści cztery lata, jest po porażeniu mózgowym i porusza się na wózku inwalidzkim. Bardzo cieszy się z odwiedzin, ale ponieważ nie zawsze obowiązki pozwalały nam, siostronom go odwiedzać, podzieliłam się tym doświadczeniem z członkami Rodziny Błogosławionego Edmunda i kilka osób zgłosiło chęć pomocy. Odwiedzają go, niosąc mu pomoc, po prostu są z nim. Myślę, że dla tego człowieka jest to wielki czyn miłosierdzia. Samotnie spędzałby ten czas w Domu Pomocy Społecznej, a tak, od czasu do czasu, jakiś promyk szczęścia ci ludzie starają się mu przynieść.

Dzieło to coraz bardziej się rozwija. Wierzę głęboko, że Edmund Bojanowski patronuje i wspomaga nas swoją łaską, żeby dzieła miłosierdzia rozrastały się w Polsce, gdy sytuacja się pogarsza i jest potrzeba bycia z potrzebującymi ludźmi. Zastanawiamy się, w jakim kierunku ma iść Rodzina Błogosławionego Edmunda. Na jednym ze spotkań ktoś powiedział, że teraz bardzo potrzeba wyjść do ludzi, którzy są samotni, cierpią, przeżywają depresję, jakieś załamania, a jest ich, jak się okazuje, bardzo wiele. Ostatnio jeden mężczyzna ze Śląska, który był kościelnym, a równocześnie przewodniczącym Rodziny Błogosławionego Edmunda i ojcem kapłana, popełnił samobójstwo. Na pogrzebie ksiądz proboszcz parafii, gdzie pracował ten mężczyzna, uklęknął przy tej trumnie i powiedział: „Edwardzie, przebac mi, że nie zauważyłem twojej ciemności, twojego załamania, że miałeś jakieś zachwianie w wierze, że nikt z nas nie podał ci ręki w odpowiednim momencie”. To było ogromnym wstrząsem dla osób z Rodziny Błogosławionego Edmunda. Postanowiły one iść i szukać w otoczeniu ludzi samotnych, przeżywających kryzysy, zamykających się w sobie. Nieść im pomoc i miłosierdzie.

Swoje powołanie odbieram jako wielki dar Miłosierdzia Bożego. Przyznam szczerze, że pochodzę z rodziny mało wierzącej i mój obraz Boga był płytki i skrzywiony. Był dla mnie sędzią, którego się bałam. Gdy poczułam powołanie, wstąpiłam do Sióstr Służebniczek. Przez wieloletnią formację, korzystanie z rekolekcji, z kierownictwa duchowego mój Bóg jest teraz Miłością i Miłosierdziem i tym miłosierdziem mogę się dzielić z tymi, do których mnie Pan Bóg posyła. Przede wszystkim przez dwadzieścia lat miałam szczęście pracować w przedszkolu, była to też posługa miłosierdzia. Wraz siostrami starałyśmy się przyjmować dzieci

z biedniejszych rodzin, ogarniać je, wychowywać, modlić się za te rodziny i wychodzić do tych rodzin z konkretną pomocą. Przez wiele lat pracowałam w Strykowie koło Łodzi, było tam wiele biednych rodzin. Często przychodziły prosić o pomoc. Ile mogłyśmy, tyle pomagałyśmy, ale często brakowało pieniędzy czy konkretnych, materialnych rzeczy. Pewnego razu przyszła matka wielodzietnej rodziny, byłyśmy wtedy w trudnej sytuacji, ale powiedziałam, żeby przyszła za dwa dni. Z siostrami poszłyśmy do kaplicy, zaczęłyśmy się modlić i za dwa dni przyszła pewna kobieta, która miała zakład krawiecki i powiedziała nam, że jej się poszczęściło, bo dostała dużą kwotę pieniędzy, których się nie spodziewała i chce się nimi podzielić. Mogłyśmy wesprzeć rodzinę wielodzietną. Takich aktów miłosierdzia mamy wiele, może łatwiej powiedzieć o tych materialnych, ale duchowych też mamy wiele. Bardzo dużo ludzi zagubionych zgłasza się do nas o pomoc duchową i modlitwę.

Właśnie w Rodzinie Błogosławionego Edmunda bardzo dużo ludzi odnajduje Miłosiernego Boga. Na comiesięcznych spotkaniach modlitewno-formacyjnych, wyjazdach, konferencjach, pielgrzymkach przybliżamy ludziom Miłosiernego Boga.

Wspieramy też konkretne osoby. Pracowałam w przedszkolu w Tarchominie przez pięć lat, potem odwiedzałam siostry tam pracujące. Pewnego razu spotkałam na przystanku panią Anię, która wcześniej współpracowała z nami, jej dziecko też było w naszym przedszkolu. Była załamana, urodziła trzecie dziecko, mąż ją zostawił, wyjechał za granicę i nie widziała możliwości dalszego życia, była załamana psychicznie. Bardzo długo rozmawiałyśmy i ile razy przyjeżdżałam, odwiedzałam ją. Właściwie niewiele jej radziłam, bardziej słuchałam i byłam z nią. Dzwoniła, pisała listy. Dla tej załamanej kobiety to spotkanie było wielkim darem Bożego Miłosierdzia. Mogła się przed kimś wypowiedzieć i przetrwać trudny czas. Dziś ma lepszą sytuację i sobie radzi. Takich momentów jest dużo w życiu i moich sióstr.

Widzę też szerokie działanie miłosiernego Jezusa w naszych akcjach misyjnych. Ponad osiemdziesiąt lat temu nasze siostry podjęły pracę w Afryce, pracują też od piętnastu lat na Syberii i jeszcze w wielu innych krajach. Siostry piszą, dzwonią, prosząc o konkretną pomoc. Zakładając przedszkola od zera, potrzebowały modlitwy i różnych pomocy. Po niedługim czasie zgłaszali się ludzie, którzy

chcieli pomóc. Ostatnio powstało trzecie przedszkole w Bracku i siostry prosiły o pomoc w zakupie sprzętu gimnastycznego, a to duży koszt. Po modlitwie znowu zgłosiły się osoby, które chciały pomóc, siostry też podjęły różne akcje w parafii i dzięki temu sprzęt został zakupiony, a dzieci w przedszkolu mają lepsze warunki.

Bardzo się cieszę, że jestem w Uczelni, którego patronem jest Błogosławiony. Działał wtedy, kiedy była bieda, kiedy było trudno, rozdawał wszystko i jak to sam powiedział, „już ostatnie bydłatko ze swego domu wyprowadził”, czyli zestaw srebrnych sztućców, które uważał za zbyt kosztowne, aby je mieć, gdy obok ludzie są biedni. Oddał wszystko. My, jego córki duchowe, staramy się w miarę naszej możliwości kontynuować ten charyzmat. Doświadczam na co dzień Bożego Miłosierdzia poprzez Sakramenty, poprzez Słowo Boże i mam okazję dzielić się tym miłosierdziem tam, gdzie jestem. Jestem Bogu bardzo za to wdzięczna.

### **Anna Niepiekło**

Nie ukrywam, że moja obecność tutaj jest dla mnie wielkim zaskoczeniem, bo kiedy dowiedziałam się, że mam dawać świadectwo, chciałam odmówić. O Fundacji Kapucyńskiej, w której pracuję, mogłabym mówić godzinami, ale o sobie jest mówić najtrudniej. Będzie to pierwszy raz, kiedy komukolwiek o tym mówię. Na pewno to nie jest przypadek, bo Bóg wie, co robi. Pokazuje mi to przez całe moje życie.

Obecnie pracuję jako Koordynatorka Projektów w Fundacji Kapucyńskiej. Fundacja związana jest z działalnością braci kapucynów w Warszawie na ulicy Miodowej. Bracia od ponad dwudziestu lat prowadzą tam jadłodajnię dla osób ubogich i bezdomnych. Na początku działalność braci skupiała się na doraźnym wsparciu: wydawanie zupy, odzieży, prowadzeniu punktu medycznego, wsparcie duchowe. Tak było do momentu, kiedy bracia postanowili spróbować podjąć pracę wychowawczą z ludźmi bezdomnymi. Powstało przy kapucynach środowisko bardzo sprzyjające tego typu działaniu. Osoby bezdomne bardzo im ufają, co pozwala zbliżyć się do nich, a Boże Miłosierdzie rozgrzewa ich serca. Tym ludziom, których wypełnia ogromna samotność, trzeba wlać nadzieję na budowanie lepszego jutra i na to, że mogą coś jeszcze wartościowego zrobić w swoim życiu.



Anna Niepiekło

Trafiłam do Fundacji, zanim ona powstała. Byłam wolontariuszką jadłodajni, a moja historia z kościołem kapucynów, jak i z ludźmi bezdomnymi jest ciekawa. Z dzieciństwa wyniosłam obraz Boga karzącego, a nie miłosiernego. Od kiedy pamiętam, Jezus dobijał się do mojego serca, abym niosła w świat miłosierdzie, ale tego nie chciałam. Wydało mi się, że narzuca mi swoją wolę, że ja mam inny plan na życie, niekoniecznie chcę to robić, co On mi proponuje. Z drugiej strony wydawało mi się, że On jako wszechmocny pewnie będzie chciał mnie ukarać za to, że chcę postępować zgodnie ze swoją, a nie Jego wolą. I tak to trwało przez prawie dwadzieścia lat. Uciekałam od swojego powołania przez intensywne życie towarzyskie, przez pracę, wręcz pracoholizm, przez pracę w korporacjach, przez chęć budowania własnego wizerunku. Bardzo chciałam mieć swoją firmę, zarabiać dużo pieniędzy, być osobą znaną, pełną różnych umiejętności, które pozwolą mi piąć się po drabinie kariery zawodowej i całkowicie zapomniałam o swoim wnętrzu duchowym. W swoich cechach, takich jak wrażliwość na drugiego człowieka, czy empatia, widziałam przekleństwo i niezmiernie z tym walczyłam. Całe jednak szczęście, chyba dzięki mo-

jej rodzinie, nigdy nie odeszłam od Kościoła. Co tydzień chodziłam na Mszę Świętą i mimo że może nie była ona przeżywana tak, jak być powinna, to jednak w każdą niedzielę tam byłam i myślę, że to mnie uratowało. Jezus przez całe moje życie dobijał się do mnie i stawiał na mojej drodze ludzi, którzy mi przypominali o Nim i o tym, że nie będę szczęśliwa, robiąc to, co robię według swojego planu. Przychodziły kolejne prace, które nie dawały satysfakcji i próbowałam kolejno innych. Później był jeszcze wyjazd do Anglii i tam trzyletnie zmagania z ułożeniem sobie na nowo życia, później decyzja powrotu do Polski. Po powrocie zaczęłam przypominać sobie o drugim człowieku. Wynikało to z trudnej ponownej aklimatyzacji w Polsce, miałam więcej wolnego czasu, a człowiek kiedy ma go więcej, to dzięki Bogu ucieka do swojego wnętrza. Współpracowałam z Siostrami Misjonarkami Miłości i tam odkryłam swój pierwszy kontakt z człowiekiem bezdomnym i ubogim. Teraz z perspektywy czasu widzę, że łatwo wchodzę w kontakt z drugim potrzebującym człowiekiem. Osoby, które mnie znają, pytają, jak ja to robię. Ja też nie wiem, to pewnie dar Boży, że mam jakąś niezwykłą zdolność otwierania ich serc, a oni chyba odwdzięczają mi się tym, że wpuszczają mnie w swój świat. Myślę, że to potrzebujący mnie wybrali, a nie ja ich. Wcześniej pracowałam jako wolontariuszka w hospicjum, pomagałam dzieciom w domach dziecka, ale akurat właśnie przy ludziach bezdomnych Bóg chciał mnie zatrzymać. Pamiętam jak po wydawaniu zupy u Sióstr Misjonarek podszedł do mnie jeden bezdomny i dał mi czekoladę. W pierwszym odruchu pomyślałam sobie, że ta czekolada będzie bardziej jemu potrzebna niż mnie, ale już po chwili wiedziałam, że muszę przyjąć ten dar, bo to jest jego forma podziękowania za to, co dla nich robię. Im jest bardzo trudno dziękować i poza słowem „dziękuję” nie są w stanie niczego nam dać, niczego takiego materialnego. I w tym momencie te moje cechy, które wcześniej przeklinałam, zaczęły nabierać blasku i ja stawałam się prawdziwie sobą. Uważam, że jeśli robi się coś zgodnego z tym, co Jezus wlał w nasze serce, z tym pierwotnym Jego widzeniem nas tutaj na świecie, co jest wyrazem Jego miłości do nas, to wtedy wszystko idzie nam jak z płatka. Wtedy tworzymy dobro, miłość i mimo że spotykamy cierpienia, to też inaczej na nie patrzymy. Bolesne doświadczenia też są potrzebne, bo mogą nas wiele nauczyć.

Mój początek współpracy z kapucynami zaczął się od niezwyklej historii. Przechodząc przy kościele Braci Kapucynów, napotkałam bezdomnego. Tam jest kawałek trawnika. W okresie letnim bardzo często siedzą tam i leżą bezdomni. Zaczęłam rozmawiać z napotkanym bezdomnym. Powiedział do mnie: „Wiesz co? Napiłbym się czegoś, bardzo chce mi się pić”. Odpowiedziałam: „Nie ma problemu, pójdę do sklepu spożywczego i kupię wodę”, a on na to: „Weź tę butelkę i idź tutaj do kościoła”. „Do kościoła?” spytałam. „Niekoniecznie do kościoła, ale do klasztoru obok”. Tak więc poszłam z tą pustą butelką do klasztoru Braci Kapucynów po wodę. Teraz z perspektywy czasu widzę, że byłam osobą, która poprosiła wtedy o pomoc. Stałam po stronie bezdomnych i poprosiłam o wodę. Weszłam później do kościoła podziękować Bogu za to doświadczenie. Otrzymałam łaskę poczucia Bożej miłości.

W tej chwili jest sytuacja odwrotna. To ja służę bezdomnym. Daję im wodę, herbatę. Naszą codzienną pracę wykonujemy w dosyć ciężkich warunkach, bo jadalnia jest obecnie w podziemiach kościoła. Wtedy w kościele znalazłam ulotkę o zamiarze wybudowania Kapucyńskiego Ośrodka Pomocy, w którym będzie świadczona kompleksowa pomoc i będzie tam też nowa jadalnia. Postanowiłam, że zanim znajdę pracę, pomogę braciom. Może uda mi się nawiązać jakieś ciekawe kontakty biznesowe. I tak się zaczął się nowy etap w moim życiu. Okazało się, że tworzy się Fundacja i byłam pierwszą zatrudnioną w niej osobą. Tak spełniło się moje marzenie, bo chciałam stworzyć firmę i tak naprawdę ją buduję. Firmę jako organizację pozarządową. Czyli tak sprytnie Bóg połączył moje marzenia z Jego marzeniami. To jest niesłychane, jak ten plan Boży, pomimo naszych wykrętów i przeciwności, jest realizowany. Teraz na co dzień doświadczam Bożego Miłosierdzia. Jestem osobą, która jest bardzo blisko bezdomnych. I myślę, że jestem łącznikiem między bezdomnymi a kapucynami, w tym wymiarze Bożym, że w jakiś sposób otwieram ich serca i myślę, że Bóg chce widzieć we mnie swoje narzędzie, że przeze mnie dotyka bezdomnych i wlewa w ich serca nową wiarę, nadzieję i miłość.

W tym czasie zmienił się w moich oczach wizerunek Boga, który stał się teraz Bogiem Miłosiernym. Na pewno też dzięki siostrze Faustynie i jej dzienniczкови.

Myślę, że Bóg jako Miłość wyraził ją, tworząc człowieka, i my mamy takie samo zadanie. Miłość, żeby była miłością, musi być żywa, musi zataczać coraz szersze koła. Jesteśmy wszyscy powołani do tego, żeby nieść miłość, budować dobro. Bóg, stwarzając nas, nie skończył na tym. On pragnie być kochany, pragnie, aby ta miłość, którą w nas zaszczepił, wróciła do Niego, chociaż On jej tak naprawdę nie potrzebuje, ale wie, że dla nas jest to zbawienne. Tak samo jest z ludźmi. Jeżeli jesteśmy miłośni, to miłosierdzie wraca do nas, to wszystko gdzieś zatacza koło. W tym wyraża się Boży plan, żebyśmy byli jedno.

### **Brat Mirosław Kruk**

Szczęść Boże. Witam wszystkich serdecznie. Mam na imię Mirek i należę do Zgromadzenia Małych Braci Jezusa. Podobnie jak moja poprzedniczka też się zastanawiałem, dlaczego tu jestem. Moje zgromadzenie nie prowadzi bowiem żadnych dzieł charytatywnych, ani nie zajmuje się duszpasterstwem czy świadczeniem czynnej pomocy. Często porównujemy nasz charyzmat do życia Jezusa w Nazarecie, czyli prostego życia wśród ludzi. Wykonujemy zwykłą pracę fizyczną. Ja pracuję w markecie i to jest dosyć trudna praca.

Myślałem trochę nad „zadaniem” tematem i nad cytowanym zdaniem z Ewangelii Mateusza w tytule tej konferencji. Jak większość błogosławieństw, tak samo i to zdanie zawiera obietnicę. „Błogosławieni (szczęśliwi) miłośni, gdyż oni miłosierdzia dostąpią”. Zastanawiałem się, co to znaczy dokładnie. Dlaczego oni dostąpią miłosierdzia?

Zadałem sobie pytanie, dlaczego jest tu użyty czas przyszły: „dostąpią miłosierdzia”? Błogosławieństwo to ma wypełnić się w przyszłości. Ale czy ta obietnica dotyczy jedynie przyszłości, albo lepiej wieczności, która jest Bożą pozaczasowością? Miłośni otrzyma miłosierdzie, ale czy dopiero jako skutek swojego dobrego czynu? Może dlatego mówi się w tym miejscu o przyszłości, by wskazać na owoce i korzyść, jaką sami możemy otrzymać z czegoś, co mogło wydawać się współczesnym Jezusowi, wówczas, gdy filantropia bogatych tego świata nie była jeszcze w modzie, czymś jałowym i bezużytecznym? Stawiam tu sobie jednak dwa pytania odnośnie do tego tekstu. Jeśli myślę o odpłacie w przyszłości, to pojawia się zarzut braku bezinteresowności: świadczę teraz miłosierdzie, by



Brat Mirosław Kruk

je później otrzymać z nawiązką. Drugie pytanie dotyczy tego, jak odnajdywać w sobie to miłosierdzie, by nim obdarowywać innych, zwłaszcza w sytuacjach, które nas przerastają? Czy może być miłosierny ktoś, kto nie otrzymał sam wcześniej miłosierdzia? Czy można dawać miłość, nie doświadczwszy jej? Jak możemy być miłosierni, jeśli wcześniej Bóg nam miłosierdzia nie okazał?

Wydaje mi się, że zarzut braku bezinteresowności można odeprzeć, czerpiąc z licznych przykładów z życia zwykłych, otaczających nas ludzi, którzy wyświadczają jakieś dobro innym, nie kalkulując zysków i strat i nie myśląc o przyszłej, czy to ziemskiej czy niebiańskiej, odplacie. Myślę więc, że akty dobroci stają się dla okazującego miłosierdzie czymś naturalnym, wykonywanym wręcz spontanicznie. Pięknym przykładem jest tu miłosierny Samarytanin z przypowieści w Ewangelii Łukasza. Jego akt zdaje się być całkowicie spontaniczny i bezinteresowny. Wypływa on z wewnętrznej dyspozycji darczyńcy.

Na drugie pytanie również można odpowiedzieć, sięgając do prostej codziennej obserwacji z życia. Ludzie szczęśliwi i bezinteresowni czerpią te postawy z bezinteresownego i szczęśliwego serca. Być może jest to truizm, ale wydaje mi się warte podkreślenia. „Cóż masz, czego byś nie otrzymał?” pyta retorycznie św. Paweł (1Kor 4,7). Sądzę więc, że skoro okazujemy miłosierdzie, jest to wynikiem uprzedniego obdarowania, miłosierdzia otrzymanego

od Boga i ludzi. Tylko ten, kto doświadczył darmowej miłości, może kochać innych.

Myśląc o dzisiejszym temacie, postanowiłem sięgnąć do źródeł i przyjrzałem się tekstom w Piśmie Świętym, a zwłaszcza w Nowym Testamencie. Polskiemu rzeczownikowi „miłosierdzie” lub czasownikowi „być miłosiernym” w języku greckim odpowiadają trzy słowa:

*litość, miłosierdzie, zmiłowanie  
ulitowanie się, litość, współczucie,  
serdeczność, czułość, miłość, litość.*

Niejednokrotnie słowa te lub ich pochodne występują parami, wskazując najpierw na dokonujące się jakieś wewnętrzne przeżycie w bohaterze opowieści, które pobudza go do pełnienia aktu miłosierdzia. To poruszenie jest rodzajem współczucia pochodzącym z serca (dosł. z wnętrzości), a później wyrażającym się w konkretnym czynie. Bardzo dobrze widać to na przykładzie przypowieści Jezusa, mówiących o aktach miłosierdzia: dobrego Samarytanina, syna marnotrawnego, czy na przykładzie samego Jezusa dokonującego rozmnożenia chleba.

W kilku perykopach, np. Łk 10,33 i 15,20, czasownik *być serdecznym, czułym, litościwym* jest tłumaczony jako *wzruszył się głęboko*, natomiast w Mt 15,32 czy w Mk 8,2 przez *żał mi*. Pomimo tej rozbieżności tłumaczeń można dostrzec wewnętrzny impuls, który nakazuje tej osobie dokonanie natychmiastowego aktu miłosierdzia. Najpierw jest więc to poruszenie, a później jest okazanie miłosierdzia. Współczucie, wewnętrzna postawa poprzedza czyn miłosierdzia.

Wspominałem wcześniej o łasce miłosierdzia, która uprzedza nasze czyny i zamiary. Jezus mówi: „bądźcie miłosierni (*współczujący*), jak Ojciec wasz jest miłosierny” (Łk 6,36). Jest to więc zachęta do naśladowania Boga, do stawania się prawdziwie Jego dziećmi, co jest nie tylko czymś „danym”, ale jest ciągłym procesem, drogą, którą możemy podejmować. Mówiąc wspomniane wyżej słowa, Jezus podsumowuje wcześniejsze przedstawienie miłującej postawy Ojca Niebieskiego, który „jest dobry dla niewdzięcznych i złych”. Pokazuje, że Bóg daje hojnie wszystkim swoją łaskę i wszystkich obdarza swoją miłością i miłosierdziem. Otwierając się

najpierw na tę łaskę, możemy później sami być współczujący dla niewdzięcznych i złych, co normalnie stoi w sprzeczności z naszą egocentryczną, skażoną i wrażliwą naturą. Jezus mówi, by przyzywać Bożego zmiłowania, „prosić”, „kołatać”, „wołać dniem i nocą”. Ponieważ Ojciec obdarza nim hojnie, każdy może je otrzymać, a odczuwa je zwłaszcza w momencie, kiedy się czuje słaby, bezsilny, zalękniony, kiedy potrzebuje przebaczenia. O to miłosierdzie może wówczas prosić. Doświadczając ciemności i lęków, możemy wołać jak ślepy Bartymeusz: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną” (Mk 10, 46-48); stąd nasze *Kyrie eleison*. Jezus nie tylko chce obdarzać swoimi łaskami, ale także pragnie, byśmy o nie prosili dla siebie i dla innych.

Ja również miałem taki szczególny czas w wieku dojrzewania, kiedy bardzo o to miłosierdzie prosiłem i rzeczywiście głęboko doświadczyłem Bożego zmiłowania. Doznałem wówczas poczucia całkowitego, bezgranicznego przebaczenia i naglącego zaproszenia do większej miłości. Choć na nie w końcu odpowiedziałem, w moim życiu wciąż na nowo doświadczam potrzeby powrotów do „pierwszej miłości” i nieustannego nawracania się.

Często wraca mi w pamięci tekst z Ewangelii Mateusza (w rozdziale 25), mówiący o czynach miłosierdzia, w którym Jezus, porównując się do króla na sądzie ostatecznym, przywołuje konkretne życiowe sytuacje: „byłem głodny, a daliście mi jeść, byłem spragniony, a daliście mi pić”. A później owi szczęśliwcy po prawej stronie pytają się „kiedy, Panie?”, zupełnie nieświadomi sytuacji, w których dawali pić i jeść, kiedy okazywali miłosierdzie samemu Królowi. Wyraźnie widać tu, że te czyny dobroci świadczone dla przygodnych potrzebujących mają być najpierw aktami rodzącymi się w naszym sercu i podejmowanymi spontanicznie, wręcz nieświadomie i bezinteresownie, bez liczenia na późniejszą odpłatę. „Niech nie wie Twoja lewa ręka, co czyni prawa” (Mt 6,3) – mówi Jezus w innym miejscu. Nie jest to na pierwszym miejscu realizowaniem jakiejś wielkiej akcji charytatywnej, ale przede wszystkim ma wynikać z potrzeby serca. Inaczej bowiem możemy być jak faryzeusze, którzy dając dziesięcinę ze wszystkiego, zapominają o tym, co ważniejsze jest w prawie: „o sprawiedliwości i miłosierdziu” (Mt 23,23).

Odwołując się do własnego doświadczenia i własnego przeżywania tego błogosławieństwa, pragnę powiedzieć, że najważniej-

szym aspektem dla mnie jest tutaj świadomość bycia obdarowanym i komunii z Bogiem, który nieustannie obdarza mnie swoją łaską, a bez której nie mógłbym istnieć, byłbym jak uschła latorośl. Potrzebuję ciągle na nowo przypominać sobie o tym, by pozostawać ubogim, który ma jedynie puste, wyciągnięte ręce, mogące wszystko przyjmować od Boga, by potem dawać to innym. Jezus, nawiązując do największego przykazania miłości Boga i bliźniego, wzywa do całkowitego powierzenia siebie Ojcu. Powinienem więc oddawać Boże dary, z których największym jest miłość, nie tylko jako dziesięcinę, ale „całym sercem, całym duchem, całym umysłem, ze wszystkich sił” (Mk 12,30-33). By to zrobić, muszę jednak najpierw stanąć w postawie dziecka czy ucznia, który nasłuchuje i oczekuje wszystkiego od Boskiego Dawcy. Potrzeba mi codziennie otwierać się na tę łaskę, którą Bóg chce mi dawać. Jest to najpierw postawa wsłuchiwania się i oczekiwania, a potem adoracji, uwielbienia i dziękczynienia. Jeśli nie poświęcę przedłużonego czasu modlitwy, a w moim zgromadzeniu jest to co najmniej godzinna adoracja dziennie, jeśli nie oddam się całkowicie na to, żeby stanąć przed Bogiem jako ubogi, to wtedy moje serce pozostaje wypełnione różnymi rzeczami, myślami, troskami i planami, ale czy jest wypełnione Bogiem? Czy jest wypełnione miłością? Po różnych sytuacjach z mojego życia widzę, że gdy brakuje mi takiego czasu modlitwy, czasu, w którym moje serce pozostaje czuwające i z Bogiem, odbija się to na życiu codziennym. Zdarza się wówczas, że reaguję w sposób nieadekwatny do problemu, w sposób zbyt nerwowy i emocjonalny. Niekiedy te emocje są bardzo trudne. Pięknym zobrazowaniem tego, co chcę powiedzieć, będzie przywołanie jednej z moich ulubionych scen z Ewangelii, mianowicie opowieść o Marcie i Marii (Łk 10,38-42). Czy przez przypadek pojawia się ona w Ewangelii Łukasza tuż po przypowieści o Dobrym Samarytaninie? Otóż Marta, choć czyni tyle rzeczy i pragnie świadczyć tyle rozmaitych posług wobec swoich gości, wewnątrz sama jest rozdarta i targana wieloma troskami i niepokojami. Jezus mówi jej, że „potrzeba tylko Jednego”. A zatem to bezproduktywna Maria dana jest jako przykład ucznia. Umiejąc słuchać i mając serce zjednoczone, skoncentrowane nie na swoich licznych przeżyciach, lękach i troskach, lecz na „Jednym”, na Bogu, może wybierać najlepszą cząstkę (w oryginale: „dobrą”) i świadczyć to dobro nawet skuteczniej niż rozpro-

szona, choć apodyktyczna gospodyni, siejąca gniew i niepokój wokół siebie. Skoro Marta nie wybiera tego Jednego, owej „dobrej cząstki”, to czy może przez liczne akty wypływające z rozdartego serca świadczyć dobro innym? Przecież nie można samemu dawać tego, czego się nie posiada.

W naszym życiu często doświadczamy podobnych sytuacji. Ja sam podlegam ogromnej presji w wykonywanej przeze mnie pracy i przeżywam wiele napięć pochodzących z zewnątrz. Ponadto są także inne napięcia, pochodzące z mojego wnętrza, moich ambicji, wydumanych potrzeb, niedających się zrealizować pragnień. W sytuacji, kiedy ktoś zachowuje się w stosunku do mnie nieprzyjemnie i gwałtownie, często mam chęć odreagować w podobny sposób. I czuję, jak te emocje we mnie narastają i nie umiem dać sobie z nimi rady. Przypominam więc sobie tę przywołaną przed chwilą scenę czy też Jezusa policzkowanego przed Sanhedrynem. Pod jak wielką presją mógł się On wówczas znajdować! A mimo wszystko zdaje się wypełniać doskonale Prawo, mówiące o wyświadczeniu sprawiedliwości i miłosierdzia. Odwołuje się do sprawiedliwości, gdy mówi: „Dlaczego mnie bijesz?”, natomiast do miłosierdzia w momencie konania w prośbie zwróconej do Ojca: „przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Sądzę, że to miłosierdzie powinno odnosić się najpierw do najbliższych, tych, których Bóg stawia na mojej drodze. Do tych, z którymi pracuję, których spotykam na ulicy, z którymi żyję. Później poprzez modlitwę wstawienniczą może ono ogarniać coraz szersze kręgi i w końcu docierać do „świata całego”. Najpierw jednak muszę też mieć miłosierdzie i akceptację dla siebie samego, a może lepiej nawet nauczyć się śmiać z własnych niedoskonałości, ograniczeń, licznych upadków. To tak jak z miłością: jeśli nie kocham samego siebie, nie mogę kochać bliźniego, jeśli nie okazuję sobie miłosierdzia, jak mogę wyświadczać je drugiemu? Nie będę jednak umiał tego miłosierdzia w sobie znajdować, jeśli nie oddam mojego wolnego czasu dla Pana Boga, żeby otwierać się na Jego łaskę i dostrzegać wszędzie Jego miłosierdzie, w każdej chwili. Jeśli tego nie zrobię, będę działał jedynie pobudzony swoimi własnymi ambicjami, nieuporządkowanymi emocjami, może niekiedy jakimś nieuświadomionym poczuciem winy i mimowolnie rozbudowywał swoje ego, myśląc w dodatku, że jestem taki dobry dla innych, któ-

rzy okazują się niewdzięczni i źli. Dlatego tak ważna jest dla mnie modlitwa jako uprzywilejowane miejsce spotkania z Bogiem i czas, kiedy On wyświadcza mi miłosierdzie.

Kolejnym uprzywilejowanym miejscem, gdzie mogę doświadczać miłosierdzia, może stać się spotkanie z drugim człowiekiem. Jest to życie we wspólnocie, w rodzinie, które powinno być miejscem pojednania i przebaczenia. W mojej wspólnocie żyję wraz z moimi braćmi w bliskich relacjach i ta bliskość sprawia, że nie zawsze jest nam łatwo; konflikty są rzeczą nieuniknioną i wręcz pożyteczną, by mógł dokonać się wzrost. Wówczas mogą mieć miejsce momenty pojednania i przebaczenia, będące szansą na pogłębienie wzajemnych relacji. Podobnie dzieje się w pracy, kiedy udaje się porozmawiać z kimś, kto sprawia mi jakieś trudności. Dokonujące się wówczas pojednanie zdaje się wszystko zmieniać. Ta niedostrzegalna jakby drzazga urazy czy wrogości jest bowiem tak naprawdę solą w oku i po jej usunięciu nie tylko wzrok odzyskuje zdrowie, ale także cały człowiek dotknięty tą zatrutą raną. Zmienia się moje spojrzenie, a także spojrzenie tej drugiej osoby i odczuwam, że wtedy działanie Bożej miłości rozszerza się na moje serce i na serce drugiego i pozwala nam kochać bez ograniczeń, zdawałoby się „cały świat”. W takich momentach czuję, że prawdziwie staję się dzieckiem Boga, których kocha wszystkich i sprawia, że „słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi i zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5,45), bez czynienia różnic.

### **Joanna Trzcionka**

W swoim świadectwie chciałabym powiedzieć o aktualizowaniu się błogosławieństwa bycia miłosiernym, jak też doświadczenia miłosierdzia na kilku płaszczyznach mojego życia: osobistego, zawodowego oraz w pracy w wolontariacie fundacji Projan. Może zacznę od tego, jak rozumiem miłosierdzie i nie chodzi mi o definicje książkowe, ale o rozumienie miłosierdzia w kontekście własnego doświadczenia. Rozumiem je jako postawę wobec drugiego człowieka pełną zrozumienia, akceptacji, empatii, ale też asertywności. Ten, kto czyni miłosierdzie, jest szczęśliwy i wolny, i ja tego doświadczam. Konsekwencją bycia miłosiernym wobec innych jest to, że człowiek miłosierny miłosierdzia doznaje. Wszystkie nasze czyny, czy dobre, czy złe, mają swoje konsekwencje. Tak samo jest

z daniem miłosierdzia. Ono będzie do nas wracało w dwójnósob. Jest to moje doświadczenie i chcę się nim podzielić.



Joanna Trzcionka

Przez długi okres swojego życia byłam bardzo surowa, wymagająca wobec siebie i innych. To bardzo utrudniało moje relacje i kontakty z ludźmi. Jakiś czas temu ktoś poradził mi, abym błogosławiła innym, abym każde spotkanie z drugim człowiekiem kończyła prośbą: „Panie Boże, błogosław mu”. Zaczęłam to robić z niezbyt dużym przekonaniem, że przyniesie to jakiś efekt. Okazało się jednak, że efekty przerosły moje oczekiwania. Każdy wykład, ćwiczenia, seminarium, gdy studenci się rozchodzą, kończę cichą modlitwą: „Panie Boże, błogosław im”. Nie wiem, jakie konsekwencje ta modlitwa przyniesie w życiu studentów, ale wiem, jak zmienia moje życie. Z surowej, wymagającej staję się łagodniejsza i życzliwsza wobec innych. To nie zależy ode mnie, to jest łaska i pewien proces, który się dzieje we mnie.

Jestem nerwusem. Gdy jadę samochodem, to często „rozmawiam” z kierowcami w stylu „baranie, jak jedziesz”. Coraz częściej jednak te dialogi wyglądają nieco inaczej. Już zamierzam „Ty, bara-

nie,... i kończę: Panie Boże, dobra, przepraszam, proszę Cię, błogosław mu, pozwól, żeby dojechał szczęśliwie do celu, żeby mu się nic nie stało”. To jest drobny epizod, ale dobrze pokazuje, jak zmienia się moje życie; przestaję się denerwować, jestem szczęśliwa i coraz częściej gości we mnie pokój. Modlitwa w postaci tego błogosławieństwa wraca do mnie, zmienia mnie, przekształca i formuje.

Zawsze miałam tendencję szufladkowania i kwalifikowania ludzi, krytykowania i osądzania. Błogosławienie innym powoduje, że te osądy znikają, że każdy człowiek staje się czystą kartą dla mnie, bratem i siostrą. Bardzo mi to pomaga. To jest pewien element, aspekt miłosierdzia, który dokonuje się w moim życiu osobistym.

Pracuję na uczelni i tam niesienie miłosierdzia odczytuję jako bycie życzliwym wobec studentów i pracowników, z którymi się spotykam. Czasem przeżywam jednak dylematy, bo w pracy z młodymi ludźmi trzeba umieć połączyć ze sobą łagodność ze stanowczością i wysokimi wymaganiami. W życiu akademickim ścierają się we mnie te dwie postawy, bycia wymagającym i jednocześnie miłosiernym. Jest to postawa miłosierna w wymiarze ludzkim, zawodowym. Studenci, którzy zaczynają studiować, szczególnie ci pochodzący z małych miejscowości, bardzo szybko wpadają w różne kłopoty. Najczęściej niestety wpływają one na całe ich życie. Drugi element tego miłosierdzia postrzegam więc jako pomoc w rozwiązywaniu problemów, w które młodzi popadają, jako wyciąganie do nich ręki. Miałam kilka takich przypadków, że student „znikał”, przestawał przychodzić na zajęcia. No cóż –myślałam – nie chce, nie musi. Dopiero niedawno zrozumiałam, że takim człowiekiem trzeba się zainteresować, trzeba do niego zadzwonić czy napisać maila, zapytać, co się dzieje. Dlaczego nie przychodzi na zajęcia? Zapewnić, że nadal ma szansę zaliczenia, tylko musi się do mnie zwrócić. Różnie to bywa, niekiedy studenci się odzywają, poproszą, ja im coś zadam, potem odbywa się zaliczenie. Czasami się nie zwracają, ale bywa i tak, że po roku student przychodzi do mnie i przypomina, że rok temu do niego napisałam i dlatego on teraz ma odwagę przyjść i poprosić. Jest to aspekt miłosierdzia, które możemy czynić w swoim życiu i którego ja dopiero się uczę.

Trzecią płaszczyzną, w której uczę się bycia miłosierną, jest praca w wolontariacie w fundacji Projan. Pracuję w programie Prozdrowie, naszym celem jest pomaganie w bardzo różny sposób

osobom chorym, przez wspieranie finansowe ich rehabilitacji, zakup potrzebnego sprzętu medycznego, leków. Pierwszym krokiem fundacji jest zawsze wizyta u osób, które się zgłaszają. Spotkania z nimi to jest chyba najsilniejsza aktualizacja dziania się miłosierdzia w moim życiu. I to nie dlatego, że ja coś daję, ale przede wszystkim dlatego, że sama doświadczam miłosierdzia, dobra, które często mnie zawstydza. Chciałabym się podzielić z państwem rozterkami, które przeżywam, kiedy jadę na spotkanie, kiedy rozmawiam z ludźmi. Wydaje mi się, że to co możemy robić oprócz dawania pomocy finansowej w różnej postaci, to nieść nadzieję. Samo to, że ktoś przyjechał, że ktoś o nich pomyślał, już daje jakieś pocieszenie. Czasami jednak zderzamy się z tak trudną rzeczywistością, że nie możemy, nie umiemy pomóc. Podam przykład. Kilka dni temu byliśmy u rodziny chłopczyka, który jest bardzo ciężko chory. Do tej pory myśleliśmy, że ma porażenie mózgowie i tak był leczony, ale stan jego zdrowia bardzo się pogorszył i po dokładnych badaniach okazało się, że chłopiec ma bardzo rzadką chorobę genetyczną. W Polsce jest około 40 przypadków tej choroby. Ma ona poważne skutki, w dość krótkim czasie wyniszcza organizm, prowadząc do śmierci. Stajemy wobec mamy tego dziecka i babci i co mamy im powiedzieć? Mama jest jakby pogodzona z tą sytuacją, babcia w ogóle jej nie akceptuje. Pyta, dlaczego dziecko choruje, a nie ona? W takich sytuacjach doświadczam własnej bezsilności, nie wiem, co odpowiedzieć tym ludziom, mogę tylko prosić Boga, by On przyszedł i ukoił. Mama chłopca mówi, że chciałaby, aby jej synek mógł w spokoju przygotować się do odejścia. To jest jej pragnienie na teraz. Kiedy tak się zdarza, a zdarza się taka sytuacja co jakiś czas, to widzę granice ludzkich możliwości niesienia jakiegokolwiek pomocy, wtedy widać bardzo jasno, że to Bóg jest dawcą miłosierdzia, a my możemy tylko tyle, ile od Niego otrzymamy. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak prosić, żeby On ingerował w tę sytuację, bo cokolwiek bym ja powiedziała tym rodzicom, to nic to nie będzie dla nich znaczyło.

Mogłabym podawać wiele takich przykładów. Ale chcę też coś radośniejszego powiedzieć. Otóż mówiłam wcześniej, że jeśli dajemy miłosierdzie, to ono do nas wraca. Pracując w fundacji, doświadczam, jak dawane miłosierdzie wraca do nas czasem w zaskakujący sposób. Kiedyś zadzwoniła do mnie mama niepełnospraw-

nego chłopca, który przebywał w Centrum Zdrowia Dziecka po operacji, miał rehabilitację. Przed zabiegiem nie chodził. Chłopiec prosił, żebym przyjechała w odwiedziny. Mama powiedziała, że jej synek bardzo chciał mi coś pokazać. Pojechałam więc i okazało się, że ten chłopiec przy pomocy rehabilitantki zaczął chodzić, przeszedł sam siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów. To był jeden z najpiękniejszych prezentów, jakie otrzymałam w życiu. Dawać dobro wraca do nas stokrotnie. Praca w fundacji bardzo mnie pochłania, ponieważ stwarza możliwość bycia z innym człowiekiem, a najczęściej nie nasze gesty, nie pomoc finansowa, ale zwykłe bycie z ludźmi najwięcej znaczy.

### **Siostra Małgorzata Ochęduszek**

Podzielię się też z państwem świadectwem z mojego życia, jak Pan Bóg miłosierny okazał akt miłosierdzia wobec mnie. Dwadzieścia lat pracowałam w przedszkolu, to było moje życie. Czułam się tam bardzo pewna i tak jak Brat wspominał, moje „ja” było dość wielkie i już miałam plany, że będę tam gwiazdą. I tu nagle przyjeżdża Matka Prowincjalna i mówi, że mam jechać na prowincję i być dla siostr. Był bunt, niezgoda. Jestem pół roku na prowincji



Siostra Małgorzata Ochęduszek

i służyć siostram w dużej wspólnocie. Uczę się wszystkiego niemalże od nowa, ale widzę, że to jest akt miłosierny Boga wobec mnie. W życiu zakonnym przeszłam dość długą drogę odnajdywania obrazu Boga i samej siebie, akceptacji siebie. Dużo się Pan Bóg nad mną napracował. Jest to moje bogactwo. Doświadczam miłosierdzia Boga i ludzi. Dużo ludzi pomagało mi w tym. Mogę tym dzielić się wśród ludzi, wśród swoich sióstr, we wspólnocie dwudziestokilkusobowej. Jest dużo sióstr przeżywających jakieś kłopoty, nieakceptujących siebie i ja mogę teraz się dzielić z nimi moim doświadczeniem. Widzę, że ta zmiana, dla mnie szokująca, z którą nie do końca jestem jeszcze pogodzona, jest zamysłem miłosiernego Boga. Tego miłosierdzia doświadczam obecnie głębiej, bardziej mnie ono oczyszcza i bardziej teraz jestem dla Boga, a jednocześnie tym miłosierdziem mogę się dzielić z najbliższymi.

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Takie króciutkie świadectwo o miłosierdziu. Chyba wszyscy lubimy ofiarowywać, świadczyć miłosierdzie, ale trudniej nam przyjmować. Gdy ktoś mi coś ofiarowuje, zawsze myślę o tym, żeby przyjąć to z wdzięcznością. „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”, ale rób to, co tobie miłe. Jeżeli ofiarujemy czy świadczymy komuś jakieś dobro, to lubimy, jak okaże nam, że się ucieszył. W związku z tym musimy uczyć się miło przyjmować, żeby drugiemu człowiekowi było miło, że coś nam daje.

Minęło już nam 51 lat od ślubu i w ciągu całego naszego życia doświadczaliśmy wielokrotnie, że jak komuś coś dajemy, to zawsze do nas w jakiejś formie wraca. Śmiejemy się, że dajemy dlatego, żeby dostać z powrotem. Ale rzeczywiście jest to niesłychana prawidłowość.

### Adam Pietrzak

W państwa świadectwach zabrakło mi wypowiedzi na temat znaczenia modlitwy „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu”. Miłosierdzie, które jest przebaczeniem. Jezus na pytanie Piotra: „Panie, ile razy mam przebaczać, czy aż siedem razy?” odpowiada, że aż „siedemdziesiąt siedem razy”.

Brak miłosierdzia, którego uczył nas Pan Jezus „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, brak jakiegokolwiek miłosierdzia jest najczęstszą przyczyną rozpadu małżeństw. Ludzie nie umieją sobie przebaczać. Jeżeli nawet dochodzi do aktu skrucy, ktoś przychodzi i prosi o przebaczenie, to często mówimy „ja ci tego nie przebaczę”, potem klękamy, mówimy „i odpuść nam nasze winy...” i o dalszym ciągu wolimy nie pamiętać.

Przez wiele lat prowadziłem audycję w Radiu Józef. Kiedyś mówiłem o pewnym zdarzeniu, które miało miejsce w Warszawie. Zabit chłopca, a potem była demonstracja przeciwko przemocy. Duże zgromadzenie ludzi szło za krzyżem, a przed krzyżem szła kobieta z zaciśniętą pięścią i krzyczała „śmierć za śmierć”. I to jest nasz problem. Myślę, że najtrudniej jest wybaczyć swoim najbliższym,



Adam Pietrzak

mężowi, który nas dotknął, dziecku, od którego się spodziewamy, że będzie miało same szóstki, a ono przychodzi z jedyką itp. Nie umiemy wybaczyć i się porozumieć. W sytuacji zaciśniętych pięści nie może być dialogu. Najpierw trzeba wybaczyć. Cała nasza nadzieja na zbawienie opiera się na tym, że Bóg poprzedzi swoją decyzję miłosierdziem. To miłosierdzie jest niesione w sakramencie pojednania. Idziemy tam i czekamy, aby przyszedł Bóg ze swoim miłosierdziem, gdy Mu wyznamy grzechy. Nasuwa się pytanie, czy jeśli nie będziemy miłośni wobec naszych najbliższych, to czy będziemy mogli mieć nadzieję na Boże Miłosierdzie?

### **Brat Mirosław Kruk**

Pomyślałem o tym, co powiedziała pani Elżbieta. Uświadomiłem sobie, jak ciężko czasami coś przyjąć, coś trudnego, na przykład krytykę. Jeśli wierzymy, że Bóg jest dobry i to, co nam daje, jest również dobre dla nas, to trudne rzeczy mogą być oznaką Bożego miłosierdzia. Krytyka może być też czymś budującym. Czy umiem odpowiedzieć w sposób miły na słowa krytyki, a nawet podziękować za nią? Najczęściej nie.

Jest i druga rzecz, która mi przyszła do głowy po tym, co powiedział pan Adam. Bardzo często spotykam się, u siebie i u innych, z takim automatycznym sposobem reakcji. Nie umiemy słuchać, nie umiemy zobaczyć, jak wygląda sytuacja, nie umiemy wewnętrznie przygotować się na coś trudnego. Jezus mówi: „byłem przybyszem (dosłownie obcym)”, czyli Bóg jawi się jako ktoś inny. „Byłem obcy, a przyjęliście mnie”. Myślę, że inny człowiek, z całym swoim bogactwem, jest obcy dla nas. Ta obcość może być czasami trudna. Jeśli umiem się wewnętrznie uciszyć, żeby słuchać tej osoby, jest to pierwszy krok, żeby przyjąć tę obcość. Wtedy dopiero umiem z całym bogactwem przyjąć to, co za tym stoi, to, co Bóg mi daje, czyli całe Jego miłosierdzie.

### **Brat Kazek Dmitrzak**

Bardzo ciekawe rzeczy tu usłyszałem, ale chciałbym usłyszeć jeszcze więcej o tym, co mi się wydaje, że jest źródłem miłosierdzia. „Co masz, czego byś nie otrzymał?” To Bóg, stwarzając nas, okazał nam miłosierdzie i to miłosierdzie już jest w nas zaprogramowane, bo jesteśmy tutaj Jego obrazem.



Brat Kazek Dmitrzak

Druga sprawa. W ostatnich kilkunastu latach mówi się dużo o miłosierdziu. Oczywiście siostra Faustyna, ale i encyklika „Bóg bogaty w miłosierdzie”. W nas pokutuje nasze dawne wychowanie:

„Bóg jest sędzią, karzący, sprawiedliwy”. A przecież Bóg jest większy niż cały świat, jest nieskończonym miłosierdziem i wie wszystko. Wydaje mi się, że pokutuje w nas to, że nie widzimy nieograniczalności miłosierdzia. Ciągłe patrzymy na to, że „przyjdzie sprawiedliwość”, a przecież „miłosierdzia chcę, a nie ofiary” mówi Bóg. Waclaw Hryniewicz w tym, co napisał, ma nadzieję miłosierdzia i zbawienia dla wszystkich. Czegoś takiego mnie brakuje. Czy jestem miłosierny? Nie wiem, ale przede mną jest przyszłość i nadzieja i to jest najbardziej istotne.

### **Siostra Małgorzata Ochęduszko**

Pragnę coś dodać na kanwie tej wypowiedzi. Córką duchową błogosławionego Edmunda Bojanowskiego jest mistyczka, siostra Leonia, która, jak pisze w swoim dzienniku, „uwierzyła miłości odwiecznej”. Zawiera też tam przepiękną myśl, że Bóg ma skarbiec łask niewyczerpanych. Zachęca nas, a równocześnie dziwi się, że my, ludzie, przychodzimy czerpać tak mało z tych Bożych łask. W dzienniczku siostry Leonii jest ukazana nieopisana Boża miłość.

### **Brat Mirosław Kruk**

Jeszcze mam pytanie do moich współprelegentek. Sam miałem w moim życiu do czynienia z różnymi ludźmi, często biednymi i pokrzywdzonymi przez życie, i przyznam się, że nie zawsze wiedziałem, jak reagować poprawnie. Jak się uczyć tego, jak się to powinno robić?

### **Joanna Trzcionka**

Ja sama tego często nie wiem, uczymy się tego wszyscy pracujący w fundacji. Trzeba pomagać i z głową, i z sercem. Trzeba uczyć się rozeznawać. Jeśli decydujemy się na pomoc, to musimy poszukać, co w tej naszej pomocy będzie tym najlepszym. To też wymaga namysłu, bo każda sprawa jest indywidualna. Bardzo trudno jest pomagać osobom, które spotykamy tak *ad hoc*. Podchodzi do nas biedny i prosi o coś, i nie wiemy, dać czy nie dać. Czuję alkohol od niego i nie wiem, jak się zachować, dać pieniądze czy kupić mu coś do jedzenia? Ktoś mi kiedyś powiedział, że jeśli to jest jednorazowe, nawet jeśli mi się wydaje, że on kupi za to alkohol, trzeba mu pomóc. Trzeba zostawić sobie ten margines niewiedzy. Mo-

że on jednak to dobrze wykorzysta. Natomiast systematyczne pomaganie bez wiedzy, na co ta pomoc idzie, może prowadzić do jeszcze większej patologii.

### **Anna Niepiekło**

Przez to, że mam na co dzień kontakt z bezdomnymi ludźmi, bardzo wiele osób pyta mnie, jak im pomagać. Naszym sloganem jest, żeby pomagać mądrze. Jednoznacznie radzę, żeby nie dawać pieniędzy, ale ja patrzę na sprawę z punktu widzenia osoby, która chce pomóc bezdomnemu wyjść z bezdomności, ze stanu, w którym on cierpi. Jednoznacznie mówię, żeby nie dawać pieniędzy, bo większość z tych pieniędzy jest przeznaczana na alkohol, a po drugie, otrzymana doraźna pomoc demotywuje bezdomnego do podejmowania jakichkolwiek działań. Gdybyśmy nie wspierali taką impulsywną pomocą bezdomnych, to mielibyśmy mniej ich na ulicach. Wiem, że to jest problem. Dlatego fundacja mówi o tym, łamiemy stereotypy i pokazuje, jak pomagać. Lepiej wspierać fundację, która wie, jak to robić, która ma skuteczne narzędzia do walki z bezdomnością. Można zostać wolontariuszem takiej fundacji czy wesprzeć ją materialnie albo rzeczowo. Najlepiej więc zapukać, zadzwonić do osób, które zajmują się tym profesjonalnie.

### **Siostra Małgorzata Ochęduszek**

Ostatnio do naszych furt klasztornych puka bardzo dużo ludzi biednych, rozmawialiśmy więc z siostrami, co robić. Ponieważ korzystam z Roku Odnowy Duchowej w Trzebini, tam zyskałam nowe spojrzenie na ślub ubóstwa. Bardzo ważne jest, żeby do tych ludzi podchodzić z godnością i z uznaniem ich godności. Ktoś mi powiedział, że jest pomoc odgórna i oddolna. Odgórna jest wtedy, gdy daję, ale jestem kimś wyższym niż osoba, której daję. Natomiast żeby pomoc była właściwie przyjęta, musimy stać na jednej linii. Ja też jestem człowiekiem grzesznym, biednym i stoję przed tobą, biednym. Pieniądzy nie daję, jeśli mogę, to kanapką się podzielę, ale porozmawiam z tym człowiekiem, próbuję go zauważyć. Czasami to znaczy o wiele więcej. Tę pomoc nazywamy oddolną. My chcemy w tym kierunku iść, żeby nie tylko dać tę kanapkę, ale oddelegować siostry, które by miały czas z tymi ludźmi porozmawiać o ich człowieczeństwie, o ich godności. Bo oni są tacy sami

jak my, może tylko żyją w innych warunkach. Bardzo ważny aspekt: godność człowieka.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Chciałbym nawiązać do tego, co Brat mówił, o co pytał. Myślę, że każdy ma różne możliwości. Jeden łatwo potrafi otwierać się na drugiego człowieka, porozmawiać z nim, drugi nie ma tej możliwości, tego nie potrafi, ale na przykład potrafi coś zrobić dla drugiego. Trzeba robić to, jakie są możliwości mojego działania.

Mój mąż ma umiejętność rozmawiania z różnymi ludźmi, na przykład z pijakami, którzy kręcą się przy naszym stawiku. Jak zaczepią i proszą o drobne, to mój mąż przystaje i z nimi rozmawia. Podobnie jak idziemy w niedzielę na Mszę Świętą do naszego kościoła, a ktoś żebrze przed kościołem, to mój mąż stara się dowiedzieć, jaką biedę ma ten człowiek. Mieliliśmy już parę takich sytuacji, że naprawdę mogliśmy pomóc ludziom, którzy nie byli żebrakami etatowymi, tylko bieda za nimi stała. Dla nich było bardzo ważne, że ktoś się przy nich zatrzymał i mogli opowiedzieć o biedach, które na nich ciążyły. Myślę, że trzeba robić to, co robimy najlepiej i jakie są nasze możliwości.



Paneliści i słuchacze

**Ks. Adam Zelga**

Przez dwa lata pracował w naszej parafii ksiądz Mariusz Graszek, kapłan diecezji ełckiej. Przygotowywał się do wyjazdu na misje. Jesienią w 2011 roku wyjechał i kilka dni temu zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Najpiękniej skomentował jego życie i jego prace na misji jeden z moich parafian: „zginął, niosąc Słowo Boże i pomoc”.

Pozwolę sobie podsumować to spotkanie bardzo prostym zdaniem. Z tego, co państwo mówili, wynika jedna prosta reguła, że świadczenie miłosierdzia daje nam najgłębsze poczucie sensu, jakie można zyskać na tym świecie i przywołuje Miłosierdzie Boże, które jest nam najbardziej potrzebne.

**C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną****Bogdan Puławski (Dania)**

Jak widzimy z obszernych cytatów do tego Konwersatorium, miłosierdzie to nie tylko rzucenie grosza do kapelusza zebrzącego czy „nalanie oliwy” na rany pobitego biesiadnika. Chociaż i jedno i drugie jest niezwykle istotnym odruchem miłosierdzia; szczególnie jeśli ten „grosz” to 100 złotych dla Wielkiej Orkiestry na oprzyrządowanie szpitala czy na zakup plazmy dla ofiar trzęsienia ziemi na Haiti. Jest to, jakbym nazwał, miłosierdzie względem ciała. Ale równie istotne, a może i ważniejsze, jest miłosierdzie względem ducha, względem człowieka jako istoty z wielką gamą odczuć i potrzeb duchowych. Tu znajduję takie czyny, jak „dobre słowo, podać komuś rękę, pokora wobec bliźniego, przywrócić godność ...” A więc ogromna sfera do działania.

Przebywając osiem lat na Ukrainie jako szef kilku duńskich projektów, poznałem się, poprzez moją ukraińską sekretarkę, z Jimem, amerykańskim adwokatem, który prowadził sprawy adopcji ukraińskich dzieci dla amerykańskich małżeństw. Co jakiś czas Jim przyjeżdżał na Krym z amerykańską parą, aby odwiedzić odpowiednie urzędy i krymskie domy dziecka, szukając odpowiedniego dziecka do adopcji. Ukraińskie prawo dozwala na adoptowanie poza granicę kraju jedynie dzieci w jakimś stopniu niesprawnych.

Oprócz załatwienia formalnie potrzebnych dokumentów, wizyty Jima w urzędach miały też na celu wyrobienie (za odpowiednią sumę pieniędzy, oczywiście) „nienormalnych papierów na normalne” dzieci. I w efekcie szczęśliwi rodzice wyjeżdżali do Stanów z pełnosprawnymi dziećmi. Natomiast te niepełnosprawne, prawie bez wyjątku, pozostawały, w delikatnie mówiąc, nieciekawych domach dziecka i bez nadziei na poprawę ich często tragicznej sytuacji. Aż jednego razu Jim przyjechał z parą, gdzie żona, lekarz (indiańskiego pochodzenia), szukała dziecka inwalidy. Wybrali 1,5-letnią dziewczynkę z rozszczepieniem podniebienia i prawie bez palców u rąk i stóp. Ale na zdjęciach roentgena widać było ich kostne zaczątki. Wystarczy, mówiła Indianka, szczęśliwa, że będzie mogła wyposażyć swoje już dziecko w protezy palców i... zapewnić jej prawie normalne życie. Uratowane jedno ludzkie życie! Indiańska Matka Teresa?

### **Marianna Łacek** (Australia) „Kamień z serca”

W tamtą niedzielę poszłam na wieczorową, australijską Mszę Świętą. Najmłodsze z naszych dzieci było troszkę niezdrowe, więc jak zwykle w takiej sytuacji, wymieniliśmy się z mężem. On poszedł w południe, na polską Mszę Świętą ze starszymi dziećmi, a ja teraz wieczorem, z konieczności na anglojęzyczną.

Chociaż zdecydowanie wolę się modlić po polsku, to taki samotny pobyt w kościele w oczekiwaniu na rozpoczęcie wieczornego nabożeństwa ma także głęboki wymiar duchowy. Tyle rzeczy mam Panu Bogu do powiedzenia, tyle podziękowań złożyć, a prośby? Oby tylko tak dalej... Kościół powoli się zapełnia. Widzę nawet paru Polaków. Rozpoczęła się Msza Święta. Znam angielski, ale do odpowiedzi mszalnych wolę jednak korzystać z tekstu. Modlitewniki mszalne wraz ze śpiewnikami są wyłożone na brzegu każdej z ławek. Sięgając po jedną z książeczek, mimo woli lekko obracam się do tyłu. No nie, w ławce tuż za mną usiadła ona. Pewnie mnie nie zauważyła, bo chyba nie miałyby odwagi usiąść tuż za mną. Przecież sobie doskonale zdaje sprawę z tego, co narozrabiła. A jak nie, to jeszcze raz jej powiem i przypomnę, po wyjściu z kościoła...

Poznałyśmy się kiedyś w parku, na spacerze z dziećmi. Ona miała dziecko, zbliżone wiekiem do moich starszych, ja miałam wówczas troje dzieci i spodziewałam się czwartego. Dzieci ładnie

się razem bawiły. Ponieważ moich było więcej, częściej jej dziecko dołączało do moich, szczególnie że my mieszkaliśmy w domu z ogródkiem. Była to osoba z gruntu rzeczy dobra, życzliwa, ale z rodzaju takich, co to buzią i niewyparzonym językiem zepsują wszystko dobro uczynione rękami.

Łudziłam się, że ze względu na naszą znajomość, która przerozdziła się nawet w zażyłość, ja zostanę oszczędzona w tym rytualnym już „obdzieraniu ze skóry” bliższych i dalszych znajomych, czego niejednokrotnie byłam świadkiem. Ale nie! Gdzież tam. Puszczalam jednak mimo uszu takie czy inne uwagi, które docierały do mnie od osób trzecich na temat tego, jak się ubieram, jak robię zakupy, gotuję oraz jak (nieudolnie) prowadzę dom.

Ale gdy doszła do tego krytyka moich dzieci, szczególnie niepochlebne uwagi na temat tego najmłodszego, który akurat się urodził – miarka się przebrała. Maleństwem, tak jak i każdym z poprzednich, byliśmy zachwyceni – i jesteśmy do tej pory. Nikt nie miał prawa wypowiadać żadnych niepochlebnych uwag, szczególnie osoba, która wiele mogła nam zawdzięczać. Mój mąż podszedł do niej i stanowczo powiedział „Proszę, żeby pani nigdy już do nas nie przychodziła. My sobie tego nie życzymy.”

No i teraz ona tutaj za mną. Pomimo usiłowań, nie mogłam się skupić. Ta Msza Święta odbywała się jakby obok mnie. Nie pamiętam czytać z Pisma Świętego, nawet Ewangelia uleciała z mojej pamięci. Zawsze będę jednak pamiętać naukę, jaką wygłosił wówczas australijski ksiądz. Tak jakby specjalnie dla mnie mówił o odpowiedzialności za słowo. O osobach, które niefrasobliwie szerzą nieprawdziwe lub nawet tylko niesprawdzone wiadomości na temat bliźnich. Przytoczył aforyzm, który znałam po polsku: „Jednym słowem, jak ciężkim kamieniem, można zabić człowieka, choć z »czystym sumieniem«”.

Oh, jak ja się cieszyłam. Błagałam księdza w duchu, żeby mówił dalej, bo to przecież wypisz, wymaluj do niej. Niech słucha. Niech wie, co narozrabiła. Z jakąż satysfakcją siedziałam wyprostowana w mojej ławce... A ksiądz rzeczywiście mówił dalej – „...Teraz pewnie sobie myślisz, że moje słowa skierowane są do kogo innego, do tamtej znajomej, tamtego znajomego, którzy skrzywdzili cię nieopatrzonym słowem. Ale ja mówię do ciebie, nie do niej, nie do niego – tylko do ciebie. Czy twoje serce rzeczywiście jest

czyste? Czy nie masz sobie nic do zarzucenia? Jeśli nawet wydaje ci się, że nie obmawiasz, to przecież słuchasz, jak czynią to inni. Nawet jeśli nic nie dodajesz, wystarczy, że tylko przytakujesz. Czy masz odwagę stanąć w obronie tych obmawianych? Czy tylko oburzasz się wtedy, kiedy to dotyczy jedynie ciebie?...” Tym razem słowa księdza leciały prosto na mnie.

Jakoś dziwnie skurczyły mi się plecy. Spuściłam głowę... Czy moje serce rzeczywiście jest czyste?... Msza Święta trwała dalej. Pokornie uklęknęłam na podniesienie, a kiedy po „Ojcze nasz” kapłan powiedział „Przekażcie sobie znak pokoju”, odwróciłam się do tylnej ławki z wyciągniętą ręką i patrząc jej prosto w oczy, powiedziałam serdecznie, po polsku „Pokój z Tobą”. Uścisnęła moją dłoń, uśmiechnęła się i pewna jestem, że łza błysnęła jej w oku. A mnie jakby kamień spadł z serca. Panie, nie jestem godna... wyszeptalam po polsku.

W kolejce do Komunii świętej stanęłyśmy jedna za drugą. Mam nadzieję, że ona też, ale ja szłam do Komunii świętej z o wiele czystszy sercem.

*Błogosławieni czystego serca,  
albowiem oni Boga oglądać będą*



## Cytaty

### Jan Paweł II, homilia w Sandomierzu, 12 VI 1999 r. (fragment)

«Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą» (Mt 5, 8). Słowa te wprowadzają nas w głębię ewangelicznej prawdy o człowieku. Znajdują Jezusa ci, którzy Go szukają, tak jak szukali Maryja i Józef. To wydarzenie rzuca światło na tę wielką sprawę w życiu każdego człowieka, jaką jest szukanie Boga. Tak, człowiek rzeczywiście szuka Boga; szuka Go swoim umysłem, swoim sercem i całą swoją istotą. Mówi święty Augustyn: «niespokojne jest serce ludzkie, dopóki nie spocznie w Bogu» (por. *Wyznania* I, 1, CSEL 33,1). Ten niepokój, to niepokój twórczy. Człowiek szuka Boga, ponieważ w Nim, tylko w Nim może znaleźć swoje spełnienie – spełnienie swoich dążeń do prawdy, dobra i piękna. «Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie nie posiadał» – tak mówi o Bogu Blaise Pascal (*Myśli*, rozdz. II, nr 737). Znaczy to, że Bóg sam uczestniczy w tym szukaniu, że chce, aby człowiek Go szukał i stwarza w człowieku potrzebne warunki, ażeby mógł Go znaleźć. Sam się zresztą do człowieka zbliża, sam mu o sobie mówi, pozwala mu poznać Siebie. Pismo Święte jest wielkim zapisem na temat tego szukania i znajdowania Boga. Ukazuje też wiele wspaniałych postaci szukających Boga i znajdujących Go. Uczy zarazem, jak człowiek winien zbliżyć się do Boga, jakie warunki winien spełnić, ażeby tego Boga spotkać, poznać Go i z Nim się zjednoczyć.

Jednym z tych warunków jest czystość serca. Czym ona jest? Dotykamy w tym miejscu samej istoty człowieka, który dzięki łasce odkupienia przez Chrystusa odzyskał harmonię serca utraconą w raju przez grzech. Mieć serce czyste to być nowym człowiekiem, przywróconym przez odkupieńczą miłość Chrystusa do życia w komunii z Bogiem i z całym stworzeniem – tej komunii, która jest jego pierwotnym przeznaczeniem.

Czystość jest przede wszystkim darem Boga. Chrystus dając się człowiekowi w sakramentach Kościoła zamieszkuje w sercu czło-

wieka i rozjaśnia je «blaskiem Prawdy». Tylko ta Prawda, którą jest Jezus Chrystus, zdolna jest oświecić rozum, oczyścić serce i ukształtować ludzką wolność. Bez zrozumienia i przyjęcia Prawdy gaśnie wiara. Człowiek traci widzenie sensu spraw i wydarzeń, a jego serce szuka nasycenia tam, gdzie go znaleźć nie może. Dlatego czystość serca to przede wszystkim czystość wiary.

Czystość serca bowiem przysposabia do widzenia Boga twarzą w twarz w wymiarach wiecznej szczęśliwości. Dzieje się tak dlatego, że już w życiu doczesnym ludzie czystego serca potrafią dostrzegać w całym stworzeniu to, co jest od Boga. Potrafią niejako odsłaniać Boską wartość, Boski wymiar, Boskie piękno wszystkiego, co stworzone. Błogosławieństwo z Kazania na Górze wskazuje nam niejako na całe bogactwo i całe piękno stworzenia i wzywa nas, abyśmy umieli odkrywać we wszystkim to, co od Boga pochodzi i to, co do Boga prowadzi. W konsekwencji człowiek cielesny i zmysłowy musi ustępować, musi robić miejsce w nas samych dla człowieka duchowego, uduchowionego. Jest to proces głęboki. Łączy się z wewnętrznym wysiłkiem. Wysiłek ten jednak, wsparty łaską Bożą, przynosi wspaniałe owoce.

Czystość serca jest zatem człowiekowi zadana. Musi on stale podejmować trud opierania się siłom zła, tym działającym z zewnątrz i tym z wewnątrz – które chcą go od Boga oderwać. I tak w sercu ludzkim rozgrywa się nieustanna walka o prawdę i szczęście. Aby zwyciężyć w tej walce, człowiek musi się zwrócić ku Chrystusowi. Może zwyciężyć tylko umocniony Jego mocą, mocą Jego Krzyża i Jego zmartwychwstania. «Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste» (*Ps 51, 12*) – woła Psalmista, który świadomy jest swojej słabości i wie, że aby być sprawiedliwym wobec Boga, nie wystarczy sam ludzki wysiłek.

Drodzy Bracia i Siostry, to orędzie o czystości serca dziś staje się bardzo aktualne. Cywilizacja śmierci chce zniszczyć czystość serca. Jedną z metod tego działania jest celowe podważanie wartości tej postawy człowieka, którą określamy cnotą czystości. Jest to zjawisko szczególnie groźne, gdy celem ataku stają się wrażliwe sumienia dzieci i młodzieży. Cywilizacja, która w ten sposób rani lub nawet zabija prawidłową relację człowieka do człowieka, jest cywilizacją śmierci, bo człowiek nie może żyć bez prawdziwej miłości.

Mówię te słowa do wszystkich obecnych na tej Eucharystycznej Ofierze, ale w szczególny sposób kieruję je do licznie zgroma-

dzonej tu młodzieży, do żołnierzy służby zasadniczej i do harcerzy. Głoście światu «dobrą nowinę» o czystości serca i przekazujcie mu swoim przykładem życia orędzie cywilizacji miłości. Wiem, jak bardzo jesteście wrażliwi na prawdę i piękno. Dziś cywilizacja śmierci proponuje wam między innymi tak zwaną «wolną miłość». Dochodzi w tym wypaczeniu miłości do profanacji jednej z najbardziej drogich i świętych wartości, bo rozwiązłość nie jest ani miłością, ani wolnością. «Nie bierzcie więc wzoru z tego świata, lecz przemieniajcie się przez odnawianie umysłu, abyście umieli rozpoznać, jaka jest wola Boża, co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe» (Rz 12, 2) - napomina nas święty Paweł. Nie lękajcie się żyć wbrew obiegowym opiniom i sprzecznym z Bożym prawem propozycjom. Odwaga wiary wiele kosztuje, ale wy nie możecie przegrać miłości! Nie dajcie się zniewolić! Nie dajcie się uwieść uludom szczęścia, za które musielibyście zapłacić zbyt wielką cenę, cenę nieuleczalnych często zranień lub nawet złamanego życia! Pragnę wam powtórzyć to, co kiedyś już powiedziałem do młodzieży: «Tylko czyste serce może w pełni kochać Boga! Tylko czyste serce może w pełni dokonać wielkiego dzieła miłości, jakim jest małżeństwo! Tylko czyste serce może w pełni służyć drugiemu. Nie pozwólcie, aby zniszczono waszą przyszłość. Nie pozwólcie odebrać sobie bogactwa miłości. Brońcie waszą wierność; wierność waszych przyszłych rodzin, które założycie w miłości Chrystusa» (Asunción, 18.05.1988).

**Jan Paweł II, Maryja wzorem świętości, homilia na placu św. Piotra,  
1 XI 2000 r. (fragment)**

Błogosławieni czystego serca! Błogosławionymi zostają nazwani ci, którzy nie zadowolają się czystością zewnętrzną czy rytualną, ale dążą do owej absolutnej prawości wewnętrznej, która nie dopuszcza żadnego kłamstwa ani dwulicowości.



## KONWERSATORIUM LXII

(16 marca 2013)

### **Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą**

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii bł. Edmunda Bojanowskiego; Paweł Zuchniewicz, dziennikarz, autor książek o bł. Janie Pawle II, Siostra Kazimiera Fleran ze Zgromadzenia Sióstr Uczennic Krzyża, Jadwiga Puzynina, profesor akademicki, członek Rady Języka Polskiego i Komitetu Językowego PAN.

#### **Ks. Adam Zelga**

Serdecznie witam wszystkich! Witam młodzież, która tłumnie przybywa na nasze konwersatorium, jak zawsze. Bardzo serdecznie witam zaproszonych gości, którzy będą prowadzić to konwersatorium. Gościmy niezwykle osoby, które będą mówić na temat jednego z najpiękniejszych błogosławieństw, wyrażającego tęsknotę serca każdego z nas: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”.

Czyste serce jest zakochane w Bogu. Każdy z nas ma coś takiego, co bardzo kocha, o czym marzy, coś, co jest jego najczystszy ideal. W tym się mieści droga do Boga. Myślę, że czystość to najgłębsza tęsknota serca człowieka, żebyśmy podążali za dobrem w sposób najczystszy i je osiągnęli. Tym absolutnym dobrem jest Bóg. Czyste serce to takie, które jest zakochane w Bogu. Jesteśmy uwikłani w tę tęsknotę i uwikłani w świat, w to napięcie. Jeśli pójdziemy za tą tęsknotą, mimo że to będzie strasznie trudne, nasze życie nabierze niezwykłego sensu.



Ks. Adam Zelga i paneliści

### **Paweł Zuchniewicz**

Bardzo dziękuję za zaproszenie. To miejsce jest mi bardzo bliskie, ponieważ tutaj nasze córki chodziły do szkoły. Szkoła Wyższa wchodzi w skład kompleksu szkół, stanowi ich zwieńczenie i, można mieć nadzieję, pełnię poszukiwania czystej prawdy.

Zacznę od anegdotki. Razem z tu obecną siostrą Kazimierą mamy wspólne korzenie w Instytucie Studiów nad Rodziną, który został założony przez śp. arcybiskupa Kazimierza Majdańskiego. Tak się złożyło, że w noc przed obroną pracy magisterskiej urodziła się nasza pierwsza córka, Anna. Śmiałyśmy się z żoną, że egzamin był formalnością, ponieważ trudno oblać ojca, któremu dopiero co urodziła się córka. Potem odwiedzały nas w domu różne osoby. Przyszli także teściowie. Cieszyli się oczywiście, że urodziła się nam córka, szczególnie jednak gratulowali pracy magisterskiej. Życie pokazało, że znacznie łatwiej jest zrobić studia, nawet drugi wydział, niż wychowywać dzieci i budować rodzinę.

Chciałbym zaproponować refleksję nad tematem: „miłość ludzka drogą do odkrycia miłości Bożej”. Państwo pozwolą, że najpierw odczytam fragment pięknego dzieła literackiego:

„Lecz bliskość jej poczęła działać i na niego. Twarz mu zbladła. Nozdrza rozděły mu się jak u wschodniego konia. Widać i jego

serce biło pod szkarłatną tuniką niezwykłym tętnem, bo oddech jego stał się krótki, a wyrazy rwały mu się w ustach. I on po raz pierwszy był tak tuż przy niej. Myśli poczęły mu się mącić; w żyłach czuł płomień, który próżno chciał ugasić winem. Nie wino jeszcze, ale jej cudna twarz, jej nagie ręce, jej dziewczęca pierś, falująca pod złotą tuniką, i jej postać, ukryta w białych fałdach peplum, upajały go coraz więcej. Wreszcie objął jej rękę powyżej kostki, jak to raz już uczynił w domu Aulusów, i ciągnąc ją ku sobie, począł szeptać drżącymi wargami:

– Ja ciebie kocham, Kallino... boska moja!...

– Marku, puść mnie – rzekła Ligia.”

Sądzę, że łatwo zgadniemy, z jakiej książki pochodzi ten cytat. To oczywiście „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza.

A teraz drugi fragment:

„Grecy bez wątpienia podobnie jak w innych kulturach dostrzegali w erosie przede wszystkim upojenie, opanowanie rozumu przez boskie szaleństwo, które wyrzywa człowieka z ograniczoności jego istnienia i w tym stanie wstrząśnięcia przez boską moc pozwala mu doświadczyć najwyższej błogości. Wszystkie inne moce między niebem a ziemią wydają się w ten sposób jakby drugorzędnej wartości. «Omnia vincit amor» stwierdza Wirgiliusz – miłość wszystko zwycięża – i dodaje: «*et nos cedamus amori*» – także i my ulegamy miłości” (Benedykt XVI „Deus Caritas est”). Pierwsza encyklika Benedykta XVI zdumiewa mnie: papież, mówiąc o miłości Boga, przywołuje na samym wstępie obraz miłości ludzkiej.

Nasz dzisiejszy temat, nasza inspiracja to szóste błogosławieństwo: „błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”. Obietnica jest wyraźna: jeżeli mamy czyste serce, to będziemy oglądać Boga. A zatem istnieje absolutnie bezpośrednia więź między zdolnością do kontaktu z Bogiem a czystością.

Pamiętamy opisaną w Ewangelií scenę, kiedy Jezus zostaje odesłany przez Piłata do Heroda. Z Piłatem rozmawiał, ale do Heroda nie odezwał się ani jednym słowem. Wiadomo, że Herod prowadził rozwiązły tryb życia.

W ciągu wieków pojawiały się różne herezje, na które Kościół reagował i w ten sposób precyzowano prawdy wiary. Spotkałem się w swoim czasie z takim stwierdzeniem, że dzisiaj najgroźniejsza jest herezja antropologiczna, to znaczy zaprzeczenie prawdy o

człowieku. Jest takie powiedzenie, że wiara bierze się ze słuchania. Można też powiedzieć, że utrata wiary może się brać z oglądania. I tu dotykamy zagadnienia czystości. Oczywiście, nie jest to sprawa nowa, na przykład w Piśmie Świętym czytamy: „Pewnego wieczora Dawid podniósłszy się z posłania, chodząc po tarasie swego królewskiego pałacu, zobaczył z tarasu kąpiącą się kobietę. Kobieta była bardzo piękna. Dawid zasięgnął wiadomości o tej kobiecie. Powiedziano mu, że to jest Batszeba, wysłał więc Dawid posłańców, by ją sprowadzili”.



Paweł Zuchniewicz

Z o b a c z y ł. I to król, autor wspaniałych psalmów, człowiek namaszczonej przez Boga. Historia ta dowodzi, że – jak to się mówi – każdy może się poślizgnąć.

Dzisiaj na człowieka, którego natura nie zmieniła się od czasów Dawida, czyha o wiele więcej niebezpieczeństw. W sposobie ubierania się trudno dostrzec realizację postulatu „modnie i godnie”. Media, nasz nowy życiowy towarzysz, to świat tysięcy okazji igrania z ogniem, tym groźniejszy, że zupełnie anonimowy.

Mam obecnie dużo kontaktów z rodzinami ze względu na pracę w szkole. Widać na co dzień, jak osoby, które są pełne miłości

dla swoich dzieci i chcą dla nich jak najlepiej, nie zdają sobie sprawy, na jak wielkie trudności są wystawiane ich pociechy. Może warto w tym miejscu zadać sobie pytanie: kto sprawuje władzę w naszym domu? Czy rodzice, czy może ekran i to nie tylko ekran telewizora, ale przede wszystkim ekran komputera, tableta, smartfona. Czy wiemy, na co patrzą nasze dzieci w okresie, kiedy kształtuje się ich osobowość?

Nie chodzi tu tylko o wskazywanie niebezpieczeństw, ale przede wszystkim o pozytywne kształtowanie młodego człowieka w duchu czystej miłości. Nie wystarczy zakazać czy utrudnić dostęp do różnych urządzeń elektronicznych, trzeba o wiele więcej. A zatem kolejne pytania: Czy dziecko może zobaczyć wzajemną miłość mamy i taty? Czy widzi, że się nawzajem szanują, że są szczęśliwi? Czy widzi, że potrafią służyć sobie nawzajem? Czy rodzice stwarzają mu nieustanne okazje (od małego), aby przez drobne domowe obowiązki uczyło się wartości służby, by potrafiło zjeść mniej smaczny posiłek lub poczekać na przyjemność w postaci cukierka? Wszystko to składa się na umiejętność miłowania, czyli rezygnacji z „ja” na rzecz „ty”.

Jeśli widzimy, że człowiek oddala się od Boga, żyje tak, jakby Bóg nie istniał (a wiemy, że Bóg jest miłością), to zapytajmy, jak wygląda współcześnie nauka prawdziwej miłości, polegającej na tym, aby dawać, a nie tylko brać. Serce zdolne do miłości to jest serce oczyszczane nieustannie z egoizmu. Tymczasem na niespotykaną dotąd skalę kultywujemy dziś dogadzanie sobie, myśląc potrzeby z zachciankami i stawiając te ostatnie na piedestale tzw. samorealizacji. Konsekwencją takiej postawy jest patrzenie na świat i innych ludzi w sposób konsumpcyjny. Głównym kryterium staje się możliwość użycia czegoś, a co gorsza – kogoś do spełnienia własnych pragnień.

I znowu fragment z „Quo vadis”: „...ze złotego niewodu upiętego pod pułapem padały tylko róże, a natomiast na wpół pijany już Winicjusz mówił jej:

– Widziałem cię w domu Aulusów przy fontannie i pokochałem cię. Był świt i myślałaś, że nikt nie patrzy, a jam cię widział... I widzę cię taką dotąd, chociaż kryje mi cię to peplum. Zrzuć peplum jak Kryspinilla. Widzisz! Bogowie i ludzie szukają miłości. Nie ma prócz niej nic w świecie! Oprzyj mi głowę na piersiach i zmróż oczy.”

Henryk Sienkiewicz opowiada w „Quo vadis” wszystko to, co dzisiaj mówi Benedykt XVI w swojej encyklice „Deus caritas est” („Bóg jest miłością”): „Dwie rzeczy dostrzegamy wyraźnie w tym pobieżnym spojrzeniu na koncepcję erosu w historii i dzisiaj. Przede wszystkim to, że istnieje jakaś relacja między miłością i boskością: miłość obiecuje nieskończoność, wieczność – jakąś rzeczywistość wyższą i całkowicie inną w stosunku do codzienności naszego istnienia.”

Miłość ludzka jest w jakiś tajemniczy sposób powiązana z rzeczywistością duchową, z boskością. Zakochany(a) mówi: będę cię kochał zawsze. Jeśli człowiek się zakochuje, jeśli widzi tego wybranego, tę wybraną, to jest przekonany, że będą ze sobą przez całe życie. To jest jakieś przecucie nieskończoności, wieczności będącej przecież atrybutem boskości.

Jak bardzo lubimy patrzeć na zakochanych ludzi – to jest inny świat. Oni idą, trzymając się za ręce, nie myślą o niczym, tylko o swojej miłości. Wchodzą w jakąś inną rzeczywistość, tajemniczą, nieuchwytną, ale jednocześnie bardzo pociągającą. Czyż nie ma tu podobieństwa do tajemniczej rzeczywistości, którą proponuje Jezus w ośmiu błogosławieństwach? I dalej mówi Benedykt XVI: „Okazało się jednak równocześnie, że drogą do tego celu nie jest proste poddanie się opanowaniu przez instynkt. Konieczne jest oczyszczenie i dojrzewanie, które osiąga się także na drodze wyrzeczenia”. Na tym polegała pierwotna pomyłka Winicjusza i pomyłka wielu ludzi, bo to się zdarza w każdym czasie. Konieczne, kluczowe jest staranie się, aby miłość była czysta. Wtedy staje się ona prawdziwa. Małżeństwo i rodzina są tym terenem, gdzie może się odbywać wychowanie do czystej miłości. Nie jest to łatwe, ale jest wspaniałe.

Jakiś czas temu kupiłem (w internecie oczywiście) książkę „The ABC's of Choosing a Good Husband: How to Find and Marry a Great Guy” („ABC wyboru dobrego męża: jak znaleźć i poślubić wspaniałego faceta”). Rozpoczyna się ona opowiadaniem „Kobieta z różą”. Otóż pewien amerykański żołnierz, tuż przed drugą wojną światową, wypożyczył w bibliotece książkę. Najbardziej zachwyciły go notatki na marginesach. Były one tak głębokie, poruszające, celne, że bardzo chciał się dowiedzieć, kto był ich autorem. Książka została ofiarowana do biblioteki przez pewną kobietę, której podpis znajdował się na początkowej stronie. Żołnierzowi udało się znaleźć adres pocztowy dawnej właścicielki, ale został powołany na

front i pojechał do Europy. Stamtąd napisał do niej list i, o dziwo, otrzymał odpowiedź. Nawiązała się korespondencja. W końcu żołnierz poprosił, by ona przysłała mu swoje zdjęcie. Jej odpowiedź zaskoczyła go: „zdjęcia ci nie przyślę, zobaczysz kim jestem, dopiero jak się spotkamy”. To pobudziło jego ciekawość, czekał z niecierpliwością. Wojna się skończyła. Napisał do niej, że wraca do Stanów Zjednoczonych. Umówili się w Nowym Jorku na stacji kolejowej Grand Central. Stamtąd miał ją zabrać na obiad do restauracji. Zapytał ją: „jak się poznamy?” „Będę miała różę” – odpisała. „A ja będę miał Twoją książkę” – odpowiedział.

Umówionego dnia staje więc w umówionym miejscu i wygląda dziewczyny z różą. W pewnym momencie widzi zjawiskową kobietę. Długie włosy, piękna, wysoka, świetnie ubrana. Zrobił krok w jej kierunku, ale zorientował się, że brakuje jej... róży. Ona spojrzała na niego i zapytała: „Żołnierzu, szukasz kogoś?” Poszła dalej i wówczas nasz bohater stanął jak wryty: otóż za nią pojawiła się starsza pani, niezbyt efektowna, z różą. Co robić, uciekać? No, nie można. Więc powiedział sobie: na pewno nie będzie z tego wielkiej miłości, ale może inspirująca przyjaźń. Stanął przed nią, zasalutował i przedstawił się: ja jestem ten i ten, a pani zapewne jest ta i ta, zapraszam panią na obiad. Na to owa kobieta odpowiedziała: „żołnierzu, ja nie wiem, o co tu chodzi, ale ta pani, która właśnie przechodziła dała mi różę i prosiła, żebym się tutaj przed tobą stawiała. Jeśli zaprosisz mnie na obiad, to mam ci przekazać, że ona czeka na ciebie w restauracji”.

Dlaczego tak postąpiła? Dowiedział się o tym, gdy ją poznał. „Chciałam, żebyś mnie cenił ze względu na mnie, a nie tylko z powodu tego, co widzisz na zewnątrz”. Jest to wspaniała historia o kobiecie, która wprowadza mężczyznę w tajemnicę miłości i pokazuje, że człowiek niesie ze sobą sacrum, które wymaga czystości.

Benedykt XVI pisze: „Zależy to przede wszystkim od konstytucji istoty ludzkiej, złożonej z ciała i duszy. Człowiek staje się prawdą sobą, kiedy ciało i dusza odnajdują się w wewnętrznej jedności, a wyzwanie erosu może być rzeczywiście przezwyciężone, kiedy ta jedność staje się faktem. Jeżeli człowiek dąży do tego, by być jedynie duchem i chce odrzucić ciało jako dziedzictwo tylko zwierzęce, wówczas duch i ciało tracą swoją godność. Jeśli z drugiej strony człowiek odżegnuje się od duszy i uważa materię, ciało jako jedyną rzeczywistość, tak samo traci swoją wielkość”

Kobieta z różą potrafiła nauczyć swojego żołnierza, że ciało jest ważne i że oni muszą spotkać się fizycznie i spojrzeć na siebie. Odmawiając wysłania fotografii, przekazała mu komunikat: „nie jesteś w stanie poznać mnie, patrząc na mój obraz”. Wystawiając go na próbę, poznała jego zdolność do zaakceptowania drugiej osoby (a nie tylko jej ciała). Potrafiła mu też przekazać, że człowiek składa się z duszy i ciała, ciałem zaś rządzi dusza.

Przepięknie o miłości mężczyzny i kobiety pisał Jan Paweł II. Jej istotą jest bezinteresowny dar z siebie samego. Istotą daru zaś jest bezzwrotność, co tak dobrze wyraża nasze polskie przysłowie: „kto daje i zabiera, ten się w piekle poniewiera...”

Dar zatem jest na zawsze, na całe życie, całkowicie. I co z tego wynika? Wynika z tego nowy człowiek. Dzięki niemu dokonuje się oczyszczanie miłości.

Jest takie powiedzenie, że dziecko jest ojcem człowieka. Z tej miłości, z jedności mężczyzny i kobiety wynika dar. Jak mówił Jan Paweł II: „dar to trudny i zobowiązujący”. Dar ten jest równocześnie zadaniem i jest drogą oczyszczenia. Zarwane noce matek, znojna praca ojca, podjęcie odpowiedzialności za nowe życie – wszystko to oczyszcza miłość i skierowuje ją poza ich oboje – ku temu trzeciemu, a potem kolejnym członkom powiększającej się rodziny. Czystość sprzyja hojności, której znakiem jest wielodzietna rodzina.

„To, co czyste, podoba się Najwyższemu. Przychodźcie w szacie czystej i rękoma czystymi czerpcie wodę ze źródła” – głosi napis nad wejściem do gimnazjum im. Marcina Wadowity, gdzie przyszły papież zdawał maturę. Napis ten przytacza Jan Paweł II w „Tryptyku rzymskim”. Warto przeczytać ten utwór pod kątem refleksji na temat miłości ludzkiej. Cały poważny fragment tego utworu dotyczy właśnie tego tematu. Jest to historia o wyborze, o miłości, o wierności i padają tutaj wspaniałe słowa o jedności męża i żony, mężczyzny i kobiety, jedności, która jest obrazem Bożym. Jeśli dzisiaj tak mocno atakowana jest czystość, jeśli jest tak dużo impulsów, które mają przekonać człowieka, że jest tylko istotą zmysłową, to właśnie tutaj znajdujemy odpowiedź, dlaczego ludziom coraz trudniej zauważyć Pana Boga.

Miłość małżeńska, która staje się płodna, staje się zdolna do poświęceń, jest nastawiona na drugiego człowieka. Prowadzi do zjednoczenia w małżeństwie. Następuje otwarcie na rzeczywistość duchową opartą na sakramencie małżeństwa.

Jan Paweł II mówił w homilii w Szczecinie w 1987 roku, że miłość ludzka aż do śmierci to jest stały program życia duchowego dla żony i męża. Miłość ludzka aż do śmierci musi się głęboko zapatrzeć na miłość Chrystusa, aż do śmierci. Tę miłość uobecnia sakrament Eucharystii. Tylko w chrześcijaństwie jest możliwe takie niezwykle połączenie, takie spotkanie człowieka z Bogiem, spotkanie miłości ludzkiej i miłości Bożej, czyli „błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”.

### **Ks. Adam Zelga**

Pozwolę sobie skomentować. Uczyłem kiedyś w liceum medycznym i dziewczyny dawały mi straszny wycisk. To ja je wtedy odsyłałem do lektury „Quo vadis”, bo tam jest opisane, jak dziewczyna wychowała swojego „macho” do partnerskiego związku. To piękna powieść o tym.

Druga uwaga. Na Mszę świętą można patrzeć z różnych punktów widzenia. Na przykład, że składa się ona z takich bardzo wyrazistych trzech części, w których jest zanotowana cała klasyczna droga człowieka do Boga, czyli oczyszczenie, oświecenie przez Słowo Boże i na końcu zjednoczenie. We Mszy świętej jest zakodowany także proces wychowania człowieka.



Ks. Adam Zelga

I trzecia uwaga. Czytałem sporo wypowiedzi o nauczaniu Jana Pawła II, zawierających niekiedy krytyczne uwagi wobec różnych sfer jego nauczania, że jest za mało wnikliwe. Ale nauka, którą zostawił nam Jan Paweł II, dotycząca sfery seksualnej, relacji między mężczyzną a kobietą jest ogromnie głęboka. Niestety – zupełnie zlekceważona przez świat.

Ostatnia uwaga dotyczy czytania i rozumienia „Pieśni nad Pieśniami”. Można ją czytać płytko, jako kapitalny poemat erotyczny. Tam jest czysty erotyzm, z którym dzisiejszy erotyzm, nawet w wydaniu najpiękniejszych dzieł fotograficznych, nie może konkurować. Jeżeli zatrzymamy się na fazie tylko erotycznej, to zagubimy nasze człowieczeństwo. „Pieśń nad Pieśniami” opisuje relacje człowieka do Boga, relacje duszy do Boga. To jest bardzo ważne, żeby kulturalny człowiek przeczytał „Pieśń nad Pieśniami” z tego punktu widzenia. Bo jeżeli zatrzyma się tylko na warstwie erotycznej, jak świat współczesny się zatrzymuje, to zatraci swoje człowieczeństwo.

### **S. Kazimiera Fleran**

Moją wypowiedź na temat tego błogosławieństwa chciałabym przedstawić w formie osobistego świadectwa. Wybrałam taki sposób przekazu, ponieważ świadectwo głębiej dotyka serc osób słuchających i często motywuje ich do wejścia na drogę, którą ktoś już kroczy, w tym wypadku drogę współpracy z łaską w oczyszczaniu własnego serca.

Zanim jednak opowiem, w jaki sposób staram się żyć błogosławieństwem ludzi czystego serca, zrobię małe wprowadzenie teologiczne, aby pewne pojęcia wyjaśnić i uporządkować. Najpierw chciałabym zwrócić uwagę na dwa terminy: „serce” i „czystość”. Co one oznaczają w Biblii? Jak je rozumiał Jezus, wypowiadając to błogosławieństwo? Jak je rozumieeli Izraelici, a jak są rozumiane powszechnie dzisiaj?

W naszym języku współczesnym słowo „serce” kojarzy się jedynie ze sferą życia uczuciowego. W języku hebrajskim serce oznacza wnętrze człowieka pojęte znacznie szerzej. Oprócz uczuć, serce zawiera również wspomnienia, myśli, zamiary, decyzje. Jest ono miejscem sumienia moralnego, miejscem prawa niepisanego i spotkania człowieka z Bogiem, który zresztą – i On tylko jest w stanie je przeniknąć (Dz 15,8)<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Por. Słownik Teologii Biblijnej, red. Xavier Leon-Dufour, Pallotinum, Poznań 1990,

Drugie pojęcie wymagające właściwego określenia to czystość. Jest ona w obecnych czasach kojarzona przede wszystkim ze sferą seksualną człowieka. W ujęciu biblijnym czystość jest rozumiana znacznie szerzej. Dotyczy kultu, wymiaru moralnego i duchowego człowieka<sup>2</sup>. Jest stanem człowieka, który pozwala mu nawiązać kontakt z Bogiem.

Przybliżając biblijne rozumienie określenia „czystość serca”, chciałabym je również ukazać w kontekście historii zbawienia.



Siostra Kazimiera Fleran i Jadwiga Puzynina

Sięgając do początku, w *Księdze Rodzaju* czytamy, że „Bóg stworzył człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył” (1,27). Co to znaczy? Kim jest Bóg i w jakim sensie człowiek jest Jego obrazem? Jezus objawił nam, że Bóg jest jeden w Trzech Osobach: Ojciec, Syn i Duch Święty. Między Osobami Bożymi zachodzą relacje, które zwracają Ich ku sobie. Oddają się One sobie wzajemnie i przyjmują siebie nawzajem. Ta nieustanna, wzajemna wymiana, to przenikanie się Osób Bożych tworzy komunie miłości Ojca, Syna i Ducha Świętego. Trójca Święta tak kocha, że jest darem nie tylko dla Osób ją stanowiących, ale kocha i daje się także

s. 871; Xavier Leon-Dufour, *Słownik Nowego Testamentu*, Księgarnia Świętego Wojciecha, Poznań 1993, s. 564.

<sup>2</sup>Tamże s. 210-212.

człowiekowi, którego stwarza na swój obraz. Stwarza dwie różne osoby – mężczyznę i kobietę – i każdą z nich uzdalnia do miłości, to znaczy do dawania siebie i przyjmowania innej osoby, aby dzięki tej wymianie każda z nich mogła się jednoczyć z Bogiem i z drugim człowiekiem. To powołanie i zdolność do miłości i komunii Bóg wszczepił w czyste serce człowieka w raju. Wówczas było ono pełne Boga. Przyjmowało życie i miłość od Stwórcy i oddawało Mu całe życie człowieka. Owocem takiej wymiany była jedność człowieka z Bogiem, drugim człowiekiem, ze stworzeniem i harmonią w sobie samym. Niestety, została ona zakłócona przez grzech pierworodny. Człowiek, kuszony przez diabła, pozwolił, by zamarło w jego sercu zaufanie do Stwórcy, i okazując Mu nieposłuszeństwo, chciał być „jak Bóg” (Rdz 3,5), ale poza Bogiem i nie według Boga. Zerwał z Nim więź, a tym samym pozbawił się Jego życiodajnej miłości. Z tego powodu przestał ofiarowywać się drugiemu człowiekowi i tworzyć z nim komunie, a zaczął koncentrować się na sobie samym, oddzielać się od drugiego i bronić własnego życia. W ten sposób Adam i Ewa utracili, dla siebie i dla wszystkich ludzi, łaskę czystego serca. Jednakże kochający Ojciec nie opuścił człowieka. Posłał do niego swojego Syna, Jezusa Chrystusa, który w misterium swojego Wcielenia i Odkupienia dotknął wewnętrznej tajemnicy człowieka i wchodząc w jego serce, wyzwolił je z niewoli grzechu i ponownie uzdolnił do wolnego oddawania siebie Ojcu i przyjmowania Jego miłości.

Przywracając człowiekowi pierwotną więź z Bogiem, Chrystus wzywa każdego człowieka do jej przyjęcia przez wiarę i nawrócenie, czyli przemianę serca. Jeżeli człowiek podejmuje trud oczyszczania własnego serca, to żyje w coraz pełniejszej komunii z Bogiem i z ludźmi, a w im większym żyje zjednoczeniu z Bogiem i z ludźmi, tym bardziej pragnie stawać się czysty, by pogłębić uszczęśliwiającą komunie z Bogiem. Cały ten proces trwa do końca życia człowieka, by ostatecznie znaleźć swoją pełnię w oglądaniu Boga w niebie.

Osobiście bardzo pragnę żyć w coraz głębszej więzi z Bogiem, dlatego współpracuje z Nim w procesie oczyszczania mojego serca. Nie zawsze jednak tak było. W czasie mojej młodości, dokładnie w liceum, moja relacja z Bogiem była bardzo oficjalna. Chodziłam na Eucharystię tylko dlatego, że taka była tradycja w moim rodzinnym domu i tego nauczyli mnie moi rodzice. Nie miałam osobistej więzi

z Bogiem. On nie był dla mnie Kimś bliskim. Nie był Osobą, której słuchałam, odpowiadałam i która miała wpływ na moje życie. Przeżyłam nawet taki okres, w którym nie uczęszczałam na katechezę, bo uważałam, że Boga nie ma, a religia jest wymysłem ludzi. Popelniałam wtedy różne grzechy ciężkie i nie widziałam w tym niczego złego. To, że nie uczestniczyłam w niedzielnej Mszy Świętej, nie było dla mnie żadnym problemem. Jakies drobne kłamstwa usprawiedliwiałam słowami „inni też tak robią”. Nie miałam wtedy czystego serca i nawet o tym nie wiedziałam. W wieku 19-20 lat dużo chorowałam. Moja mama zaprosiła mnie na pielgrzymkę do Lichenia i Częstochowy. Nie miałam ochoty na taką formę wyjazdu, ale pojechałam ze względu na nią. Najpierw zatrzymaliśmy się w Licheniu. Zwiedzaliśmy sanktuarium i okolice. Nic mi się nie podobało. Myślałam: „jaka to tandeta”. Na zakończenie zgromadziliśmy się w kaplicy Krzyża. Byłam zaskoczona. Zobaczyłam przestrelony Krzyż. Z dużym zainteresowaniem słuchałam opowieści przewodnika: „W czasie drugiej wojny światowej w tym miejscu działała szkoła dla młodych Niemców. Ich wychowawczyni, Berta Bauer, chcąc ich przekonać, że Bóg nie istnieje, strzelała do tego krzyża. Zaraz po wyjściu z kaplicy zginęła, prawdopodobnie zastrzelona przez Niemców”. Te słowa mocno dotknęły mojego serca. Nie mogłam oderwać wzroku od wizerunku Jezusa na Krzyżu. Płakałam, nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje. To był moment, w którym Bóg mnie odnalazł. Miałam wrażenie, że zostałam zanurzona w Jego miłości. Nigdy wcześniej nie czułam się tak kochana, kochana w sposób zupełnie bezwarunkowy. Miałam w sobie pewność: On istnieje! Żyje! Jest tutaj obecny! Z miłości do mnie oddał swoje życie na krzyżu! W tej samej chwili poznałam prawdę o moim stopniowym oddalaniu się od Boga, o tym, że jestem grzesznikiem. Cierpiałam wewnątrz, bo moje grzechy raniły Jego kochające Serce. Opowiadałam Mu o moim dotychczasowym życiu i prosiłam o oczyszczenie mojego serca. Chciałam jak najszybciej spotkać się z Nim w sakramencie pojednania, do którego długo nie przystępowałam i wręcz go unikałam. Po wyjściu z kaplicy zamówiłam Mszę Świętą w swojej intencji, prosząc, aby całe moje życie było oparte na Bogu, i pojechałam do Częstochowy. Tu odbyłam spowiedź z całego życia. Byłam szczęśliwa, wewnątrz wolna i wypełniona obecnością Pana. Otrzymałam nowe serce, które pragnęło poddawać się Jego działaniu, aby odrzucać

zło, czynić dobro, a nade wszystko odpowiadać miłością na Jego miłość.

Osobiste spotkanie z Chrystusem otworzyło przede mną nowy sposób życia. Zaczęłam się modlić, codziennie uczestniczyć w Eucharystii, regularnie korzystać ze spowiedzi, czytać książki religijne i rozmawiać z różnymi osobami o Bogu. Szczególne znaczenie miało dla mnie rozważanie Słowa Bożego. Ono zgodnie z obietnicą Chrystusa (por. J 15,3) nieustannie oczyszczało moje serce. Stopniowo zmieniało mój sposób myślenia i działania, ponieważ poznając Jezusa, pragnęłam iść za Jego nauką, a nie za tym, co proponował mi świat. Niejednokrotnie było to dla mnie bardzo trudne. Widziałam swoją kruchość i słabość, ale nie rezygnowałam. Nie chciałam stracić tego, co otrzymałam. Pragnęłam coraz bliższej relacji z Bogiem i dlatego prosiłam Go, aby umacniał mnie w procesie nawrócenia.

To wszystko miało także wpływ na pogłębianie i oczyszczanie moich więzi z różnymi osobami, a zwłaszcza z mężczyzną, który miał zostać moim mężem. Kochałam go i byłam przez niego kochana. Po zakończeniu moich studiów planowaliśmy założenie rodziny i wychowywanie dzieci. Cieszyłam się, że będę żoną i matką. Tymczasem Bóg zapukał do mojego serca i zapytał: „Czy chciałabym być tylko dla Niego?”. Byłam zaskoczona! Nie rozumiałam pytania, które pojawiło się w moim wnętrzu. Myślałam: „To jakieś złudzenie, przecież ja mam inne plany”. Walczyłam i szukałam odpowiedzi na to delikatne zaproszenie. W końcu odkryłam swoje powołanie do życia konsekrowanego. Dzięki łasce zrezygnowałam z moich zamiarów, a wybrałam miłość do Chrystusa. Zostałam poślubiona Panu. Znakiem tego jest obrączka, która przypomina mi, że pielgrzymuję do domu Ojca. Każdego dnia ją całuję, wypowiadając słowa: „Wszystko moje jest Twoje, a Twoje jest moje” (por. J 17,10). To moje wyznanie miłości Jezusowi łączę z modlitwą o coraz większą czystość serca, bo jak powiedział bł. Jan Paweł II: „Tylko czyste serce może w pełni kochać Boga. Tylko czyste serce może w pełni służyć drugim”.

### **Ks. Adam Zelga**

Mam przyjaciela, benedyktyna w Tyńcu. Był ekonomem zakonu i zajmował się m. in. odbudową klasztoru. Gdy rozmawiał z budowlańcami, był narażony na wielkie stresy. Opowiadał o re-

cepcie na te rozmowy. Było to Słowo Boże. Z praktyki studiowania Pisma Świętego nosił Słowo Boże w sobie. I kiedy sytuacja stawała się pełna napięcia, sięgał gdzieś do głębi duchowego wyposażenia i przychodziło mu na myśl Słowo, które odpowiadało zaistniałej sytuacji. I w ten sposób udawało mu się rozwiązywać konflikty.

### Jadwiga Puzynina

To, co ja Państwu powiem, będzie się różnić od dwóch poprzednich wypowiedzi – świadectw. Jestem językoznawcą, od młodości zajmuję się językiem, a od trzydziestu lat głównie językiem wartości. Stąd też moje zainteresowanie Norwidem, który jest wielkim poetą wartości. To, co Państwu przedstawię, wiąże się z moim ciągłym zainteresowaniem problemem stosunku człowieka do wartości. Bardzo mnie interesuje różnorodność ludzkich wyborów wartości i różnorodność rozumienia słów nazywających wartości. To znalazło też swój wyraz w moim sposobie przygotowania się do tej wypowiedzi panelowej.

Zrobiłam małą ankietę wśród językoznawców – od magistrów po profesorów. Na dwa pytania ankiety: pierwsze *Jak rozumiesz wyrażenie: człowiek czystego serca* i drugie: *Kogo najbardziej spontanicznie wskazał(a)byś na przestrzeni dziejów jako przykład człowieka czystego serca?(Wymień parę przykładów)* – uzyskałam odpowiedzi od piętnastu osób. Wszystkie one są osobami wierzącymi, stanowią więc grupę jednolitą pod względem wiary, a jednocześnie pod względem zainteresowań językiem i interpretacją tekstu.

Zaplanowałam tak swój głos w panelu, także ze względu na to, że od początku zdawałam sobie sprawę, iż to dziś omawiane szóste błogosławieństwo jest różnie rozumiane, dla wielu osób niejednoznaczne.

Pierwsza różnica, jaka się zarysowała w trakcie ankietowania, polegała na tym, że jedna z osób wyraźnie odmówiła własnej interpretacji. Przysłała tylko szereg tekstów biblijnych oraz teologicznych, a od siebie napisała: „nie mogę odpowiedzieć na Pani pytanie swoimi słowami. Nie jestem teologiem. Boję się własnych interpretacji. Czytam Pismo Święte i komentarze z właściwych źródeł. Jako językoznawca nie mam kompetencji, nie znam języka oryginału, ani dobrze realiów. Są specjaliści i na nich polegamy”.



Jadwiga Puzynina i Paweł Zuchniewicz

Dwie inne odpowiedzi były wyrazem bardzo spontanicznej, a tym samym i powierzchownej interpretacji szóstego błogosławieństwa. Pierwsza z tych osób określenie *czystego serca* wiązała tylko z dziećmi, druga z kolei interpretowała je wyłącznie jako związane z szóstym przykazaniem. Natomiast większość pytanym nawiązywała do tekstów biblijnych i teologicznych, do Jana Pawła II, Benedykta XVI, Chiary Lubich i innych, ale starała się, nie tracąc związku z nimi, o własne ujęcia. Przy tym kilka osób podziękowało mi za wciągnięcie ich w poważne zastanawianie się nad tak ważnym tekstem. Ta grupa ankietowanych stała się dla mnie swoistym zespołem osób rozmyślających (każde z osobna) o tym, czym jest ideał człowieka ujęty w słowach szóstego błogosławieństwa, a także nad tym, kto w naszym pojęciu niewątpliwie umiał je realizować. Bardzo interesujące były dla mnie odpowiedzi na to drugie pytanie mojej ankiety, dotyczące tego, kogo ankietowana osoba uważa za szczególny przykład człowieka czystego serca; bo ten wybór wydaje się bardzo zależny od tego, na co nastawiony jest odpowiadający, jakie wartości szczególnie ceni w tych, których uważa za ludzi czystego serca.

Uzyskałam na to pytanie cały szereg odpowiedzi, z przykładami ludzi czystego serca. Parokrotnie powtarzał się w nich święty Franciszek, święta Teresa z Lisieux i Matka Teresa z Kalkuty. Parokrotnie też Jan Paweł II.

Warte przytoczenia są odpowiedzi Stanisława Koziary z Krakowa i Anny Pajdzińskiej z Lublina (pomijam tytuły naukowe osób ankietowanych, nie wydają mi się one ważne w tego rodzaju wypowiedziach). Pan Staszek Koziara napisał:

„Przede wszystkim przywołam tych, którzy są nam czasowo i pokoleniowo bliscy: ludzie dobrej woli, otwartego umysłu, zatroskanego i wrażliwego serca: Janusza Korczaka, Irenę Sendlerową, ks. Jerzego Popiełuszkę, wielu oddanych i drogich mi nauczycieli z docentem Janem Zalewskim na czele. Ale też tych, których osobiście nie spotkałem, ale z których darów umysłu i serca czerpałem. Jest ich bardzo wielu. Spośród tych, którzy odeszli, wspominam postać wspaniałego profesora Stefana Świerzawskiego, w którego osobie spotykała się ta niełatwa korespondencja dwóch przestrzeni: *fides et ratio* (wiara i rozum). Ale myślę także o tych wszystkich, których imiona i nazwiska nigdy nie staną się własnością publiczną, zwykłych i nierzadko anonimowych postaciach, pracownikach Winnicy Pańskiej na tych najtrudniejszych i zarazem najszlachetniejszych obszarach: hospicjach, domach starości, domach dziecka, domach samotnej matki czy matkach i ojcach z oddaniem wychowujących swoje niepełnosprawne dzieci”.

To, jak sądzę, bardzo piękna i bardzo prawdziwa wypowiedź. A takie są słowa pani Ani Pajdzińskiej:

„Osoby, które pierwsze nasunęły mi się na myśl, gdy zastanawiałam się, co znaczy wyrażenie *ludzie czystego serca*, to Matka Teresa z Kalkuty, siostra Faustyna, brat Albert, ojciec Żelazko, Albert Schweitzer. Tę listę mogłabym oczywiście ciągnąć, bo na szczęście wspaniałych ludzi jest dużo, a o ilu jeszcze się nie wie, ale chyba chodzi o pierwsze skojarzenia”.

W tych dwóch wypowiedziach szczególnie uderzający wydaje mi się fakt, że one zwracają uwagę na to, jak wielu jest ludzi czystego serca wśród nas. A my ciągle tylko narzekamy na to, jak dużo jest ludzi „nieczystego” serca...

W rozważaniach nad tym, co to znaczy być człowiekiem czystego serca, większość naszego zespołu zgadzała się z tym, że sło-

wo *serce* należy rozumieć tak, jak je rozumieli Izraelici współcześni Chrystusowi, a przede wszystkim autorzy tekstów biblijnych. Oto fragment wypowiedzi Marcina Będkowskiego: „o sercu mówi się w Biblii zaskakująco często, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Słowo *serce* użyto 977 razy, dla porównania *człowiek* – 1002, *grzech* tylko 576, a *miłość* 206 razy. *Serce* w Biblii to nie tylko siedlisko emocji, co dzisiaj narzuca się w sposób oczywisty, ale co zarazem może ograniczać horyzont tego pojęcia i powodować zubożenie zawartych w nim treści. Jego rola jest o wiele donioślejsza: „z całą pilnością strzeż swego serca, bo życie tam ma swoje źródło (Prz)”. *Serce* jest pojmowane w Biblii jako źródło życia, ono określa naszą prawdziwą tożsamość. I tu znów cytat z księgi Samuela: „Człowiek widzi to, co dostępne dla oczu, a Pan widzi serce”. Jest ono także siedliskiem władzy poznania, przeciwstawianego poznaniu rozumowemu, poznania nieabstrakcyjnego, czyli nieoderwanego od kontekstu naszego życia, uwikłanego w rozmaite relacje, pragnienia, wspomnienia, cele, zamiary, motywy, intencje itd. Warto podkreślić, że porządek serca jest postawiony w Biblii ponad porządkiem rozumu, ponadto nie jest mu silnie przeciwstawiany, skoro to w głębi serca dokonują się najważniejsze przemyślenia: „myśli nurtują serce” (Łk). Dobrze ukształtowane serce pozwala widzieć to, co istnieje rzeczywiście, „nie to co widzialne, lecz niewidzialne” (Kor). Ujrzyć istotę, rzecz samą w sobie, głębię, nie zaś złudzenie, fenomen czy powierzchnię. „Niech da wam światłe oczy serca” mówi św. Paweł”.

*Czystość serca* wiele z moich „współmyślących” osób określała jako tak czy inaczej rozumianą *czystość moralną*, z tym że większość podkreślała konieczność mieszczona się tej moralności w Bożym widzeniu świata, jak pisała Anna Kozłowska, ściśm jej związku z pragnieniem i szukaniem Boga i z udziałem Jego łaski. Natomiast różnie postrzegane przez ankietowanych były elementy składające się na pojęcie czystości serca, relacje między nimi, a także między nimi i różnymi formami obecności Boga w obrębie tego pojęcia. Według Marty Rogowskiej u podstaw czystości serca znajduje się pragnienie Boga: „pragnąc Boga, szukam tego, co do niego prowadzi, odrzucam to, co oddala i przynosi nieczystość.” Dla Doroty Jedynak człowiek czystego serca to po prostu ktoś, kto nie ma złych zamiarów wobec innych ludzi, człowiek dobrych intencji, bezinte-

resownej życzliwości, miłości i podejmujący ciągle wysiłek opierania się złu. O Bogu nie ma tu mowy. Z kolei Anna Pajdzińska bardzo silnie akcentuje związek czystości serca z Bogiem: „z czystych serc może płynąć sprawiedliwość, wiara, miłość, pokój. Człowiek jest jednak zbrukany brudem, od którego może go uwolnić jedynie Bóg. Sama czystość moralna nie wystarcza, by stanąć przed obliczem Boga w Jego Królestwie. Potrzebna jest obecność Pana w ludzkim istnieniu. Tylko wtedy człowiek jest naprawdę czysty.”

A jeszcze inaczej pisze Tomasz Korpysz, który uzależnia otwarcie na Boga od ludzkich postaw składających się na czystość serca. Zacytuje jego piękną wypowiedź: „Człowiek czystego serca to dla mnie osoba, która jest wolna od przywiązań do różnego rodzaju dóbr, nie tylko materialnych, ale też od różnego rodzaju uzależnień i negatywnych emocji, m.in. zazdrości, od skłonności do wyrządzania innym zła. Dzięki temu może być szczególnie otwarta na Boga, na innych ludzi i na świat. Jest to osoba, która nie myśli o sobie, o swoich potrzebach, ale pełna miłości i empatii jest wychylna ku drugiemu, jest pełna wewnętrznego pokoju i zaufania. Z wiarą i spokojem przyjmuje to, co przynosi wpływający czas.”

Tomasz zaczyna od moralności i dochodzi dzięki niej do otwartości na Boga. Zwraca też szczególną uwagę na „wychylenie ku drugiemu”.

Godna rozważenia jest również myśl Piotra Sobotki: „Chrystus mówiąc błogosławieństwa, nie zakreśla w moim przekonaniu kolejnych grup tych, którzy znajdują się w niebie, to znaczy niemożliwe jest, żeby byli ludzie czystego serca, a zarazem niemilosierni. On charakteryzuje przymioty współwystępujące, obecne jednocześnie. Jeżeli więc na płaszczyźnie mojej wiary Pani pyta, kim są ludzie czystego serca, to odpowiadam, że są to ludzie zarazem ubodzy w duchu, którzy się smucą, cisi, itd. (oczywiście ten smutek trzeba właściwie rozumieć, nie chodzi tu o uczucie przeżywane z powodu braku kogoś lub czegoś). Mam wrażenie, że czasem spotykamy tych błogosławionych w naszym codziennym życiu. Oni sami też mogą nie wiedzieć o spoczywającym na nich błogosławieństwie. Ich czystość, prostota umysłu kłóci się z samą świadomością bycia błogosławionym”.

Kończąc naszą zespoloną wypowiedź na temat „błogosławionych czystego serca”, chciałabym kontynuować myśl dotyczącą tych, których uważamy za ludzi czystego serca. W moim pojęciu są to ci, którzy swój stan ducha łączą z jakimś rodzajem dawania mu wyrazu, jakąś formą działania. Tym działaniem mogą być różnego typu czyny, może być też modlitwa. Nasze wybory takich osób wiążą się chyba z tym, jaki rodzaj działania i jakie towarzyszące mu postawy w danym momencie życia szczególnie cenimy. Tak jest w każdym razie ze mną. Dlatego moi wybrani to: Jan Paweł II i Mahatma Gandhi, którzy z głębią ducha i modlitwą wiązali piękną Bożą działalność społeczną na dużą skalę, oraz rotmistrz Pilecki i „Inka”, przykłady siły Bożego ducha, umiłowania prawdy i ojczyzny, przejawiające się w niezwyklej ofiarności i męstwie.

Sądzę, że błogosławieni czystego serca to nie tylko chrześcijanie. Dla nas chrześcijan jest prawdziwe wszystko to, co mówili moi przedmówcy i co pisały osoby ankietowane o ważności związku z Chrystusem, ale są ludzie innych wiar i są ludzie niewierzący, których można też w moim pojęciu nazwać ludźmi czystego serca. Nie nam rozstrzygać, szlachetnym ludziom jakiej wiary towarzyszy Boża łaska i błogosławieństwo... Upominam się o tych innych także.

### **Ks. Adam Zelga**

Dziękuję pani profesor za profesjonalizm tego wykładu, który przedstawił świadectwo nie tylko jednego prelegenta, ale wielu świadków. Dziękuję też za ostatnie zdania.

Rzeczywiście, żołnierze wyklęci dopominają się o naszą pamięć. Żle się dzieje, że w Trzeciej Rzeczypospolitej ta pamięć jest spychana na margines. I jeżeli już jesteśmy przy tym wątku, to mam nadzieję, że zamiast „czterech śpiących”, będzie pomnik „Inki”, a czterech śpiących umieścimy na właściwym miejscu, na cmentarzu żołnierzy sowieckich poległych w walce na ziemiach Polski. Mam nadzieję, że Polskę na to stać bez względu na to, czy będzie liberalna czy socjalistyczna, czy konserwatywna, ale będzie Polską i „Inka” tam ma swoje miejsce, a nie czterech sowieckich żołnierzy.

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Od trzydziestu paru lat współprowadzimy rekolekcje dla małżeństw, a przez pewien okres prowadziliśmy też rekolekcje dla narzeczonych. Tydzień temu byliśmy w Laskach na rekolekcjach dla animatorów i chcę się podzielić pewnym doświadczeniem naszego małżeństwa. Kiedy się pobieraliśmy, to nie było u nas wątpliwości, że będziemy razem do śmierci, to jest jasne. Nie braliśmy pod uwagę żadnej innej opcji. Gdy my mówimy dzisiaj narzeczonym czy młodym małżonkom, że mamy już na swoim koncie 51 lat po ślubie i że jesteśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem i dobrze nam ze sobą, patrzą na nas z podziwem, ale również trochę z niedowierzaniem. W dzisiejszych czasach jest dla nas najsmutniejszą rzeczą, że młodym ludziom trudno jest uwierzyć w szczęście ludzi, którzy przeżyli ze sobą wiele lat. Marzą o tym, ale nie wierzą, aby to było możliwe. Może dlatego, że nie mają takich przykładów w swoich rodzinach.

Uważam, że ma to źródło w otaczającym nas konsumpcjonizmie, że każdy bierze dla siebie, a nie umie dawać, nie umie służyć drugiemu człowiekowi i dlatego nie ma w nim radości. Bo jeżeli człowiek daje, to się cieszy, to ma przyjemność. Oczywiście trzeba też umieć przyjmować. Bo jeżeli mnie przyjemnie jest dawać i służyć drugiemu, to może temu drugiemu też jest przyjemnie dawać i służyć. Człowiek musi nauczyć się cieszyć, być wdzięcznym, pokazywać, że docenia otrzymany dar.

Chciałabym przekazać osobom, które zamierzają wejść w związki małżeńskie i także tym, które już w nich są, że jedną z recept na dobre małżeństwo jest pełna świadomość, że będziemy razem do końca życia i że nie ma opcji, że jak coś nie będzie dobrze, to się rozejdziemy. Nie rozejdziemy się. Będziemy z sobą do końca życia i w związku z tym musimy budować to, co jest najlepsze. Myślę, że jest to optymistyczny przekaz, który świadczymy naszym małżeńskim życiem, i że to jest element czystego serca. Nigdy nie było u nas cichych dni, bo nawet jak się pokłóciliśmy, a w każdym małżeństwie są jakieś kłótnie i spory, to zawsze jak odmawialiśmy wieczorem „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, musieliśmy się pogodzić. To było oczywiste.

### Urszula Tataj-Puzyna

Chciałam bardzo serdecznie podziękować dzisiejszym prelegentom słowami profesor Wandy Póltawskiej, która wczoraj na UKSW podczas Międzynarodowego Kongresu Rodziny otrzymała medal *Fides et Ratio (Wiara i Rozum)*: „dzisiaj Kościół nie potrzebuje dyskusji, dzisiaj w Kościele potrzebni są świadkowie.” Dzisiejszym świadkom bardzo dziękuję za ich świadectwa. Panu Pawłowi za przypomnienie, że my ludzie jesteśmy zdolni do pięknej miłości. Często o tym zapominamy. Dziękuję również za podkreślenie szczególnej roli kobiety, uświadomienie, że to właśnie kobieta ma pokazywać mężczyźnie wartość i piękno.

Siostrze Kazimierze bardzo dziękuję za uświadomienie nam, że w naszą naturę wpisana jest tęsknota za Bogiem i to, że kiedyś wszyscy się spotkamy w innym świecie i że będzie nam dobrze.



Urszula Tataj-Puzyna

Pani profesor Jadwidze Puzyninie, Mamie, mojej Teściowej bardzo dziękuję za świadectwo, które dawała i daje swoim życiem. Dziękuję za przywołanie całej rzeszy ludzi czystego serca, którzy wytyczają nam drogę wartości, których śladem warto pójść.

Na koniec chciałabym zacytować słowa papieża Franciszka, które wpisują się w nasze dzisiejsze rozważania: „Najgorszą rzeczą nie jest fakt, że świat kreuje złych. Ospałość dobrych jest najgorsza”.

### **Andrzej Skoczek**

Najpierw nawiążę do słów pani rektor o wieloletnim małżeństwie. Wraz z moją małżonką Elżbietą zbliżamy się też do pięknej, okrągłej rocznicy naszego związku. Kiedyś rozmawiałem na ten temat z kolegą z pracy. On jest człowiekiem niewierzącym, nawet nie ochrzczonym, choć ze swoją żoną są dobrym małżeństwem. Rozmawialiśmy o codziennych trudnościach w małżeństwie i on z zazdrością w głosie powiedział: „wam jest łatwiej, bo jesteście ludźmi wierzącymi”. I to jest głęboka prawda, nad którą zwykle nie zastanawiamy się zbyt, bo wiara jest dla nas czymś naturalnym i oczywistym. Ale właśnie dzięki niej mamy niezawodne zaplecze w miłosierdziu Bożym. Mamy też modlitwę. W chwili kryzysu możemy zwrócić się do Boga o pomoc i prosić o łaskę wzajemnego zrozumienia i powrotu do zgody i miłości.



Andrzej Skoczek

Nawiązując do bardzo pięknej wypowiedzi siostry Kazimieri, przypominam sobie pewne wydarzenie, potwierdzające wypowiedź siostry. Kiedyś byliśmy z grupą osób z naszej parafii na pielgrzymce, w czasie której odwiedzaliśmy m.in. jeden z żeńskich klasztorów kontemplacyjnych w pobliżu Warszawy. Wyszła do nas siostra dyżurna, bardzo piękna dziewczyna, a my mówimy: „siostrze, nie szkoda życia w klasztorze?”. A ona patrzy na nas zdziwiona i mówi „ale ja tutaj jestem szczęśliwa. Tu jestem z Panem Jezusem i z Panem Bogiem”. I widać było, że mówi to z pełną szczerością, że realizuje najlepiej cel swojego życia.

Zwracam się też do pani prof. Jadwigi Puzyniny. Gdyby do mnie pani profesor przysłała prośbę o przykłady osób czystego serca, to do tych wymienionych, już nieżyjących osób, które w pełni akceptuję, dołączyłbym jeszcze jedną osobę czystego serca. Jest nią dla mnie, bez najmniejszej wątpliwości, nasza pani rektor.

### **Jadwiga Puzynina**

Tomek Korpysz na koniec swojej wypowiedzi przekazał mi myśl, że czyste serce opisuje, Hymn o Miłości, świętego Pawła.

Jednym z moich ankietowanych miał być ks. Aleksander Seniuk, z którym jestem zaprzyjaźniona, gdyż chciałam mieć w tej grupie choć jednego duchownego. Długo nie mieliśmy kontaktu, a ostatecznie napisał: „powiedziałbym rzeczy banalne, jak każdy ksiądz. Natomiast znalazłem dla Pani kazanie ks. Tischnera”. Przesłał mi je w ostatniej chwili, tak że nawet nie zdołałam go w całości porządnie przeczytać. Jest to kazanie m.in. o tym, że czystość serca to jest miłość pojęta po Bożemu.

### **S. Kazimiera Fleran**

Pani profesor upominała się o ludzi niewierzących. Chciałabym do tego tematu nawiązać w kontekście misji każdego ochrzczonego. Uważam, że chrześcijanie, współpracujący z Panem w oczyszczaniu własnego serca, nie mogą unikać spotkań z niewierzącymi. Nie powinni gorszyć się nimi, moralizować, ale ich kochać, bo to przecież nasi bracia. Nie wiadomo, co było przyczyną ich niewiary. Niejednokrotnie ich wypowiedzi na temat Kościoła, kapłanów ujawniały wewnętrzne zranienia, z którymi nie potrafili sobie poradzić. W tej sytuacji niewierzący bardzo potrzebują świa-

dectwa osób żyjących w głębokiej więzi z Bogiem. Szczęście płynące z czystego serca jest pociągające. Może pomóc w powrocie do Boga i zachęcić do troski o czystość własnego serca.

### **Paweł Zuchniewicz**

Bardzo dziękuję pani profesor za słowa o miłości. Zazwyczaj gdy pytam młodzież, co jest przeciwieństwem, a raczej zaprzeczeniem miłości, słyszę odpowiedź – nienawiść. Jednak gdy sięgamy głębiej, okazuje się, że jest coś znacznie bardziej zagrażającego zdolności miłowania – to egoizm. Czystość dlatego buduje miłość, że uzdalnia do wychodzenia z siebie, do wyzwolenia się z egoizmu na rzecz logiki daru. W ten sposób czystość buduje relację, podczas gdy egoizm relację niszczy.

I jeszcze w nawiązaniu do zdziwienia na widok pięknej kobiety w habicie. Czytałem, jak ktoś zareagował w ten sposób, a wówczas zakonnica odpowiedziała tej osobie: „no cóż, Pan Jezus też ma gust”.

### **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Pracując na Uniwersytecie Warszawskim, przez kilkanaście lat dojeżdżałam do Kielc, gdzie miałam pół etatu. Tam moim asystentem był młody człowiek, który pochodził z biednej rodziny ze wsi. Od młodych lat mieszkał w różnych internatach, gdzie młodzież była wychowywana bez Boga i bez Kościoła. Wtedy odszedł od Boga, mimo że pochodził z rodziny głęboko wierzącej. Niestety nie stanowiła ona wtedy dla niego autorytetu. Będąc na studiach, stał się równocześnie kandydatem do Partii. Wkrótce potem poznaliśmy się.

Praca na uczelni była dla niego wielkim zaszczytem i szansą awansu społecznego. Praca naukowa była dla niego trudna, gdyż był niewidomy na jedno oko. Równocześnie był inteligentny i bardzo pracowity. Bardzo byłam zadowolona z naszej współpracy. Rozmawialiśmy na różne tematy i nigdy go nie nawracałam, ale on wiedział, jakie są moje poglądy. Przyszedł rok 1980 i była możliwość, żeby mógł dostać staż na pół roku na Uniwersytecie Warszawskim. Poza wykładami na naszym Wydziale, organizowałam mu wiele spotkań naukowych w różnych innych instytucjach, ale również wypełniałam jego grafik wykładami otwartymi z historii współczesnej, zagadnień społecznych, światopoglądowych i in-

nych, których w tym czasie była obfitość na Uniwersytecie. Po tym pół roku można powiedzieć – odmienił mu się świat, przejrzał na oczy.

Po jego powrocie do Kielc kiedyś nocowałam u nich w domu i gdy szliśmy piechotą do Instytutu, on w pewnym momencie odezwał się wzruszonym głosem: „chciałbym coś pani profesor powiedzieć. Moja matka bardzo modli się za panią, ponieważ wróciłem do Boga, ochrzciłem dzieci i wzięliśmy ślub kościelny z moją żoną”. Parę dni temu zadzwonił do mnie, że jego matka umarła. Bardzo się zmartwiłam. Mimo że jej nie znałam, była mi osobą bardzo bliską.

### **Ks. Adam Zelga**

Pora kończyć, więc sobie pozwolę na zakończenie. Poważne i niepoważne. Ponieważ rozstaliśmy się z Benedyktem XVI, warto przywołać piękny cytat z jego orędzia na Wielki Post: „życie chrześcijanina to nieustanne wchodzenie na górę spotkania z Bogiem, by później zejść, niosąc miłość i siłę, które się w nim zrodziły, by służyć z taką samą miłością jak Bóg”. To doskonały komentarz do wszystkiego, o czym mówiliśmy.

A na koniec ludowe przysłowie: „zadbaj o duszę, wtedy ciało mniej będzie bolało”.

*Błogosławieni, którzy wprowadzają  
pokój, albowiem oni będą nazywani  
synami Bożymi*



## Cytaty

### Ojciec święty Benedykt XVI. Orędzie na Światowy Dzień Pokoju – 1 I 2013 r. (fragmenty)

Nasze czasy cechuje globalizacja, i jej pozytywne i negatywne aspekty, jak również wciąż trwające krwawe konflikty i zagrożenie wojny. Konieczne jest odnowione i zgodne zaangażowanie w dążenie do wspólnego dobra, rozwoju wszystkich i każdego człowieka. Niepokoją zarzewia napięć i konfliktów, spowodowanych przez rosnące nierówności między bogatymi a biednymi, dominację mentalności egoistycznej i indywidualistycznej, wyrażanej również w pozbawionym reguł kapitalizmie finansowym. Oprócz różnych form terroryzmu i przestępczości międzynarodowej niebezpieczne dla pokoju są te formy fundamentalizmu i fanatyzmu, które wypaczają prawdziwą naturę religii, powołanej do sprzyjania jedności i pojednaniu między ludźmi.

Jednak wiele dzieł, w które bogaty jest świat, świadczy o wrodzonym powołaniu ludzkości do pokoju. Jego pragnienie jest istotnym dążeniem osoby i łączy się w pewien sposób z pragnieniem pełnego, dobrze zrealizowanego i szczęśliwego życia. Pragnienie pokoju odpowiada podstawowej zasadzie moralnej, obowiązku – prawu do rozwoju integralnego, społecznego, wspólnotowego, co należy do Bożego planu w odniesieniu do człowieka. Człowiek jest stworzony do pokoju, który jest darem Boga.

To sprawia, że inspiracją *Orędzia* stały się słowa: *Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi* (Mt 5, 9).

Błogosławieństwa głoszone przez Jezusa (Mt 5, 3-12; Łk 6, 20-23) są obietnicami. W tradycji biblijnej to gatunek literacki, zawierający zawsze jakąś dobrą nowinę, Ewangelię, którą wieńczy pewna obietnica. Nie są tylko zaleceniami moralnymi, których przestrzeganie zapewnia we właściwym czasie – zazwyczaj w innym życiu – nagrodę, przysługujące szczęście. Błogosławieństwo polega raczej

na wypełnianiu obietnicy kierowanej do tych, którzy przestrzegają wymogów prawdy, sprawiedliwości i miłości. Ci, którzy zawierają Bogu i Jego obietnicom, często w oczach świata jawią się jako naiwni, od rzeczywistości dalecy. A przecież **Jezus powiedział im, że nie tylko w przyszłym życiu, ale już w tym odkryją, że są dziećmi Bożymi, że od zawsze i na zawsze Bóg jest całkowicie z nimi solidarny. Zrozumieją, że nie są sami, bo On jest po stronie tych, którzy angażują się na rzecz prawdy, sprawiedliwości i miłości.** Jezus Chrystus daje nam prawdziwy pokój, który rodzi się z ufne-go spotkania człowieka z Bogiem.

Pokój obejmuje osobę ludzką, zakłada zaangażowanie całego człowieka. To pokój z Bogiem przez życie zgodnie z Jego wolą. To wewnętrzny pokój z sobą i pokój zewnętrzny z bliźnim i stworzeniem. Oznacza przede wszystkim, jak pisał bł. Jan XXIII w *Pacem in terris*, budowanie współistnienia opartego na zasadzie prawdy, wolności, miłości i sprawiedliwości.

Pokój nie jest marzeniem, nie jest utopią: jest możliwy. Nasze oczy muszą widzieć głębiej, pod powierzchnią pozorów i zjawisk, by dostrzec rzeczywistość pozytywną istniejącą w sercach, gdyż każdy człowiek jest stworzony na obraz Boga i wezwany, by się rozwijał, przyczyniając się do budowy nowego świata.

Z tego płynie wniosek, że każdy człowiek i wspólnota - religijna, obywatelska, wychowawcza, kulturowa - jest powołana do pracy na rzecz pokoju. Pokój jest przede wszystkim realizacją wspólnego dobra w różnych społecznościach, podstawowych i pośrednich, narodowych, międzynarodowych i światowej. Właśnie dlatego można uznać, że drogi urzeczywistniania wspólnego dobra są również drogami, którymi należy iść, by osiągnąć pokój.

Drogą do osiągnięcia wspólnego dobra i pokoju jest przede wszystkim szacunek dla ludzkiego życia, pojmowanego w jego różnorodnych aspektach, od poczęcia, przez rozwój, do naturalnego kresu. A więc naprawdę czynią pokój ci, którzy kochają życie, bronią i je promują we wszystkich wymiarach: osobistym, wspólnotowym i transcendentnym. Życie w pełni jest szczytem pokoju. Ten, kto pragnie pokoju, nie może tolerować zamachów na życie i zbrodni przeciwko życiu.

Ci, którzy nie doceniają wystarczająco wartości ludzkiego życia i w konsekwencji popierają np. liberalizację aborcji, być może nie zda-

ją sobie sprawy, że opowiadają się za dążeniem do pokoju iluzorycznego. Ucieczka od odpowiedzialności, która uwłacza osobie ludzkiej, a tym bardziej zabijanie bezbronnych i niewinnych istot ludzkich, nigdy nie zaprowadzi do szczęścia czy pokoju. Czyż można myśleć o osiągnięciu pokoju, integralnego rozwoju ludów, o ochronie środowiska naturalnego, bez ochrony prawa do życia najsłabszych, poczynając od tych, którzy mają się urodzić? Wszelkie naruszenie życia, zwłaszcza u jego początków, nieuchronnie powoduje nieodwracalne straty dla rozwoju, pokoju i ochrony środowiska.

Trzeba także uznać i promować naturalną strukturę małżeństwa, jako związku między mężczyzną a kobietą, wobec prób zrównania jej w obliczu prawa z radykalnie innymi formami związków, które w rzeczywistości szkodzą jej i przyczyniają się do jej destabilizacji, przesłaniając jej szczególnie charakter i niezastąpioną rolę społeczną.

Jednym z podstawowych praw człowieka o znaczeniu dla pokojowego życia ludów, jest prawo jednostek i wspólnot do wolności religijnej... jako wolności np. do dawania świadectwa o swej religii; głoszenia i przekazywania jej nauczania; prowadzenia działalności edukacyjnej, charytatywnej i opiekuńczej, pozwalającej wprowadzać w życie nakazy religijne; istnienia i działania jako organizacje społeczne, tworzone zgodnie z właściwymi im zasadami doktrynalnymi i celami instytucjonalnymi.

Jednym z najbardziej dziś zagrożonych praw i obowiązków społecznych jest prawo do pracy. Wynika to z faktu, że coraz bardziej praca i właściwe uznanie statusu prawnego pracowników nie są właściwie wartościowane, ponieważ rozwój gospodarczy rzekomo zależy głównie od pełnej wolności rynków. Tym samym praca jest uważana za zmienną, zależną od mechanizmów ekonomicznych i finansowych. W związku z tym potwierdzam, że godność człowieka, a także racje gospodarcze, społeczne i polityczne wymagają, aby nadal *dążyć do osiągnięcia – uznanego za priorytetowy – celu, jakim jest dostęp wszystkich do pracy i jej utrzymanie*. Wstępnym warunkiem osiągnięcia tego celu jest przywrócenie poszanowania pracy, oparte na zasadach etycznych i wartościach duchowych, które umocnią jej pojmowanie jako podstawowego dobra dla osoby, rodziny, społeczeństwa. Z dobrem tym wiążą się obowiązek i prawo, wymagające odważnej i nowej polityki pracy dla wszystkich.

W wielu kręgach uważa się, że potrzebujemy nowego modelu rozwoju i spojrzenia na gospodarkę. Rozwój integralny, solidarny i zrównoważony, jak i dobro wspólne wymagają właściwej skali dóbr – wartości, które można uporządkować, mając Boga jako ostateczne odniesienie. Aby wyjść z kryzysu finansowego i gospodarczego - którego skutkiem jest wzrost nierówności, potrzebni są ludzie, grupy, instytucje promujące życie, sprzyjając ludzkiej kreatywności, by nawet kryzys wykorzystać jako okazję do rezeźnienia i poszukiwania nowego modelu gospodarczego. Wzorzec, który panował w ostatnich dziesięcioleciach, postulował poszukiwanie maksymalizacji zysku i konsumpcji, w perspektywie indywidualistycznej i egoistycznej, chcącej oceniać ludzi tylko ze względu na ich zdolność do odpowiadania wymogom konkurencyjności. Natomiast w innej perspektywie **prawdziwy i trwały sukces można osiągnąć poprzez dar z siebie, swoich możliwości intelektualnych, przedsiębiorczości, ponieważ znośny, to znaczy prawdziwie ludzki, rozwój gospodarczy potrzebuje zasady bezinteresowności, jako wyrazu braterstwa i logiki daru**. Konkretnie: w działalności gospodarczej, kto buduje pokój, jawi się jako ten, który ustanawia ze współpracownikami i kolegami, zleceniodawcami i użytkownikami relacje lojalności i wzajemności. Wykonuje działalność gospodarczą na rzecz dobra wspólnego, przeżywa pracę jako coś, co wykracza poza własny interes, dla dobra pokoleń obecnych i przyszłych. Zatem pracuje nie tylko dla siebie, ale także, by dać innym przyszłość i godną pracę.

W sferze gospodarczej pożądana jest (zwłaszcza ze strony państw) polityka rozwoju przemysłowego i rolniczego, dbająca o postęp społeczny i upowszechnienie zasad państwa prawa i demokracji. Niezmiernie istotne i niezbędne jest też stworzenie etyki rynków monetarnych, finansowych i komercyjnych. Muszą być ustabilizowane, lepiej koordynowane i kontrolowane tak, aby nie przynosiły szkody najbardziej.

Nikt nie może ignorować ni lekceważyć decydującej roli rodziny, podstawowej komórki społeczeństwa z punktu widzenia demograficznego, etycznego, pedagogicznego, ekonomicznego i politycznego. Jest ona w sposób naturalny powołana do promowania życia: towarzyszy osobom w ich wzrastaniu i pobudza je do wzajemnego wspierania się w rozwoju przez wzajemną opiekę. Szcze-

gólnie w rodzinie chrześcijańskiej istnieje załączek projektu wychowania osób według miary Bożej miłości. Rodzina jest jednym z podmiotów społecznych niezbędnych w tworzeniu kultury pokoju. Trzeba chronić prawa rodziców oraz ich zasadniczą rolę w wychowaniu dzieci, przede wszystkim w dziedzinie moralnej i religijnej. W rodzinie rodzą się i wzrastają ludzie pokój czyniący, przyszli krzewiciele kultury życia i miłości.

Szczególną misję dla pokoju pełnią instytucje kultury, szkoły i uczelnie. Wymaga się od nich znaczącego wkładu nie tylko w kształtowanie nowych pokoleń przywódców, ale także w odnowę instytucji publicznych, krajowych i międzynarodowych.



## KONWERSATORIUM LXIII

(20 kwietnia 2013)

### **Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi**

**Prowadzący:** Andrzej Szpor, prawnik, mediator, członek zespołu do rozwiązywania sporów i konfliktów przy Wydziale Prawa i Administracji UW; ks. dr Paweł Wojtas, kapelan krajowy więziennictwa; Maja Komorowska, aktorka; Anna Słomka, nauczyciel.



Paneliści: od lewej Anna Słomka, Maja Komorowska,  
ks. dr Paweł Wojtas, Andrzej Szpor

#### **Ks. dr Paweł Wojtas**

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie. Uważam, że dla nas, osób pracujących w zespole penitencjarnym w Polsce, czyli

w systemie więziennym, ochronno-więziennym, możliwość wypowiedzenia się o naszej pracy w kontekście potrzeb społecznych, w kontekście problemów społecznych jest szalenie ważna, tym bardziej że, niestety, wzrasta przestępczość w Polsce i to zwłaszcza wśród ludzi młodych. W związku z tym dla osób realizujących, kierujących życiem społecznym, dla nauczycieli, dla pedagogów, dla osób pracujących z młodymi ludźmi wiedza o tym pozwala realizować właściwe programy pomocy młodemu człowiekowi, aby uchronić go od patologii, od przestępstwa, od sytuacji, które niszczą ludzkie życie, szczególnie młode życie.

Od 23 lat pracuję w systemie duszpasterstwa więziennego, a od 11 lat kieruję tym systemem w Polsce. Od 10 lat organizuję konferencje duszpastersko-penitencjarne, na których my, osoby pracujące z przestępcami, z młodymi przestępcami, z młodymi więźniami spotykamy się z przedstawicielami instytucji, które pracują z młodymi ludźmi, takimi jak szkoły, młodzieżowe ośrodki socjoterapeutyczne, młodzieżowe ośrodki wychowawcze czy świetlice środowiskowe, aby wspólnie chronić młodego człowieka przed przestępstwem.



Ks. dr Paweł Wojtas i Andrzej Szpor

Dzisiejsze problemy wychowawcze, najkrócej mówiąc, polegają na braku dialogu między rodzicami a dziećmi. Rodzice zajęci są pracą, poszukiwaniem pracy, realizacją tej pracy i w związku z tym rodzice często mówią: „masz pieniądze, daj mi spokój, bo ja nie mam czasu, bo pracuję” lub: „daj mi spokój, jestem zmęczony, nie mam czasu”. W związku z tym często jest tak, że młody człowiek ma pieniądze, większe bądź mniejsze, natomiast nie ma relacji z rodzicami, nie ma dialogu między pokoleniem dorosłym a pokoleniem dorastającym. Jest to bardzo poważny problem w obecnej sytuacji demograficznej, pedagogicznej i socjalnej w Polsce.

W ramach duszpasterstwa więziennego w Polsce widzę parę priorytetów. Po pierwsze, praca z młodymi przestępcami. Są to młodzi ludzie, których umysły są jeszcze elastyczne i którym można pomóc uniknąć recydywizmu, czyli powrotu do przestępczości. Pomóc im poukładać właściwie ich życie.

Drugim obszarem naszej pracy, szalenie istotnym, są kobiety w izolacji więziennej. W Polsce dziś na prawie 89 tysięcy więźniów mamy około 2 tysiące kobiet. Jest to bardzo mało w stosunku do mężczyzn, natomiast ich wyroki, czy sprawy, są bardzo poważne. Mężczyźni w bardzo wielu wypadkach idą na krótki okres do więzienia za jakieś drobne przestępstwa, natomiast kobiety najczęściej skazywane są za zabójstwa. Jest to prawie 90% zasądzonych. Skąd się to bierze? Najczęściej zdarza się to w układach między kobietą a mężczyzną. Mężczyzna namawia czy zaprasza kobietę do picia, do narkotyków, a potem pod wpływem alkoholu mężczyzna staje się bardzo agresywny wobec kobiety, bije ją, gwałci, ona w końcu nie wytrzymuje, bierze nóż i zabija. Kobieta ta w izolacji więziennej ma podwójną traumę, bo sama była bita, katowana przez tego mężczyznę, z którym była, a potem druga trauma, bo odebrała mu życie. W tym zakresie mamy wypracowaną metodę teatroterapii, w której piszemy scenariusze i pomagamy odgrywać kobietom te najtrudniejsze sytuacje, aby pomóc im zrozumieć sytuację, w której się obecnie znajdują i pomóc im na przyszłość jakoś spokojniej i swobodniej ustawiać swoje relacje życiowe.

Trzecim priorytetem naszej działalności jest praca z funkcjonariuszami. Ustawa o służbie więziennej mówi, że funkcjonariusze mają wpisane w ryzyko zawodowe sposób odnoszenia się więźniów do funkcjonariuszy. Osadzeni niejednokrotnie przysparzają

wielu problemów wychowawczych. Jeśli funkcjonariusz otwiera przez osiem godzin dziennie cele i słyszy przez cały ten czas wulgaryzmy pod swoim adresem lub innych osadzonych oraz jest świadkiem obrzydliwych zachowań więźniów wobec funkcjonariuszy, to takie zachowanie często przekracza granice możliwości ich przyjmowania w sposób obojętny, bez emocji. Dlatego zdarza się, że funkcjonariusze przed powrotem do domu, chcąc odreagować stresy, sięgają także po alkohol, a potem ich żony robią im wymówki. Przekłada się to na złe relacje rodzinne. Mamy więc w tym zakresie wiele do oddziaływania.

Chciałbym jeszcze powiedzieć o trzech zasadniczych stopniach pracy z osadzonymi.

Jeśli wejdziecie państwo do więzienia i porozmawiacie z więźniem, to on najczęściej powie, że jest niewinny. Wszystko jest winne, wszystkie okoliczności, natomiast on sam nie jest winny. Pierwszym stopniem naszej pracy, jest więc potrzeba aby mu pomóc zrozumieć, że to on dokonał przestępstwa i to on jest winny. Oczywiście analizujemy, co się stało w ramach tego przestępstwa, że ono miało miejsce, ale trzeba pomóc zrozumieć i zaakceptować własną winę. Czyli pierwszy zasadniczy moment to jest pomóc mu pojednać się z samym sobą, czyli pomóc mu zrozumieć rzeczywistość jego sytuację, żeby mógł powiedzieć „tak, to ja dokonałem tego przestępstwa i teraz muszę zacząć myśleć, co dalej”.

Drugi szalenie istotny moment to pomóc więźniowi pojednać się ze społeczeństwem, czyli pomóc mu rozpocząć naprawczy proces w sobie samym. Każde przestępstwo to krzywda wobec jednego człowieka lub wielu ludzi, czyli każde przestępstwo ma wymiar społeczny. Trzeba pomóc więźniowi wrócić do społeczeństwa przez odrobienie czy naprawienie wyrządzonej krzywdy.

Trzecim, najtrudniejszym momentem, który nie zawsze się udaje, to pomóc skazanemu pojednać się z ofiarą przestępstwa lub z najbliższymi ofiary, jeśli ofiara nie żyje. Pamiętam dobrze jedną taką sprawę. Dwóch serdecznych kolegów któregoś razu pobiło się o dziewczynę i jeden drugiego zabił. Rodzice zabitego doskonale znali rodziców tego, który zabił, bo chłopcy razem wzrastali i chodzili do jednej szkoły. Uczestniczyłem kilka lat w procesie przebaczenia rodziców ofiary z tym, który zabił ich syna. Kiedy udało się do tego doprowadzić i rodzice ofiary wybaczyli zabójcy po iluś la-

tach, byli wdzięczni i dziękowali za to. Oczywiście nikt nie przywróci życia już nieżyjącemu synowi, ale jest łatwiej żyć, jeśli się przebaczy.

Inny przykład zaczerpnąłem ze wspomnień pisanych przez samych więźniów. Jeden z nich napisał mi ostatnio: „Pochodzę z rozbitej rodziny. Kiedy rodzice rozwiedli się, ja w wieku 4 lat zamieszkałem z ojcem i babcią, a moja młodsza siostra z mamą. Niestety wychowałem się bez Boga i bez Kościoła, mimo że odkąd sięgam pamięcią, zawsze wierzyłem w Boga. Moi rodzice nie ochrzcili mnie, mimo że ja wielokrotnie prosiłem ojca, aby mnie ochrzcił. Myślałem wtedy, że człowiek, który nie jest ochrzczony, nie może chodzić do Kościoła i nie jest godny mówienia o Bogu. W wieku 15 lat przeżyłem bardzo boleśnie śmierć ojca. Odszedł, zostawiając mnie na pastwę losu. Od tego czasu zaczęły się moje problemy. Mając 16 lat, poznałem dziewczynę. Bardzo wcześnie zaczęliśmy współżyć, czego owocem było dziecko. Tak zostałem ojcem córeczki, mając 17 lat. Niestety więcej czasu spędzałem z kolegami na podwórku, pijąc alkohol i paląc marihuanę. Zawałałem każdą pracę, jakiej się podjąłem. Piłem coraz więcej. Urodziło mi się jeszcze dwóch synów. Zaniedbałem nawet chrzciny dzieci. Zacząłem brać narkotyki dożylnie. Wtedy zaczął się największy koszmar mojego życia. Zacząłem tracić wszystko, co mi zostało. Rodzinę, resztki prac dorywczych, samego siebie. Płynąłem w nałogu bez żadnych hamulców. Traciłem wszystko, aż w końcu zostałem sam w czterech pustych ścianach. W końcu na skutek przestępstw trafiłem do więzienia. Pierwsze dni więzienia spędziłem w więziennym szpitalu. Było mi ciężko, byłem zmęczony fizycznie, psychicznie, pusty duchowo. Pamiętam, jak pierwszego dnia, zwijając się z bólu, na głodzie narkotycznym, postanowiłem zmienić swoje życie. Zwróciłem się do Boga. Bóg zaczął stawiać dobrych ludzi na mojej drodze. Kolejnego dnia kapelan więzienny chodził po celach i zapraszał na uroczystość pierwszej Komunii Świętej. Pomyślałem wtedy, że nadarza się szansa na mój chrzest. Zacząłem przygotowania do Chrztu świętego i pierwszej Komunii Świętej. Po chrzcie i pierwszej Komunii Świętej jednego ze skazanych, które odbyły się w więziennej kaplicy, dowiedziałem się, że jestem zarażony HIV, załamałem się wtedy psychicznie, ale nie duchowo. Wiedziałem, że choroba nie jest karą, ale nagrodą, że dzięki tej chorobie inaczej

spojrzę na Boga. (...) Ostatnio Bóg oddał mi rodzinę. Najważniejsze, że mi rodzina wybaczyła. Chrzciny moich dwóch synów odbyły się w więziennej kaplicy. Kiedy wyjdę na wolność i będę mógł z nimi być, na pierwszym miejscu będzie Bóg. Żona i dzieci nie są zarażone HIV, zaakceptowali mnie i moją chorobę. To jest kolejny dowód dla mnie na istnienie Pana Boga”.

### **Andrzej Szpor**

Przedstawiając się – zwyczajowo – wymieniam wykształcenie (prawnik) i zajęcie (mediator) oraz organizację, w której pracuję (Centrum Rozwiązywania Sporów i Konfliktów przy Wydziale Prawa i Administracji UW), pomiąłem jednak trzy informacje o sobie, które są dla mnie bardzo istotne w kontekście tematu dzisiejszego panelu. Po pierwsze, jestem wierzący. Po drugie, jestem mężem i – razem z żoną – działam we wspólnocie „Mażeńskie Drogi”, organizującej rekolekcje dla narzeczonych i małżeństw metodą dialogową. Po trzecie, byłem przez kilka lat nauczycielem akademickim (Wydział Prawa i Administracji UW) oraz urzędnikiem państwowym.



Andrzej Szpor

To w pracy zetknąłem się po raz pierwszy z ideą rozwiązywania konfliktów – na kursie negocjacji i mediacji. Dzięki tej wiedzy zacząłem odkrywać, jak bardzo prawo, procedury prawne i wymiar sprawiedliwości są nieefektywnym mechanizmem społecznym, jak trudno dzięki niemu rzeczywiście rozwiązywać konflikty i im zapobiegać. Zdarzyło mi się kiedyś doświadczyć boleśnie tej prawdy – jako urzędnik przejąłem prowadzenie sprawy, w której przedsiębiorca domagał się kiedyś od urzędu pomocy w swoim sporze z dużą firmą. Niestety dla niego, prawo nie pozwalało udzielić mu takiej pomocy. Kiedy więc odmówiono mu, wystąpił do sądu – tym razem przeciwko urzędowi. Po raz pierwszy spotkałem tego przedsiębiorcę twarzą w twarz dopiero na rozprawie w ostatniej instancji. Sąd przyznał rację urzędowi, ale ja miałem poczucie, że sprawę przegrałem razem z tym przedsiębiorcą. Zobaczyłem bowiem człowieka, którego konflikt przerósł. Człowieka, który zaangażował się w spór tak bardzo, że nawet jego adwokat nie potrafił go powstrzymać od przegranej. Człowieka, który poświęcił mnóstwo czasu, energii, pieniędzy i nerwów w walce, która była skazana na niepowodzenie. I zacząłem się zastanawiać, czy nie dało się tego uniknąć. Być może należało więcej uwagi poświęcić temu przedsiębiorcy na początku – zrobić wszystko, żeby miał on szansę zrozumieć i uznać naszą argumentację, przyjąć odmowę bez utraty zaufania do nas. W świetle prawa moje postępowanie było właściwe, ale nie zapobiegło to wyniszczającej dla niego wojnie prawnej.

Wtedy uświadomiłem sobie, że rola mediatora bardziej mi odpowiada. Mediatorzy – bardziej niż prawnicy – mogą troszczyć się o strony konfliktu. Starają się o wzajemne zrozumienie, akceptację i pokój, a nie o zwycięstwo jednej strony nad drugą. Wiedzą, że czasem konflikt zabrnje tak daleko, że tylko sąd może sporem się zająć, ale potrafią stronom pomóc uniknąć tej ostateczności. Pracując jako mediator, interesuję się stanowiskiem strony, ale po to, żeby zrozumieć człowieka, który je sformułował – jego system wartości, jego potrzeby, wiedzę i przeżycia. I wiem, na przykład, że im więcej emocji, tym trudniej stronom rozeznaczyć właściwie swoją sytuację, tym trudniej usłyszeć prawdę, uznać fakty i zebrać wszystkie informacje, które są niezbędne do tego, by w konflikcie zachować się konstruktywnie. Widzę też wyraźnie, jak słabo byłem przygotowany do radzenia sobie z konfliktami po studiach prawni-

czych. Ich program, tak jak cała kultura prawna, nie nadąza za wielkimi osiągnięciami nauk społecznych w ciągu ostatnich 30 lat.

Wróćmy jednak do tematu naszego konwersatorium, to jest do siódmego błogosławieństwa, które dotyczy „wprowadzających pokój”. O jaki pokój tu chodzi? Warto pamiętać, że błogosławieństwo to zostało sformułowane po hebrajsku, przez pobożnego Żyda. W języku polskim przywykliśmy rozumieć pokój jako przeciwieństwo wojny. Tymczasem chodzi tu o ten pokój, na znak którego podajemy sobie dłonie podczas Mszy świętej, ten sam, o którym mówi ksiądz, wchodząc do mieszkania w czasie odwiedzin kolędowych. Życzenie „pokój temu domowi” nie ma chronić nas przed kłótniami rodzinnymi. Jego treść jest znacznie bogatsza. Po pierwsze, pokój oznacza pełnię, stan, w którym niczego ważnego nam nie brakuje. Po drugie, pokój oznacza harmonię – nie tylko w relacjach międzyludzkich, ale też i harmonię wewnętrzną, a co najważniejsze – harmonię z Bogiem. Konsekwencją pełni i harmonii są pozostałe elementy składowe pokoju: dobrobyt, szczęście i radość. W ten sposób rozumiane są odpowiedniki słowa „pokój” w języku hebrajskim (*szalo'm*), ale również w języku arabskim (*al'salam*). Uderzające jest w związku z tym podobieństwo żydowskiego pozdrowienia *Szalo'm alehem* do arabskiego *Salem alejkum*. Jakie to smutne, że mimo tych podobieństw Arabom i Żydom tak trudno o wspólny pokój w Ziemi Świętej.

Jako mediator skupię się jednak w dalszej części na tym wąskim rozumieniu pokoju, żeby zastanowić się, w jakiej przestrzeni szukamy i pożądamy pokoju. Są według mnie trzy takie podstawowe przestrzenie, które wymagają naszej uwagi i troski. Pierwsza to przestrzeń osobista – pokoju wewnętrznego (w tym relacji z Bogiem, który mieszka w naszym sercu). Druga przestrzeń to relacje między dwoma osobami: między mną i tymi, z którymi jestem w relacji, ewentualnie przestrzeń między dwoma osobami, które spotykam na swojej drodze. Trzecia przestrzeń to relacje grupowe. Relacje człowieka z taką czy inną grupą albo relacje między grupami ludzi. Opierając się na osobistym doświadczeniu, uważam, że do siódmego błogosławieństwa trzeba się stosować w określonej kolejności. Najpierw potrzeba pokoju wewnętrznego, potem należy dbać o pokój z najbliższymi, a dopiero na końcu można zajmować się konfliktami „obcymi”. Najgorzej jest wtedy, gdy o pokój mię-

dzy narodami walczą ludzie, którzy nie mają pokoju wewnętrznego. Odkryliśmy z moją żoną ścisłą korelację między ilością naszych sporów, ich temperaturą i częstością a czasem, jaki upłynął od ostatniej spowiedzi. Kiedy obserwujemy, że po raz kolejny wybuchą między nami kłótnia, to każde z nas jest upoważnione, żeby powiedzieć: „wiesz, przerwijmy na razie i wróćmy do tego po spowiedzi”. Na razie jest to najlepsza technika, jaką wypracowaliśmy w małżeństwie. Mówię to również jako mediator, ponieważ techniki zawodowe trudno stosować do samego siebie, a spowiedź działa zawsze. Dopiero niedawno zresztą uświadomiłem sobie z całą mocą treść formuły, którą kapłan wypowiada na koniec tego sakramentu: „Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła”.

Każdy, kto chciałby poważnie potraktować wezwanie do tego, żeby wprowadzać pokój, powinienem szukać najpierw podstawowej choćby wiedzy o konfliktach w ogóle. Każdy też, kto chce szukać pokoju w konkretnej sytuacji, powinien zacząć od refleksji nad tym konfliktem. Mediatorzy mawiają czasem: konflikt przypomina górę lodową. Widzimy 10% na powierzchni, natomiast 90% kryje się poza naszym widokiem. To, co każdy dostrzega w sytuacji konfliktowej, to zachowania ludzi. Czasami spostrzegamy też przejawy emocji. Nie wiemy jednak tego, co dzieje się tam „pod spodem”, nie potrafimy na pierwszy rzut oka zrozumieć, z czego wynikają takie, a nie inne zachowania i emocje. A tam ukryty jest system wartości danej osoby, jej światopogląd, wiedza, jej doświadczenia i przeżycia. Jaki z tego wniosek? Zanim zareaguję na konkretne zachowanie (potencjalnie angażując się w wojnę z drugą stroną) albo zacznę udzielać rad komuś, kto znalazł się w konflikcie, powinienem sobie najpierw zadać pytanie, czy ja rzeczywiście rozumiem cudze przyczyny i cele. Jak często zdarza się nam wszystkim osądzanie kogoś, chociaż nie zadaliśmy sobie trudu zrozumienia go? Jak często sądziliśmy go przy tym własną, bardzo subiektywną miarą, zakładając, że ta osoba powinna zachowywać się dokładnie tak, jak my byśmy tego oczekiwali?

Nasuwa się więc pytanie, czy w ogóle osoby postronne powinny mieszać się w cudze spory. Odpowiedź twierdząca wynika z samej natury sytuacji konfliktowej – kłótnie mają to do siebie, że wymykają się spod kontroli. Narastające emocje utrudniają nam stop-

niowo racjonalne zachowania, a wymiana argumentów zamienia się w wymianę ciosów. Konflikt niekontrolowany może doprowadzić strony do autodestrukcji. Szczególnie dramatycznie wygląda to w sprawach rodzinnych. Niezależnie od tego, czy sami znaleźliśmy się w sporze, czy jesteśmy świadkami cudzego sporu, powinniśmy uświadomić sobie wybór, przed jakim stoimy. Możemy, po pierwsze, wybrać strategię unikania; być może niczego nie osiągniemy, ale nie powinniśmy wtedy oczekiwać zbyt wiele od tych, na których usiłujemy w ten sposób przerzucić odpowiedzialność za losy konfliktu. Możemy, po drugie, skupić się na swoim interesie – ryzykując, że nie uda się znaleźć akceptowalnego dla wszystkich rozwiązania. Możemy, po trzecie, ustępować (sugerować ustępstwa) – ryzykując gorycz po jakimś czasie, kiedy pokój „kupiony” ustępstwami objawi swoją niewielką wartość. Możemy, po czwarte, dążyć do kompromisu – domagać się częściowych ustępstw w zamian za ustępstwa drugiej strony. Piąta, ostatnia możliwość jest najbardziej obiecująca: rozmawiamy, aby ustalić wspólnie, czego każdy potrzebuje, szukajmy następnie wspólnie nowych rozwiązań, które będą w maksymalnym stopniu zaspokajały oczekiwania wszystkich.

Na koniec chciałem wspomnieć o dwóch pracach, które uważam w tej chwili za najciekawsze w zakresie teorii konfliktu i radzenia sobie z konfliktami. Autorem pierwszej jest William B. Ury, profesor z Harvardu, antropolog. W „Dochodząc do zgody” (wydanie polskie – 2006) twierdzi on, że to w naszych czasach i w naszej kulturze każda ze stron konfliktu usiłuje skaptować sobie sojuszników, a prawdziwego przyjaciela każdy z nas poznaje po tym, że staje po naszej stronie. Na tej samej zasadzie w gruncie rzeczy opiera się też publiczny wymiar sprawiedliwości: sędzia w procesie próbuje w imieniu całego społeczeństwa ustalić, po czyjej stronie się opowiedzieć. Tymczasem do dziś istnieją pierwotne plemiona (buszmeni z afrykańskiej kotlinie Kalahari, Semai z Malezji czy niektóre plemiona na Nowej Gwinei), w których funkcjonuje model odmienny: przyjaciel nie jest przymuszany do tego, by opowiedzieć się przeciwko drugiej stronie konfliktu, ale może pozostać „stroną trzecią” i pomagać obu stronom w poszukiwaniu porozumienia. Na tej samej zasadzie reaguje cała wioska: obie strony są wzywane do „opamiętania” i porozumienia, aby uniknąć wojny

wszystkich ze wszystkimi. Zakładając, że kultura – w erze informacji – jest znacznie łatwiejsza do przebudowy, prof. Ury przedstawia dziesięć potencjalnych ról, jakie każdy z nas może pełnić w konfliktach jako strona trzecia. Na przykład, „żywiciel” rozumie, że strony konfliktów walczą ze sobą o zaspokojenie rozmaitych mniej lub bardziej uświadomionych potrzeb. Stara się więc w miarę możliwości samemu dostarczyć stronom tego, czego może im brakować, a czym łatwo się podzielić, np. uwagą, uznaniem, szacunkiem, schronieniem, szklanką wody...

Druga praca, o której chciałem tu wspomnieć – której autorem jest niemiecki profesor Friedmann Schutz von Thun (a polskim tłumaczem o. Piotr Włodyga, SBO) – to czterotomowa „Sztuka rozmawiania”. Bardzo spodobała mi się sformułowana w I tomie koncepcja 4 uszu, którymi słuchamy wypowiedzi innych ludzi. Pierwsze z tych uszu skupia się na stronie rzeczowej komunikatu. Drugie – na tym, co inny człowiek mówi o sobie. Trzecie – na tym, jak widzi on naszą z nim relację. Czwarte – na tym, czego od nas oczekuje. Wielką sztuką jest wypowiadać się w taki sposób, żeby nie urazić żadnego z tych uszu. Wiele też nieporozumień i konfliktów wynika z tego, że słuchamy siebie z różną wrażliwością. Rozbawił mnie bardzo przykład męża, który wraca do domu, siada do obiadu i pyta „co to jest, to zielone w zupie?” Jest ciekawy, czy to pietruszka (aspekt rzeczowy) i chce się tego dowiedzieć (apel). Niestety żona słyszy w tej wypowiedzi znacznie więcej – męża, który ustawił się w roli krytyka, brak wdzięczności z jego strony za przygotowanie obiadu, brak uznania dla jej wysiłków, brak zainteresowania tym, jak trudno jej było wybrać odpowiedni skład przypraw, a może nawet pretensję i żądanie, by nigdy więcej pietruszki nie dodawała do zupy. U mnie w domu jest odwrotnie: ja częściej gotuję, ale moja żona znacznie lepiej potrafi ze mną rozmawiać!

Największym wyzwaniem dla mnie, zajmującego się zawodowo mediacją, jest odróżnienie sytuacji, kiedy to właśnie ja powinienem zaangażować się w konflikt, od sytuacji, kiedy wprowadzanie pokoju musi sprowadzać się do przekonania stron, że warto poszukać wsparcia kogoś innego. Pamiętam, że bierność jest równoznaczna ze zgodą na to, by bliźni zabijał bliźniego (słowa potrafią ranić potężnie). Staram się jednak równocześnie o neutralność i bezstronność – walcząc z pychą, skłonnością do wypatrywania

żdźbła w oku bliźniego i pokusą prostowania każdemu jego ścieżek. Chodzi przecież o pokój każdego bliźniego, a nie moją wizję tego pokoju.

### **Anna Słomka**

Jestem historykiem sztuki i plastykiem. Uczę w szkole podstawowej i gimnazjum, lecz moją najważniejszą życiową rolą jest bycie żoną (25 lat już minęło) i matką pięciorga dzieci. Pamiętam, że ktoś ze znajomych podsumował mnie: „Uprawiasz dwa ekstremalne sporty, 25 lat wytrzymałaś z jednym chłopem i masz pięcioro dzieci”.

Podobnie jak mój przedmówca, ja również zastanawiałam się, co to jest pokój. Hebrajskie słowo *szalo'm* oznacza nie tylko przeciwieństwo stanu wojny, ale pochodzi od rdzenia, który oznacza być nietkniętym, pełnym, skończonym. To jest suma dóbr towarzyszących pokojowi i sprawiedliwości. Dla Izraelity znaczy to posiadanie urodzajnej ziemi, obfitości jedzenia, bezpiecznego miejsca zamieszkania, możliwość odpoczynku na łonie rodziny, a także triumfu nad nieprzyjaciółmi. Czyli to wszystko, w czym w ich rozumieniu Bóg jest z nimi.



Anna Słomka

Pytanie jest również do mnie: jak ja mogę ten dar Boży osiągnąć? Na pewno przez ufną modlitwę, ponieważ tak jak wszystkie dary, jest to łaska od Boga i człowiek może zrobić jedno – otworzyć się na tę łaskę, nie przeszkadzać jej i współdziałać z Bogiem we wprowadzaniu pokoju na świecie. Zmartwychwstały Chrystus przychodząc do Apostołów powiedział „pokój wam”.

Staralam się przyglądać uważnie sobie samej i uczyć się metod, które mogę zastosować jako żona, matka, nauczyciel, dla tworzenia kultury pokoju. Ponieważ jesteśmy z mężem osobami, które bez Pana Boga nic by nie zrobiły, czujemy, że nasze małżeństwo, nasz byt i nasza rodzina są zależne od Niego i tylko od Niego. Bez wypracowania właściwych narzędzi działania nie byłibyśmy w stanie w tej rodzinie wytrzymać tyle czasu i przy okazji jeszcze zrobić coś dobrego. W takiej dużej rodzinie jest bardzo dużo wzajemnych interakcji. To jest cała sieć, którą przy odrobinie nieuwagi można bardzo łatwo stracić. Ja się czasami czuję jak na wojnie. Jestem na nią wysłana i mam czynić pokój, ale metodami Bożymi.

Chciałabym sięgnąć do warsztatu psychologicznego. Dla mnie podstawową sprawą było rozpoznanie, czym ja dysponuję, czym dysponuje każdy z nas, mój mąż i moje dzieci, dalej moi uczniowie, wszyscy, z którymi się stykam. Każdy z nas dostał od Boga pewien temperament. Jedni są wojownikami, inni nie. Chciałabym przyjrzeć się tej swojej cesze, co to właściwie znaczy, że nie jestem wojownicza. Czyli „staram się czynić pokój, ponieważ mam takie usposobienie”. Na pewno jest mi łatwiej niż innym, na przykład mojemu mężowi, który jest urodzonym wojownikiem. Temperament to jest zespół pierwotnych cech osobowości, jest ontologicznie dobry i nie podlega żadnej ocenie. Człowiek z powodu grzechu pierworodnego może zmienić te pierwotne cechy osobowości. Używać ich tak lub inaczej. Może być to sprzyjające czynieniu pokoju, ale może być też jego zagrożeniem.

Próbowałam się zastanowić nad tym, jaka jestem. Raczej unikam walki i jej nie lubię. Nie za wszelką cenę oczywiście, ale za wysoką cenę. Wiem, że ta cecha, takie unikanie walki, jest przez ludzi wojowniczych traktowana często jako słabość. Oni tym pogardzają, oni tak nie chcą. Niemniej ja uważam, że ta cecha może być wielką wartością. Jeżeli konflikt dotyczy rzeczy mało ważnej, nieistotnej, potrafię zrobić krok do tyłu, bo uważam, że nie ma co

kruszyć kopii o szczegóły. Wycofuję się, oddaję pole. Dla mnie najważniejsza jest relacja z drugą osobą. Nie chcę za wszelką cenę forsować mojej racji, a stracić w tym czasie dużo więcej. Dla mnie ważna jest atmosfera przyjaźni, życzliwości i miłości w rodzinie, w pracy, w gronie znajomych. Nie lubię się narażać z byle powodu na antypatię. To jest dobre i złe jednocześnie. Trzeba bardzo uważać, bo łatwo można popaść w konformizm.

Jestem też skłonna do tego, że poproszona o coś, w pierwszym odruchu powiedziec „tak, ja to zrobię”. Człowiek wojowniczy w pierwszym odruchu mówi „nie zrobię tego, daj mi spokój”. Potem przychodzi refleksja, zastanawiam się, czy ja dam radę to zrobić, może lepiej się tego nie podejmować, ale pierwszy odruch jest „tak”. Często biorę na siebie zbyt wiele. Za łatwo się zgadzam i potem bywa, że tego żałuję.

Ugodowiec szuka w kontaktach z ludźmi tego, co łączy. Lubi wspólny mianownik. Wojowniczy osobnik natomiast przygląda się temu, co różni, co dzieli. Szukanie wspólnego mianownika związane jest z tolerancją, z cierpliwością, z przyjmowaniem ludzi takimi, jacy są, nieraz z ich odmiennymi poglądami. Łączy się to z pewną elastycznością przyjmowania tego, co jest trudne, bo czasami następuje szereg trudnych sytuacji i ja się z tym godzę. Mam taką naturę, że raczej się godzę, niż z tym walczę. Staram się jakoś to przyjąć. Ale to są te zagrożenia. To jest ta druga strona medalu. Ja się chcę podobać innym, chcę, żeby mnie lubiano, ale czasami przez to, że nie chcę zawieść innych, mogę nie powiedzieć tego, co naprawdę myślę. Czasami widzę, że to jest wygodnictwo, tchórzostwo. W ważnych sprawach ustąpić dalej nie mogę. Mimo że dążę do pokoju, muszę powiedzieć stop.

Zadaję sobie pytanie, czy jestem błogosławiona? Jeżeli nie podejmuję walki o sprawy naprawdę ważne, to myślę, że tego błogosławieństwa nie mam. Cenię wytrwałość ludzi wojowniczych, którzy prą do osiągnięcia wyznaczonego celu. Ja się tego dopiero uczę. Nie ulegam emocjom, natomiast grzech zaniechania przytrafia mi się często.

W Liście do Efezjan, w rozdziale 6, jest opis wojownika walczącego w Bożej sprawie. Tam są konkretne wskazówki, że mamy wdziąć Bożą zbroję, przepasać biodra prawdą. Ugodowiec i wojownik mają swoje metody, ale o prawdę mamy walczyć wszyscy. Nakładać pancerz sprawiedliwości i hełm zbawienia, używając miecza Sło-

wa Bożego i tarczy wiary. Jest to wspaniały fragment. A w gruncie rzeczy chodzi o to, by być tym dobrym wojownikiem, który używa właściwego oręża. I dziękować za to, że ugodowość łączy się z łaską pokory, z cierpliwością do ludzi, z tym, że jest się nieskorym do gniewu. To jest dobra cecha. Ja za to Bogu dziękuję. Ale proszę Go również, żeby mnie pilnował, ponieważ moja ugodowość może przerozdzić się w lenistwo, w konformizm i w wygodnictwo.

W szkole, w której uczę, uczniowie mają czasami konflikty między sobą i ja, chcąc nie chcąc, muszę w tym uczestniczyć. Staram się rozpoznawać ich temperament, aby właściwie zadziałać i doprowadzić do zgody. Pamiętam taką sytuację, kiedy dwóch chłopców się mocno o coś posprzeczalo, prawie pobiło. Doprowadziłam do tego, że podali sobie rękę na zgodę, ale wiedziałam, że jeden z nich (bardziej sekundalny) wymaga więcej czasu, żeby był w stanie łaskawiej spojrzeć na kolegę. Pod koniec lekcji, po trzech, czterech godzinach zajęć jeszcze raz wzięłam ich obu i powiedziałam: „słuchajcie, czy na pewno jesteście pogodzeni?” Wtedy dopiero obaj szczerze odpowiedzieli twierdząco. Każdy ma inny czas potrzebny na refleksję i na uporanie się ze swoim poczuciem krzywdy.

### **Maja Komorowska**

Na początku chcę podziękować za zaproszenie i możliwość uczestnictwa w tym spotkaniu. Na wstępie chciałabym powiedzieć, że mam świadomość, jak wielka jest różnica między słowem mówionym, a słowem pisanym. Myśl dopowiadamy twarzą, gestem. W mówieniu tak bardzo ważna jest intonacja, rytm, głośność – różne sposoby mówienia. Intonacja uwypukla myśl. W kontakcie z ludźmi emocje przez człowieka przechodzą... przepływają i tym się dzielimy ze słuchającymi. Tego typu spotkania są mi bliskie. Było ich wiele i mam poczucie, że potrafiłam im sprostać.

W pisaniu trzeba być uważnym..., inaczej uważnym, żeby wydobyć myśl i niczym jej nie przesłonić, nie zakłócić. Dlatego jeśli wiem, że będę nagrywana, a potem będę musiała autoryzować tekst, często się na to nie zgadzam, bo wiem, że w gruncie rzeczy trzeba będzie wszystko pisać od początku.

Przykładem tego jest moje spotkanie kiedyś z publicznością w Krakowie, w kościele dominikanów, pamiętam, że było to w stanie wojennym. Przyszły tłumy ludzi. Jeździłam w tym czasie do wię-

zien. Myślę, że tak dużo ludzi przyszło, bo byli zainteresowani tym, co się dzieje, tym, co mogę im powiedzieć. Oczywiście zawsze takie spotkanie łączę z rozmową – i wtedy też na pewno rozmawiałam, ale starałam się przede wszystkim skupić na wierszach, które były mi bliskie, przez które mogłam powiedzieć o tym, co myślę. Wtedy czuliśmy, że spotkanie było ważne, że się udało. Ludzie mi o tym mówili. A potem przesłano mi spisany tekst do autoryzacji i... niestety okazało się, że nie mogłam się zgodzić na jego opublikowanie.

Dlaczego o tym mówię?

Zaczynając to nasze spotkanie, nie zdawałam sobie sprawy, że trzeba będzie ten tekst dla wydawnictwa szkoły autoryzować. Wiedziałam przecież, że powstaje wersja drukowana, ale o tym zapomniałam. Mówiłam tak, jakby to było „tu i teraz”. Nie próbowałam kontrolować precyzyjnie swoich myśli, starałam się po prostu nimi podzielić, mając również na uwadze to, co mówili moi poprzednicy. Przepraszam, za ten długi wstęp, ale wydaje mi się on potrzebny. Potrzebny, żeby wytłumaczyć, dlaczego z tamtej mojej wypowiedzi postanowiłam wybrać do druku tylko niektóre fragmenty, parę ważnych dla mnie myśli.



Maja Komorowska

Mówiono tu o ludziach, którzy swoim życiem skazali się na więzienie, o szukaniu porozumienia między ludźmi – o często ko-

niecznej mediacji, o rodzinie, o tym, jak można rozumieć pokój. I to wszystko oczywiście jest bardzo ważne. Ale, żeby dążyć do pokoju, musimy też wiedzieć, co może go zakłócić, co może być dla niego zagrożeniem.

Mówiąc o tym, muszę się pilnować, żeby nie wejść w sprawy dotyczące ściśle polityki, ale równocześnie czuję, że nie sposób zupełnie oderwać się od tego, bo w gruncie rzeczy stanowią one nieodłączną część naszego życia.

Poruszamy bardzo ważny temat czynienia, budowania pokoju, ale właśnie teraz, gdy o tym mówimy, odbywają się obchody rocznicy Powstanie w Getcie Warszawskim. Byłam tam wczoraj jeszcze późnym wieczorem, brałam udział w tych uroczystościach. Nie można zapomnieć, że to ludzie ludziom zgotowali. A przecież zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże. Co się z nami stało... co się z nami dzieje? Myślę, że nieustannie musi nam towarzyszyć świadomość, że w człowieku jest nie tylko dobro, ale i zło.

Oczywiście, możemy zamknąć się tylko w swojej własnej rodzinie, ale wydaje mi się, że brak zainteresowania tym, co dzieje się wokół nas, wcześniej czy później odbije się na naszych dzieciach, na ich wychowaniu. Bardzo ważne wydaje mi się rozbudzanie w nich zainteresowania sprawami społecznymi. Czasami trzeba umieć, nawet jeśli to jest trudne i niewygodne – umieć odpowiedzieć na stawiane pytania i problemy związane z drugim człowiekiem, postarać się sprostać wyzwaniom czasu, w którym żyjemy.

Dlatego też zdecydowałam się na wywiad – w Wielką Sobotę w Gazecie Wyborczej pt. „Bóg, który daje wolność”. Rozmawiał ze mną Tadeusz Sobolewski. Bliskie mi są myśli ludzi, którzy mówili przede mną na temat sytuacji społecznej, sytuacji w kościele: o. Ludwik Wiśniewski, profesor Stanisław Luft, o. Tomasz Dostatni, o. Zięba, Halina Bortnowska.

Poruszył mnie także list arcybiskupa Henryka Muszyńskiego pt. „Uczciwy głos ojca Wiśniewskiego” (19 marca GW, przedruk z Tygodnika Powszechnego.) Ksiądz Arcybiskup zwraca nam uwagę na to, żeby nie unikać rozmów z ludźmi, którzy inaczej myślą niż my: „Bo za tych ludzi też jesteśmy odpowiedzialni. Musimy się otwierać na tych, którzy szukają i myślą inaczej. Kościół nie może być zamkniętą twierdzą. Nie może się składać z ludzi, którzy są zadowoleni z siebie i którzy nie widzą, ile wokół jest nieszczęścia i bólu”. Ten list uświadamia nam, ile jest do naprawienia w nas samych. Musimy to

widzieć, rozumieć i w miarę naszych możliwości starać się na to reagować.

Chciałabym, żebyśmy się nie przyzwyczajali do tego, że trudne sprawy mogą pozostać nierozwiązane. Musimy ciągle zadawać sobie pytania i ciągle szukać odpowiedzi – co jeszcze można zrobić, co można poprawić. Powinniśmy po prostu zrobić wszystko, co potrafimy, co jest możliwe.

Mam potrzebę mówienia o tym, co mnie najbardziej niepokoi. Przecież wiemy, że to, jaka będzie Polska, zależy od młodzieży, od tego, jak będą uczeni w szkole, jak będą uczeni religii, jakich kazań będą słuchać, jacy ludzie będą ich otaczali, czy wzbudzą ich szacunek, czy będą dla nich autorytetem.

Ciągle słyszę, że dużo młodych ludzi odchodzi od Kościoła. Dyskutuje się o wielu sprawach, ale myślę, że uczenie religii, sposób jej uczenia to nasza wielka odpowiedzialność. Cieszyliśmy się, że religia wróciła do szkół, a dziś może trzeba się zastanowić, co teraz dla tych młodych ludzi jest lepsze: czy religia w szkołach czy w kościele. Wtedy na religię przychodzili wszyscy, którzy chcieli. Nie można nikogo zmuszać, naciskać. Trzeba być cierpliwym – trzeba dać im czas. Inaczej można zrobić krzywdę.

Do uczenia religii trzeba wybierać ludzi najbardziej utalentowanych. Umiejętność mówienia to dar od Boga. Nie każdy może uczyć religii. Trzeba rozumieć dzieci, młodzież, trzeba być dobrym psychologiem. Powinni się tym zajmować ludzie, którzy nie będą musieli szukać innych źródeł utrzymania, którzy naprawdę skupią się nad tym, co robią, więc ich wynagrodzenie musi być wystarczające, żeby utrzymali siebie i swoje rodziny. Musimy szukać właściwych ludzi do uczenia, w tym uczenia religii – właściwych ludzi do tego kontaktu z młodzieżą. Brak takich nauczycieli może zrobić krzywdę na całe życie.

Tak, mamy dążyć do pokoju i swoją obecnością pokój wprowadzać. Ale czy możemy odciąć się od tego, co było? Na przykład, od stanu wojennego, od więzień rozrzuconych po całej Polsce, od pracy Prymasowskiego Komitetu Pomocy Internowanym i Rodzinom. Nie da się zapomnieć o Grzesiu Przemyku, zamordowanym synu Basi Sadowskiej, która pracowała właśnie w tym naszym Komitecie (chętnie odwołujemy się do martyrologii, nie będę o tym teraz mówić). Pamiętając wszystko, co się działo w tych trudnych latach, musimy starać się panować nad swoimi emocjami. Nega-

tywne myślenie może łatwo doprowadzić do skrajnych uczuć – do nienawiści. A nienawiść może być bardzo zaraźliwa. Musimy ciągle dokonywać wyborów.

Jeżdżąc do więzień w stanie wojennym, wzywana byłam na przesłuchania. Wiedząc, co się stało z Basią Sadowską i jej synem, zadawałam sobie i swojemu synowi pytanie, czy mam przerwać moje jazdy, czy mam prawo to robić – mając świadomość, że gdy działam w taki sposób, to narażam moich bliskich.

W tym czasie potrafiliśmy być silniejsi, bo czuliśmy wsparcie innych ludzi – pomagaliśmy sobie wzajemnie. Na przykład, gdy jeździłam pociągiem, a nie samochodem, konduktorzy zamykali mnie w przedziale, żeby nic złego mi się nie stało. Bywali też inni ludzie – ktoś spalił mi samochód... itd. itp. Ale czy mogłam przypuszczać, że na przykład objeżdżając polskie więzienia będę tak dużo Pisma Świętego dawać strażnikom? Wcześniej było ono tylko w paczkach dla internowanych, obok żywności, lekarstw i innych potrzebnych rzeczy. Ale potem strażnicy sami przychodzili i prosili żeby im też przywieźć Pismo Święte. Pilnowałam tego. Dlaczego? No choćby dlatego, że wielu z nich też było przywiezionych w nocy tak samo jak internowani.

Poza tym nie można było zapomnieć o innych więźniach, tych niepolitycznych. Kierownictwo więzienia kazało im nosić te paczki przywiezione przez nas dla internowanych. To mogło wzbudzać niechęć. Pamiętam, jak na początku na mnie patrzyli. Potem to się zmieniło. Staralam się pamiętać o nich. Chętnie przyjmowali papierosy.

Nawiązując do tematu naszej rozmowy – dążąc więc do pokoju, musimy pamiętać, jak ustrzec siebie, swoich bliskich i tych, na których mamy wpływ, od negatywnych uczuć, które – jak mówiłam – łatwo przeradzają się w nienawiść. A przecież wiemy z historii, że często takie uczucia zaczynają się niewinnie. Bardzo niebezpieczny jest fanatyzm, zarówno religijny jak i polityczny. Broniąc ważnych wartości, w które wierzymy, możemy łatwo stać się ich niewolnikami.

Im starsza jestem, tym ważniejsze wydaje mi się **bycie uważnym**.

W wierszu „Drobne ogłoszenia” Wisława Szymborska mówi, o umiejętności współodczuwania. W s p ó ł - c z u c i e nazywa wyobraźnią serca. Ciągle musimy się wsłuchiwać, co człowiek musi zrobić w **zadanej** mu sytuacji.

## Dyskusja

### Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Pokój w rodzinie. O tym chciałam powiedzieć parę słów. Mam dwie córki. Gdy starsza miała około 16-17 lat, trudno było nam do niej dotrzeć. Na nasze uwagi reagowała płaczem. Na rekolekcjach dla małżeństw, które sami przeszliśmy jako uczestnicy, a potem współprowadziliśmy, poznaliśmy wartość pisanych do siebie listów, listów pisanych z sympatią do odbiorcy. Wykorzystaliśmy je w naszych wzajemnych relacjach z naszą córką. Gdy były jakieś konfliktowe sytuacje, pisaliśmy listy, uzasadniając naszą prośbę, równocześnie wyrażając w nich wiele naszej miłości do naszej córki. Pamiętam naszą radość, gdy na napisany list dostaliśmy od naszej córki odpowiedź, również na piśmie. Zachowaliśmy go na pamiątkę. Potem parokrotnie radziliśmy tę metodę innym rodzicom i – jak sygnalizowali nam – z dobrym skutkiem.

Jeszcze druga sprawa, o której chciałam wspomnieć. Chcieliśmy mieć pięcioro dzieci. Takie było nasze nastawienie. Takie marzenie. Pan Bóg dał tylko dwie córki, ale pozytywne nastawienie na dzieci zostało. W naszym domu zawsze było pełno dzieci – koleżanek i kolegów naszych córek. Jest tak do dziś. Kiedy jedziemy na działkę, to wnuczki nasze zapraszają koleżanki. Cieszymy się, że lubią do nas przyjeżdżać. Co jest najważniejsze w tych wzajemnych relacjach? Sądzę, że miłość. Dzieci wiedzą, że my je kochamy. Lubimy z nimi rozmawiać, a najważniejsze – lubimy ich słuchać. Wiele się od nich uczymy. Relacje oparte na wzajemnej sympatii niosą pokój.

Ostatnią sprawą, którą chciałam poruszyć, jest to, że trzeba uważnie patrzeć wokół siebie i tam, gdzie widzimy, że coś się źle dzieje, reagować, ale tak reagować, żeby nie wzbudzać nienawiści i niechęci, ale pokazywać drogi wyjścia.

Na koniec poproszę o wypowiedź panią Mariannę Łacek, która przyjechała na nasze spotkanie specjalnie z Australii. Jest autorką wielu wypowiedzi do naszych Konwersatoriów, które otrzymujemy od niej drogą e-mailową. Czytamy je wszyscy z dużym zainteresowaniem. Dziękujemy jej za to.

### **Marianna Łacek**

Przede wszystkim czujemy się z mężem zaszczytzeni zaproszeniem na dzisiejsze Konwersatorium. Wprowadzanie pokoju połączone jest prawie zawsze z rozwiązywaniem konfliktów. Konflikty w rodzinie, w pracy, w społeczności są nie do uniknięcia.

Na początek parę słów o nas. W Australii mieszkamy od ponad 40 lat i prawie tak samo długo jesteśmy małżeństwem. Wychowaliśmy czwórkę dzieci i trudno powiedzieć, że obyło się to bez konfliktów. Na szczęście konflikty umiał zawsze rozwiązywać mój mąż. Ja jestem spontaniczna, wybuchowa, działam natychmiastowo. Mój mąż natomiast jest człowiekiem rozważnym, mądrym, potrafiącym łagodzić i rozładowywać narastające burze. Dzieci to w tej chwili dorośli już ludzie. Urodzili się oczywiście w Australii i tam pokończyli studia, ale czują się Polakami. Dwoje nawet osiedliło się w Polsce. Cieszy nas szczególnie to, że wszyscy są praktykującymi katolikami. Wychowaniem religijnym nie można obarczać księży czy katechetów. Kościół to my, zgromadzenie wiernych. Dlatego największą rolę, naszym zdaniem, ma tutaj do spełnienia dom i rodzina.



Marianna Łacek

Pracując w australijskim szkolnictwie, wielokrotnie musiałam szukać rozwiązywania konfliktów, które były dla mnie czymś zupełnie nowym. Pamiętam, że kilka lat temu chłopcu z mojej klasy maturalnej języka angielskiego groziło skreślenie z listy uczniów. Nie zaliczył egzaminu z chemii i tym samym brakło mu wymaganej liczby przedmiotów maturalnych. Wiedziałam, że jest on z pochodzenia Indonezyjczykiem. Ponieważ tego języka nie było w naszej szkole, mógł zapisać się na korespondencyjny kurs indonezyjskiego, pod warunkiem że ktoś z nauczycieli podejmie się roli jego opiekuna. Zgodziłam się bez wahania, chociaż wymagało to dodatkowych godzin pobytu w szkole, za które nie otrzymywałam żadnego wynagrodzenia.

Chłopiec pracował solidnie. Wykonywał pod moją opieką przysyłane raz w tygodniu zadania, przygotowując się do matury, którą miał zdawać w ośrodku korespondencyjnym. Próbna matura była ostatnim jego szkolnym egzaminem. Trwała ponad 3 godziny – nagrywany na taśmę egzamin ustny oraz 3 części egzaminu pisemnego. Kiedy już po godzinie 19.00 kończył się mój długi, pracowity dzień, chłopiec zapytał, czy mnie ktoś za to płaci, a jeśli nie, to dlaczego ja to robię. Nigdy się nie zastanawiałam. Rzeczywiście, dlaczego ja to robię? „Wiesz – powiedziałam mu – chyba dlatego, że ja pochodzę z kraju, którego kultura wymaga, aby przyjść z pomocą drugiemu człowiekowi, nawet nie czekając, aż on o to poprosi, a na dodatek jestem katoliczką i moja religia też nas tak uczy”. Chłopiec pomyślał chwilę. „A wie pani co, ja mógłbym panią zabić i poszedłbym prosto do nieba, bo pani nie jest muzułmanką. Moja religia mnie tak uczy”. Oniemiałam ze zdumienia. Jestem sama w szkole z dziewiętnastoletnim chłopcem, który mówi takie rzeczy, patrząc mi prosto w oczy. – „Ale przypuszczam, że tego nie uczynisz” – pytam go. „Nie. Pani mnie pewnie teraz nienawidzi.” – „Nie, nawet nie myśl o tym, że miałabym cię nienawidzić. Moja religia uczy mnie, że mam cię kochać jako człowieka, nawet jeśli byłbyś moim nieprzyjacielem. Nie jest sztuką kochać przyjaciół, ale kochać nieprzyjaciół, czyli swoich wrogów, to wymaga dużego wysiłku”.

Po maturze chłopiec przyszedł mi podziękować. Tamta rozmowa widocznie nie dawała mu spokoju, bo zapytał: „Czy pani uważa, że moja religia jest gorsza od pani religii?” – „Nie, tak nie uważam. Wierzę, że moja religia jest prawdziwa. Staram się przestrzegać jej zasad. Przestrzegaj i ty swojej. Poznaj ją dokładnie, a na

pewno nie znajdziesz tam niczego, co usprawiedliwiłoby agresję.” Chłopiec mi podziękował, a odchodząc, dodał jeszcze: „Będę musiał więcej poczytać na temat religii katolickiej.”

Do szkoły, w której pracuję, uczęszcza 1300 uczniów w wieku 12-19 lat. Pochodzą oni z różnych środowisk. Reprezentują około 70 różnych języków etnicznych, którymi porozumiewają się w domu. Oczywiście językiem obowiązującym jest angielski. Bardzo często obok siebie w klasie siedzą uczniowie ze skłóconych krajów, uwikłanych w zbrojne konflikty. Potrzeba dużo wysiłku i taktu ze strony nauczycieli, aby zachować w szkole spokój i harmonię. Nauczyciele są bardzo przyjaźnie nastawieni do uczniów, a uczniowie respektują swoich nauczycieli.

Oprócz tego, że mamy rodziny i pracujemy, każdy z nas obraca się w pewnej społeczności, wśród znajomych i przyjaciół. Jest jednak zasadnicza różnica między Polakami mieszkającymi w kraju i na emigracji. Tutaj większość z nas nie ma dalszej rodziny, która mogłaby pomóc, interweniować w sytuacji kryzysowej. Bardzo często polegać musimy tylko na sobie. Na pewno cementuje to bardzo rodzinę, ale również wystawia ją na próbę. Rolę dalszej rodziny przejmuje często grono najbliższych przyjaciół, którzy chętnie służą pomocą – również i w rozwiązywaniu konfliktów. Często, nie mając fachowego przygotowania mediatorów, kierujemy się intuicją i zdrowym rozsądkiem, jeśli tego wymaga sytuacja konfliktowa, z którą przyszło nam się zmierzyć.

Pamiętam, w jeden taki wietrzny, zimowy wieczór, poderwało nas na nogi mocne pukanie do drzwi. Wpada nasza bliska znajoma i rozhisteryzowanym głosem krzyczy: „biegli za mną! gonili! gwałcili!” Pobiegłam szybko do kuchni, żeby przynieść jej coś do picia. Wracam ze szklanką soku i patrzę, a mój mąż ją strofuje. Byłam zdziwiona. Wydawało mi się, że powinien ją jakoś uspokoić, pocieszyć, zapewnić, że jest bezpieczna, a on stoi nad nią i prawi jej kazanie: „Jak mogłaś! To nie jest w porządku! Tak nie wolno!” – Okazało się, że pokłóciła się z mężem w samochodzie. Kiedy stanął na czerwonych światłach, ona po prostu wyskoczyła z auta i przybiegła do nas. Miała pretensje do męża, że pozwolił jej wyskoczyć, że nie pobiegł za nią. Była noc, przecież mógł ją ktoś gonić, pobić, zgwałcić. „To co, miał zostawić samochód na skrzyżowaniu i biec za tobą?” – kontynuował mój mąż...



Marianna i Bronisław Łackowie

Ja tymczasem przeszłam do drugiego pokoju, żeby zatelefonować do jej męża. Najpierw uspokoiłam go, że ona jest u nas i nic jej się nie stało, ale i on dostał ode mnie swoją porcję kazania: „Jak mogłeś doprowadzić ją do tego, że musiała wyskoczyć z samochodu? Czy sobie nie zdajesz sprawy, na co ją naraziłeś? Tak się nie robi!...” Zamiast użalać się nad każdym z nich z osobna, przyznawać im rację, a tym samym doprowadzać do jeszcze większego zaożnienienia się konfliktu – instynktownie wybraliśmy inną taktykę. Należało pokazać i jemu, i jej błędy, które każde z nich popełniło. Odprowadziliśmy znajomą do jej domu, gdzie czekał mąż z przeprosinami. Mimo późnej pory, skończyło się kawą i butelką wina. Konflikt został zażegnany. Tego typu przypadków mieliśmy wiele...

W Australii ludzie pochodzą z wielu różnych krajów. Niektórzy zbyt słabo znają język angielski, żeby do siebie nawzajem zagaść. Zawsze myśleliśmy, że w Polsce jest inaczej. Nawet obcy ludzie byli przyjaźnie nastawieni do siebie. Niestety, spotkało nas rozczarowanie. Po upływie kilku lat od naszej ostatniej bytności w Polsce dochodzimy do wniosku, że jednym z głównych problemów także i w naszej Ojczyźnie jest izolacja. Brakuje grup społecznych, zniknęła spontaniczność. Wczoraj jechaliśmy pociągiem

z Poznania do Warszawy. Cały wagon wypełniony podróżnymi. Zajęte wszystkie miejsca. W ciągu kilkugodzinnej podróży w wagonie panowała kompletna cisza. Nikt z nikim nie rozmawiał. Nikt do nikogo nie zagadał. Nikt nie zażartował ... Jeszcze nie tak dawno byłoby to nie do pomyślenia. Sąsiad zagadałby do siedzącego obok sąsiada. Wywiązałyby się przyjemna pogawędka...Rozmowy w pociągu mają coś ze spowiedzi. Opowiada się o swoich problemach człowiekowi, który na pewno nie zrobi z tego użytku, bo drugi raz najprawdopodobniej się już tego człowieka nie spotka. Rozmowa taka rozładowuje emocje, buduje więzi między ludźmi i jest także sympatycznym przeżyciem. Jeśli zamkniemy się w swoich wygodnych czterech ścianach, to zagubimy sedno swojej kultury, która zawsze była otwarta na drugiego człowieka.



*Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania  
dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy  
królestwo niebieskie*



## Cytaty

### **Wojciech Jędrzejewski. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości (fragmenty)**

Tekst Księgi Mądrości mówi o chęci wypróbowania sprawiedliwego, przetestowania jego cnót. Eksperyment zostaje podjęty w imię podejrzania, że owa sprawiedliwość jest grą pozorów, udawaniem, a jej ukrytym celem – chęć wywyższenia się nad innych. Niemożliwe, żeby tak żyć naprawdę, bez zakamuflowanych, plugawych intencji!

Tam, gdzie pojawia się płomyk, na jaw wychodzą rzeczy dotąd ukryte. Trzeba zgasić niepokojące światło, które udowadnia, że jest możliwe to, co zostało uznane za nierealne: szlachetność, ofiarność, nonkonformizm. Podejrzliwość, sceptycyzm, ironia, dyskredytowanie intencji – oto formy prześladowania, których doświadczają poszczególni chrześcijanie lub Kościół jako społeczność. Dlaczego jednak błogosławionymi są ci, których dotyka krzywdząca, deprecjonująca ocena ich sprawiedliwości? Mogą oni wziąć na siebie nieprawość bliźniego. W chwili, kiedy nie jesteśmy już świadkami dziejącego się zła, lecz dosięga nas ono jako ofiary, mamy szansę odkryć własne miejsce na krzyżu. To jest najpewniejsza i najkrótsza droga do wzięcia krzyża wraz z naszym Mistrzem.

Święty Augustyn traktuje ostatnie błogosławieństwo jako najwznioślejsze – szczyt, ku któremu prowadzą wszystkie wcześniejsze. Zbawiciel chce nas wychować do współludziału w Jego odkupieńczej miłości: tej, która zbawia, a nie potępia. Mogą to czynić jedynie ludzie ubodzy duchem, zdolni do smutku, niosący pokój, ci si, miłosierni. Oni mieliby stać się przedmiotem ataku zła jako niewinni. W nich dokonywałoby się dopełnienie *braku udreń Chrystusa* – przez miłosierną miłość, pokutę, modlitwę i oddawanie życia za braci. W ósmym błogosławieństwie Jezus zaprasza swój Kościół do współcierpienia razem z Nim z powodu grzechu. Wszelka nieprawość domaga się odkupienia: wzięcia na siebie winy przez tych, którzy zgodzili się być „współkrzyżowani” z Chrystusem.

Błogosławieństwo Jezusa każe nam zastanowić się nad naturalnym odruchem, aby zawsze dementować fałszywe zarzuty, imputowane złe intencje. Konieczność obrony przed oczernieniem wydaje się nam zbyt oczywista. Nie powinno to stanowić normy. Każdorazowo, gdy doświadczamy prześladowań, musimy rozstrzygać, jak postąpić. Zabrać głos, czy zamilknąć. Jezus wobec Piłata nie odpowiada na zarzuty, wobec zaś faryzeuszy oskarżających Go o konszachty z Belzebubem broni się, używając mocnych argumentów. Jest zatem sprawą sumienia każdego z nas, jak zachować się, gdy nasza sprawiedliwość zostaje poddana próbie. Czasem więcej zła przynosi zażarta polemika czy uporczywe drażnienie sprawy niż milczenie. Kiedy indziej niezabieranie głosu oznaczałoby współudział w złu i przyczynienie się do zgorzenia. Ósme błogosławieństwo zadaje nam trud mądrego i wnikliwego rozstrzygnięcia, co zrobić z doznaną niesprawiedliwością.

Niezależnie jak postąpimy w konkretnej sytuacji, powinniśmy badać intencje, jakie nami kierują. Nigdy nie może chodzić o wygranie walki. W sytuacji ucisku prześladowca już jest ofiarą własnej przewrotności, już jest przegrany. Rzecz jedynie w tym, by kłamstwo nie zostało wzięte za dobrą monetę przez ludzi, dla których mogłoby się stać przyczyną zgorzenia.

### **Błogosławieni męczennicy hiszpańscy**

O. Wincenty Soler i jego sześciu towarzyszy oraz ks. Emanuel Martín Sierra, męczennicy hiszpańscy, którzy ponieśli śmierć w lipcu i sierpniu 1936 r. w Motril, w pobliżu Granady w Hiszpanii, to tylko kilku z wielotysięcznej rzeszy duchownych i wiernych świeckich, zabitych «z nienawiści do wiary» w czasie prześladowań Kościoła w latach hiszpańskiej wojny domowej. Jan Paweł II beatyfikował poprzednio (25 października 1992 r., 10 października 1993 r. i 1 października 1995 r.) trzy grupy męczenników hiszpańskich z tego okresu – łącznie 178 osób. Augustianie z Motril już od 1931 r., to jest od powstania republiki, narażeni byli na szykany i prześladowania ze strony republikańskich milicji, działających za przyzwoleniem władz. Po zwycięstwie wyborczym Frontu Ludowego w lutym 1936 r. i zbrojnym wystąpieniu gen. Franco w lipcu tego roku, które dało początek wojnie domowej, na terenach kontrolowanych przez republikanów przystąpiono do fizycznej

eliminacji duchownych. Augustianie z Motril nie opuścili miasta mimo narastającego zagrożenia, napaści na klasztor, zamknięcia kościołów i zakazu odprawiania Mszy świętej 25 lipca rano pięciu z nich – ojcowie Deogracias Palacios, Leon Inchausti, Józef Rada i Julian Moreno oraz brat Józef Ryszard Díez – zostało siłą wyprowadzonych z klasztoru i rozstrzelanych na ulicy. Następnego dnia zginął o. Wincenty Pinilla, który schronił się w jednej z parafii miasta: został zastrzelony wraz z proboszczem, ks. Emanuelem Martinem Sierrą na dziedzińcu kościoła. O. Wincenty Soler, który znalazł schronienie w zaprzyjaźnionym domu, został aresztowany 29 lipca na skutek donosu. W więzieniu dał świadectwo męstwa i niezłomnej wiary, prowadził wspólną modlitwę, spowiadał, zdołał nawet nawrócić jednego ze współwięźniów. Rozstrzelano go wraz z osiemnastoma innymi osobami o świcie 15 sierpnia. Do ostatniej chwili błogosławił i udzielał rozgrzeszenia towarzyszom.



## KONWERSATORIUM LXIV

(18 maja 2013)

### **Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie**

**Prowadzący:** ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Emmanuel Hakizimana, obywatel Rwandy, koordynator programu pomocy uchodźcom przy Zgromadzeniu Ojców Jezuitów; Halina Bortnowska, publicystka, filozof, teolog, współzałożycielka hospicjum w Nowej Hucie; Krzysztof Dowgiałło, architekt; Siostra Rafaela (Urszula Nałęcz) ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża (z Lasek) pracująca z niewidomymi dziećmi w Rwandzie.

#### **Ks. Adam Zelga**

Serdecznie witam! Kontynuujemy przygodę z ośmioma błogosławieństwami. Być może Pan Jezus mówił je według jakiejś hierarchii. Kiedy zastanawialiśmy się z panią Rektor i szukaliśmy panelistów – mieliśmy trudności. To jednak okazało się łatwe w momencie, gdy oddaliśmy sprawę, z pełnym zawierzeniem, w ręce Bożej Opatrzności. I cztery znakomite osoby przyjęły zaproszenie. Jest wśród nich Emmanuel Hakizimana z Rwandy, którego świadectwo przeczytam.



Ks. Adam Zelga z panelistami i słuchaczami

### **Siostra Rafaela**

Chciałabym podzielić się z państwem naszymi doświadczeniami z pracy misyjnej. Może nieco przewrotnie w stosunku do zaplanowanego tematu chciałabym powiedzieć o ludziach, którzy cierpią z powodu niesprawiedliwości. Na pewno to, co powiem, to nie są informacje nowe, odkrywcze, ale ukazują problem dyskryminacji, cierpienia, niejako od środka. Zilustruję to na przykładach z życia zwykłych ludzi, którzy muszą się z nim zmierzyć niemal każdego dnia.

W ciągu kilkunastu ostatnich lat pracowałam wśród niewidomych w trzech krajach pozaeuropejskich: przez siedem lat w Indiach, następnie cztery lata w Republice Południowej Afryki i ponad siedem, aż do chwili obecnej, w Rwandzie. Indie są pierwszą placówką misyjną naszego Zgromadzenia, natomiast ośrodek szkolno-wychowawczy dla dzieci niewidomych w Rwandzie jest pierwszą szkołą dla dzieci niewidomych w tym kraju. W każdym z tych trzech krajów, w którym pracowałam, zetknęłam się z wieloma przejawami nierównego traktowania, z dyskryminacją i tym samym z wielkim cierpieniem, które obejmowało różne grupy ludzi lub dotyczyło lokalnych społeczności.



Siostra Rafaela

I tak, w Indiach wielu ludzi cierpi z powodu podziałów kastowych. Ponad 300 kast istnieje w tym kraju i nie jest to liczba ostateczna, bo ciągle tworzą się nowe, mimo że w latach 70. ubiegłego wieku premier Indira Gandhi specjalnym zarządzeniem zlikwidowała podziały kastowe. Zarządzenie pozostało na papierze, a życie podąża własnym torem. System kast istnieje w Indiach od tysięcy lat i chyba jest już zakodowany w genach mieszkańców tego kraju. Wynikiem podziałów kastowych są poważne konsekwencje społeczne. Jeżeli, na przykład, ktoś zamierza zawrzeć związek małżeński z osobą z niższej kasty, może być wykluczony z rodziny, a niejednokrotnie jest pozbawiony życia przez najbliższych. Osoby należące do wyższych kast nie kontaktują się towarzysko z członkami niższej kasty, nie przyjmują pokarmów przygotowanych przez nich, zdarzają się nawet reakcje psychosomatyczne, jeśli przypadkowo znajdą się przy wspólnym stole. Bardziej liberalni członkowie wyższych kast dopuszczają współpracę i kontakty towarzyskie z jednym wyjątkiem – małżeństwo musi być zawarte tylko w obrębie tej samej kasty. Niestety, problemy związane z przynależnością kastową nie ominęły Kościoła lub raczej kleru. Zdarza się, że pro-

boszczem parafii jest członek wyższej kasty, a pracuje wśród wykluczonych, lub proboszcz z niższej kasty pracuje wśród ludzi należących do jednej z wyższych kast. Poczucie wyższości kastowej jest silniejsze niż potrzeby duszpasterskie. Cierpią obie strony – i proboszcz, i parafianie.

Fundamentalizm religijny jest drugim bardzo bolesnym znakiem braku tolerancji lub dyskryminacji i tym samym cierpienia. Istnieje niepisane prawo, że tylko hinduista jest prawdziwym obywatelem Indii. Fundamentalisci hinduistyczni organizując kruczajaty, przemierzają kraj wzdłuż i wszerz, przekonują ludzi do głoszonych przez siebie idei. Tego rodzaju działania trafiają na podatny grunt, zwłaszcza w środowiskach wiejskich, podsycając niechęć, a nawet nienawiść do wyznawców innych religii. Często zdarzają się bratobójcze walki, prześladowanie chrześcijan i mahometan, podpalenia, zabójstwa. Niehinduiści nie mają prawa mieszkać i pracować w Indiach. Na przykład, dwa lata temu w stanie Orisa spłonęło kilka wiosek zamieszkałych przez chrześcijan. Cudzoziemcom utrudnia się lub odmawia wydania wizey pobytowej. Oficjalnym motywem odmowy jest jednak mało znaczący powód.

Innym trudnym do rozwiązania problemem jest sprawa posagu, czyli daru, który rodzina narzeczonej musi przekazać rodzicom chłopca przed ślubem. Zwykle wysokość posagu jest wynikiem negocjacji prowadzonych przez przedstawicieli obu rodzin, ale jeśli po ślubie okazuje się, że przekazany posag nie satysfakcjonuje rodziny chłopca, wymagania rosną, a nawet może dojść do tragedii – okaleczenia lub śmierci kobiety.

Innym niemożliwym do rozwiązania problemem są małżeństwa aranżowane przez rodziców. Niekiedy młodzi spotykają się po raz pierwszy podczas ceremonii ślubnej. Bardzo często szybko następuje formalny rozwód lub nękania psychiczne czy fizyczne dziewczyny, które kończą się okaleczeniem lub śmiercią.

W latach 2002-2006 pracowałam w Republice Południowej Afryki w prowincji północnej w ośrodku szkolno-wychowawczym dla dzieci niewidomych, znanym pod nazwą Szkoła w Siloe. Mieszkańcy RPA muszą zmierzyć się z nieco innymi problemami niż mieszkańcy Indii. Jednym z nich są konsekwencje wieloletniej dyskryminacji rasowej i apartheidu: brak zaufania, zamknięcie się w sobie, poczucie mniejszej wartości, niższy poziom wykształcenia,

niższy standard życia i tym podobne. W czasach apartheidu w latach 1948-1994 tworzone osobne szkoły dla dzieci rasy białej, najslabsi nauczyciele byli kierowani do szkół dla rdzennych Afrykańczyków. Czarni uczniowie nie mieli dostępu do szkół dla białych, ani do studiów uniwersyteckich. Po upadku apartheidu sytuacja się zmieniła. Obserwuje się różne zachowania, nie tylko jednostek, ale także urzędników na niższych szczeblach władzy. Jest to jakby rodzaj rewanżu. Biali są pozbawiani odpowiedzialnych stanowisk w zakładach pracy, pozbawiani prawa własności, a nawet deportowani z kraju. Problem braku tolerancji oficjalnie nie istnieje, ale drażni życie społeczne.

Innym problemem jest wielowyznaniowość. Ciągłe powstają nowe wspólnoty wyznaniowe, tak zwane kościoły niezależne, przynależące się do chrześcijaństwa, ale właściwie bardzo luźno z nim związane. Założyciele lub aktywni działacze tych wspólnot są przeświadczeni o posiadaniu pełnej prawdy i wobec tego odnoszą się do wyznawców innych religii z lekceważeniem lub wrogością.

Bardzo często spotykanym schorzeniem w RPA jest albinizm. Niekiedy kilkoro dzieci w tej samej rodzinie cierpi z tego powodu. Albinosi niechętnie przyjmowani są do szkół, mają trudności ze znalezieniem pracy, aktywnym włączeniem się w życie społeczne. Przyczyną takiego stosunku do albinosów są zabobony, opinie szamanów, tradycyjne wierzenia.

I wreszcie problem AIDS. Choroba ta sieje spustoszenie w wielu rejonach RPA. Jest to jednak temat tabu. Nikt nie odważy się przyznać, że on sam lub ktoś z rodziny jest nosicielem HIV lub jest chory na AIDS, bo natychmiast znajdzie się w izolacji. Nawet gdy ktoś umiera na AIDS, rodzina podaje inną chorobę jako przyczynę zgonu.

Od 2006 roku pracuję w Rwandzie w prowincji południowej, w najbiedniejszym regionie tego kraju, gdzie większość ludzi nie ma możliwości pracy zarobkowej, a utrzymuje siebie i rodzinę z uprawy małego kawałka ziemi. Dzięki pomocy finansowej polskiego MSZ w 2008 roku otworzyliśmy w Kibeho pierwszy w tym kraju ośrodek szkolno-wychowawczy dla dzieci niewidomych. W tym miejscu należy wspomnieć, że niemal natychmiast po uzyskaniu przez Rwandę niepodległości ujawniły się tam bardzo mocno różnice etniczne, które stały się powodem wielokrotnych za-

mieszek, a wreszcie ludobójstwa w 1994 roku, którego ofiarą padło w ciągu kilku miesięcy ponad milion osób. W samym Kibeho straciło życie więcej niż 25 tysięcy ludzi. Ci, którzy przeżyli, do dziś nie mogą się dźwignąć wewnątrznie. Żyją bez nadziei, smutni, z niezagojonymi ranami w sercu. Każda rocznica ludobójstwa otwiera je na nowo. Dochodzi do tego problem współistnienia na tym samym terenie rodzin zabójców i ofiar. Brak jest opartej na wierze motywacji do zmiany wzajemnych stosunków.

Chrześcijaństwo istnieje tu od niedawna – nieco ponad sto lat. Pobożność opiera się raczej na emocjach bez solidnych podstaw wiary i etyki. Ponadto część kleru niestety włączyła się czynnie w ludobójstwo lub zachowywała się biernie, być może z lęku o własne życie i bezpieczeństwo. Podważyło to wiarygodność duszpaste-rzy w oczach ludzi świeckich.

Wybierając Kibeho jako miejsce dla naszego ośrodka, chcieliśmy przywrócić tym ludziom nadzieję, bez której życie traci sens, odwrócić uwagę od siebie i swojego cierpienia, a skierować ją ku innym, a także pomóc im materialnie, dając zatrudnienie.

W Rwandzie żyje przeszło 20 tysięcy dzieci niewidomych na 11 milionów mieszkańców, ale tylko 250 ma możliwość nauki szkolnej. Jak już wspominałam, niepełnosprawność, a szczególnie ślepotą postrzegana jest tam jako klątwa przodków. Posiadanie dziecka niewidomego izoluje rodzinę od społeczności, dlatego szczególnie na wsi rodzice ukrywają dzieci przed dalszą rodziną i sąsiadami. Zdarza się, że dziecko trzymane jest w komórce razem ze zwierzętami. A jeszcze trudniejsza jest sytuacja dzieci dotkniętych albinizmem, z którym łączy się poważne uszkodzenie wzroku. Do niedawna były one przeważnie zabijane przez najbliższych i sprzedawane jako dawcy organów.

Dzieci niewidome przychodzące do nas pochodzą z rodzin, które żyją na granicy ubóstwa lub poniżej, więc zwykle są bardzo zaniedbane fizycznie i umysłowo, niedożywione, cierpią na chorobę głodową lub inne choroby związane z ubóstwem. Obecnie w naszym ośrodku przebywa 112 wychowanków, dziewczynek i chłopców, w tym 9 albinosów, ale kilkanaścioro nowych czeka na przyjęcie w styczniu, gdy rozpocznie się nowy rok szkolny. Dlatego mimo problemów finansowych zdecydowałyśmy się na rozbudowę szkoły i przygotowanie kilku pomieszczeń na szkolenie za-

wodowe, aby każdy absolwent naszej szkoły miał możliwość rozpocząć nowe życie i zarabiać na swoje utrzymanie. W naszych ośrodkach w Rwandzie, podobnie jak w Indiach i w RPA, ślepotą jest jedynym warunkiem, aby dziecko mogło zostać przyjęte, niezależnie od przynależności etnicznej, wyznania, kasty itd. Oprócz nauki szkolnej, chcemy przywrócić im dzieciństwo, poczucie bezpieczeństwa, radość, świadomość, że są kochane, że do kogoś należą. Pomagamy budować szacunek do samego siebie i do innych ludzi, likwidować nieufność i lęk, a wszystkim wpoić trwałe zasady etyczne. Staramy się też, by dzieci brały czynny udział w obchodach różnych uroczystości, a przez to promowały niewidomych, zmieniając obiegowe, krzywdzące opinie dotyczące ślepoty, które eliminują niewidomych z życia rodzinnego i społecznego. Od momentu kiedy przyjęliśmy pierwszą grupę dzieci, stosunek okolicznych mieszkańców do nas stopniowo ulegał pozytywnej zmianie, choć początki były trudne. Szybkie i radykalne rozwiązanie wszystkich problemów, z którymi spotykamy się w naszej pracy, jest niemożliwe. Jedynie realna jest tu długofalowa praca wśród dzieci i młodzieży, która z czasem zmieni świadomość, zlikwiduje utrwalone stereotypy. Wiemy jednak, że nie zaradzimy wszystkim potrzebom, że mamy bardzo ograniczony zakres możliwości. Jest to chyba tak jak z tą krolą, która draży skałę.

Ważnym czynnikiem mającym wpływ na życie ludzi w środowisku parafialnym jest praca duszpasterska i dlatego wydaje się tak ważne przygotowanie kandydatów do kapłaństwa.

Może dodam jeszcze, jaka jest rola nasza jako zakonnic. Nie prowadzimy pracy misyjnej w ścisłym znaczeniu tego terminu, staramy się być znakiem dla ludzi, wśród których żyjemy. Znakiem życzliwości, otwarcia, akceptacji, a już sam nasz habit mówi o tym, kim jesteśmy. Jeżeli jednak świadectwo naszego życia pobudzi kogoś do szukania prawdy, to jest to dla nas wielką radością i powodem do dziękczynienia Bogu za tę łaskę.

(Siostra Rafaela zbiera ofiary na pomoc dzieciom niewidomym. Poniżej podajemy nr kont, na które można wysłać ofiary. Przyp. red.)

Polska:

Właściciel: Siostry Franciszki Służebnice Krzyża,  
ul. Piwna 9/11; 00-265 Warszawa  
Nazwa banku: PKO BP S.A. 8 Oddział, Warszawa,  
Pl. Bankowy 2  
nr konta: 36-1020-1013-0000-0902-0120-3744,  
SWIFT: BPKOPLPW

Rwanda:

Franciscan Sisters Servants of the Cross  
Kibeho B.P. 449 Butare, Rwanda  
Nazwa banku: Kigali Bank, B.P. 175 Kigali, Rwanda,  
Butare Branch  
ACC.: 00050-0283266-43 (USD); 00050-0293878-82 (EURO);  
SWIFT: BKIGRWRW

### **Emmanuel Hakizimana (czyta ks. Adam Zelga)**

Ponieważ Emmanuel bardzo ceni nasz czas, nie chce mówić po francusku i posługiwać się tłumaczem, prosił, abym był jego ustami i przeczytał jego wstrząsające świadectwo, które uzupełni to, co mówiła siostra.

Nazywam się Emmanuel Hakizimana, urodziłem się w Rwandzie, w Afryce Środkowej. Rwanda leży poniżej równika, na wschodzie. Mam 32 lata. Cieszę się, że mogę podzielić się z państwem moim doświadczeniem z Rwandy związanym z ósmym błogosławieństwem z Ewangelii św. Mateusza.

Słownik Akademii Francuskiej definiuje słowo *sprawiedliwość* następująco: „zasada, dzięki której rozpoznajemy, co jest sprawiedliwe, zgodne z prawdą. Wymóg moralny, który sprawia, że oddajemy każdemu to, co mu się należy, oraz że szanujemy prawa innych ludzi”.

Według nauki Ewangelii Królestwo Niebieskie oznacza życie wieczne. Każdy człowiek został posłany przez Boga na ziemię po to, by przygotował się do życia wiecznego, to powołanie każdego. Głównym celem każdego człowieka powinno być życie wieczne, wejście do Królestwa Bożego. Życie na ziemi ma swój koniec.



Emmanuel Hakizimana, obok Krzysztof Dowgiałło

Cały świat zna dramatyczne wydarzenia, które miały miejsce w Rwandzie. Chcę państwu powiedzieć, że te wydarzenia mają poważne konsekwencje dla całego rejonu wielkich jezior – Rwandy, Konga Kinszasa, Ugandy i Burundi aż do dzisiaj. Szacuje się, że zginęło siedem milionów ludzi. Na własne oczy widziałem te tragiczne zdarzenia, dzięki łasce Bożej udało mi się uciec i przeżyć.

Jedną z przyczyn tych wydarzeń jest brak porozumienia pomiędzy Hutu i Tutsi trwający od stuleci. Te dwa plemiona rozbudowały nienawiść względem siebie, ponieważ każde z nich pragnęło dominacji nad drugim, pozbawienia go praw, odebrania mu wszystkiego, co posiadał. Rwanda nie posiada zbyt wiele zasobów naturalnych, takich jak złoto czy ropa, dlatego tym bardziej zdumiewa, że te dwa sąsiadujące ze sobą plemiona, które mają tę samą kulturę i ten sam język, mordowały się wzajemnie.

Najstraszniejsze zaczęło się w 1990 roku, gdy miałem 9 lat. Od tego momentu – wojna, ludobójstwo, azyl w Kongo, masakry, choroby i całe zło spadło na naród rwandyjski. Widziałem, w jaki sposób ekstremiści z Hutu zabijali Tutsi maczetami i zaostrzonymi kijami bambusowymi. Atakowali, krzycząc „zabijmy ich wszystkich”. Potem zabierali wszystko z domów Tutsi, na przykład krze-

sła, garnki i inne sprzęty domowe. Zdejmowali drzwi i dachy z domów, żeby albo je sprzedać, albo zamontować u siebie. Potem zabierali zwierzęta – krowy, kozy i inne, żeby je zabić i zjeść, szli na pola i zabierali wszystko, czego sami nie uprawiali: banany, ziemniaki, to, co rosło na polach.



Nasi goście z Rwandy: siostra Rafaela i Emmanuel Hakizimana

Z drugiej strony, z sąsiedniej Ugandy nadchodziła armia Tutsi i zabijała wszystkich Hutu i nawet Tutsi, którzy wyglądali jak Hutu, co spowodowało masową ucieczkę Hutu do Kongo. Przeżyłem 2 lata pod namiotami w Kongo, a potem armia Tutsi nas zaatakowała i zniszczyła obóz. Przeszedłem pieszo 500 km z plecakiem na plecach, piłem brudną wodę z rzek, jadłem dzikie owoce i to, co udało się znaleźć w lesie. W końcu armia Tutsi nas otoczyła, zrzuciła bomby, strzelała z karabinów maszynowych. Tam zginęli moja mama i czterech moich braci. Widziałem wiele trupów, porzuczanych na drodze i w lesie, szczątek i kości. Inni umierali z głodu. Zostaliśmy deportowani do Rwandy, mój tata został zamknięty w więzieniu, przez 2 tygodnie był torturowany, potem zabito go. Pamiętam, jak któregoś dnia przyniosłem mu jedzenie, strażnik Tutsi

wziął garść piasku, wrzucił do środka i takie jedzenie dał tacie. Dwóch moich wujków i inni członkowie rodziny zginęli w podobny sposób.

Kościół w Rwandzie także został dotknięty, księża i zakonnicy byli bardzo podzieleni. Ekstremiści Hutu zabili wielu księży i zakonników, armia Tutsi zamordowała 3 biskupów, wielu księży i zakonników Hutu.

W tej tragicznej sytuacji pojawili się też prawdziwi bohaterowie. Podczas gdy Hutu zabijali Tutsi, niektórzy z Hutu przeszli do opozycji i także zostali zamordowani. Inni ukrywali u siebie Tutsi. Także niektórzy spośród Tutsi sprzeciwili się, za cenę swojego życia, mordowaniu Hutu. Moim zdaniem, zrozumieli, że powołaniem człowieka nie jest życie wieczne na ziemi i że ceną odnalezienia miejsca w niebie może być prześladowanie, a nawet śmierć. To jest najważniejsze, a jednocześnie najtrudniejsze do zrozumienia.

Aż do dziś nie ma sprawiedliwości w Rwandzie. Władza jest tam w rękach niewielkiej grupy zdominowanej przez Tutsi, która zamyka w więzieniach i morduje osoby, które chcą dociec prawdy. Ta grupa także finansuje rebeliantów z Konga, rozsyła swoich szpiegów do wielu krajów świata, nawet do Europy, ażeby zabijać za wszelką cenę Rwandyjczyków, którzy uciekli, sprzeciwiając się niesprawiedliwości. Jeśli nie udaje się im strzelać do osób, używają innych środków: białej broni, a najbardziej popularnym środkiem jest trucizna. Niestety niektóre państwa, organizacje międzynarodowe i poszczególne osoby wspierają tę władzę, mając w tym swój interes polityczny.

Doświadczenie pokazuje, że ci, którzy grabili i zabijali, także zginęli lub zmarli wskutek głodu czy choroby, inni zostali uwięzieni i nie skorzystali z tego, co ukradli. Czemu służy prześladowanie innych? Czemu służy zwycięstwo kosztem cierpienia innych, skoro i tak stracić trzeba wszystko?

W tych cierpieniach objawiło mi się Boże Miłosierdzie. Na skutek opisanych wydarzeń, w połączeniu z innymi trudnościami życia, przechodziłem dwie poważne depresje. Oprócz depresji, bardzo cierpiałem, bolało mnie zwłaszcza w kościach i dlatego było mi trudno studiować czy zdobyć zawód.

Pewnego dnia przyjaciel, który dowiedział się o moim cierpieniu, przyniósł mi książeczkę, gdzie była Nowenna do Bożego Mił-

sierdzia napisana przez świętą Faustynę. Powiedział mi: „Jeśli odprawisz tę Nowennę z ufnością, Bóg obiecuje spełnić wszystko, o co się Go prosi”. Nie rozumiałem tego dobrze, ale zacząłem ją odmawiać z ufnością, każdego ranka klękałem przed Najświętszym Sakramentem i tak przez 9 dni. Kilka dni po Nowennie Bóg odpowiedział na moje prośby – sprawił, że zrozumiałem przesłanie Bożego Miłosierdzia objawione tutaj w Polsce, a następnie bardzo rozpowszechnione przez Jana Pawła II. Zrozumiałem, że cierpienia są drogą do spotkania się z Panem. Od tego czasu moim ulubionym zajęciem jest głoszenie przesłania Boga bogatego w Miłosierdzie; tego przesłania, które przyniosło mi radość i nadzieję. Mogłem zacząć prowadzić grupy Miłosierdzia Bożego w Rwandzie i mogłem uczestniczyć w dwóch światowych kongresach Miłosierdzia. Jeden był w Rzymie, a drugi w Łagiewnikach. I oto obecnie jestem w Polsce, na Ziemi błogosławionego Jana Pawła II i świętej Faustyny. Przypisuję wszystkie otrzymane łaski obietnicom, które można odnaleźć w codziennym kulcie Miłosierdzia Bożego. Bóg nie kłamie. Wiedza o Bożym Miłosierdziu uświadomiła mi również, że Bóg towarzyszy mi w każdej chwili życia i dzięki tej łasce mogłem wybaczyć z głębi serca tym wszystkim, którzy zabili moich bliskich. Przypominam sobie, że pewnego dnia pomyślałem o wstąpieniu do buntowniczej grupy zbrojnej, aby się zemścić. Kto wstrzymał te złe zamiary jak nie Miłosierdzie Boże? Gdzie byłbym teraz, gdybym nie spotkał i nie czerpał z wielkiego źródła Bożego Miłosierdzia?

Kończąc, chciałbym podzielić się z wami moim świadectwem spotkania z Bożym Miłosierdziem objawionym tutaj w Polsce. Od kiedy postanowiłem czerpać ze źródła miłosierdzia, odkryłem, że aby być człowiekiem sprawiedliwym, trzeba przyjąć i praktykować Miłosierdzie. Jan Paweł II dobrze to ujął w swojej Encyklice *Dives in Misericordia*, to znaczy Bóg bogaty w Miłosierdzie. Szczególnie polecam artykuł 12 Encykliki.

Drodzy przyjaciele – ósme błogosławieństwo, które jest dzisiejszym tematem, wzywa nas, którzy tu jesteśmy, i innych ludzi dobrej woli na całym świecie, abyśmy byli ludźmi sprawiedliwości. Są nimi ci, którzy pozostają sprawiedliwi, żyjąc na co dzień, ci którzy są gotowi oddać nawet życie, aby każdy człowiek mógł żyć z godnością i otrzymywał to, co mu się należy. Pamiętajmy też, że Pan Jezus w tym samym rozdziale Ewangelii (Mt 5, 11-12) powiedział:

„Błogosławieni jesteście, gdy ludzie wam urągają i prześladowają was i gdy z Mego powodu mówią wszystko kłamliwe na was, ciescie się i radujcie, albowiem wielka jest wasza nagroda w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami”. Bez sprawiedliwości nie będzie pokoju na świecie. Będziemy świadkami jedynie nędzy, konfliktów i różnego zła. Przyjmijmy miłosierdzie, żebyśmy byli ludźmi sprawiedliwymi. „Świat nie zazna pokoju, jeśli nie zwróci się ku miłosierdziu”. To słowa Jezusa do świętej Faustyny, które możemy przeczytać w jej dzienniczku.

### **Krzysztof Dowgiałło**

Znalazłem się tutaj, bo tak chciała moja kochana szwagierka, chociaż moje przeżycia z okresu stanu wojennego nie są wspólnierne z tym, czego się tutaj dowiedzieliśmy. Cierpienie dla sprawiedliwości nie było moim udziałem. Raczej jeśli już, to sprawiałem cierpienie moim bliskim, chociaż trzeba powiedzieć, że dzięki pomocy dobrych ludzi z Polski i z rozmaitych innych krajów, powodziło im się całkiem nieźle podczas moich odsiadek.

Niemniej okazuje się, że nie wszystkim się tak powiodło. Chciałem opowiedzieć o losach kilku moich przyjaciół z tego okresu, którzy przez prześladowania, które ich spotykały, zostali właściwie wyeliminowani z możliwości rozwoju.

Do nich należał, na przykład, wówczas młody człowiek – Wacek Kiciński, który był przewodniczącym komisji zakładowej Solidarności w przedsiębiorstwie budownictwa komunalnego w Sopocie i znalazł się po aresztowaniu w Potulicach. To więzienie w stosunku do poprzednich, w których oczekiwaliśmy na procesy, było mniej uciążliwe. Ale Wacek Kiciński, dzielny człowiek, dzielny murarz bardzo chciał, żebyśmy dalej walczyli i jego ulubionym hasłem było „na mury”. Niewiele osób słuchało jego apeli, choć były próby buntu, głodówek i tak dalej. Po wyjściu z więzienia Wacek Kiciński wyjechał z rodziną do Stanów, tam jednak nie został przyjęty w sposób, jaki by mu pomógł przystosować się. Po pewnym czasie jego rodzina się rozpadła. On wrócił i wiegetuje w jakiejś wsi pod Pasłękiem, żyjąc z tego, co od czasu do czasu lokalna Solidarność z wielkim trudem mu prześle.

Był również wśród nas taki bardzo miły dziennikarz z Łodzi, Wojtek Słodkowski, który już niestety nie żyje. Podtrzymywał kole-

gów na duchu, prowadząc pismo „Pilnik”, w którym była rubryka „Rozmowy z psem strażnika”. Strażnik, który z początku mówił o nas „po co was tu przywieźli, powinni byli was rozstrzelać, zakopać i zaorać”, powoli się cywilizował, w tym również i jego pies, z którym Wojtek Słodkowski prowadził konwersacje. Ten strażnik, po jakimś czasie, mówił do nas „ślachta, a chodzić nie umieją”, a pod koniec naszego tam pobytu zwracał się do nas na spacerze „czy nie mógłby Pan powiedzieć kolegom, że już czas zejść ze spacernika”.

W mojej celi było dwóch młodych ludzi, którzy po wyjściu na wolność też skorzystali z możliwości wyjazdu do Stanów, wciąż jeszcze w czasie stanu wojennego. Jeden z nich wyjechał z rodziną i dostał dosyć dobrą pracę. Pracował w kotłowni przy jakiejś szkole wyższej. Ale niestety jego zdrowie tego procesu przystosowania nie wytrzymało i zmarł. Był też drugi, który miał narzeczoną. Ta narzeczoną pisywała do niego do więzienia olbrzymie wielostronicowe listy. Więzienie było jednak zbyt trudne dla jego psychiki, zażywał środki uspokajające. Wyjechał razem z narzeczoną do Ameryki, pobrali się, ale dosyć szybko zmarł.

Trudności z przystosowaniem się i brak rzeczywistej pomocy ze strony zarówno Polonii, jak i rozmaitych organizacji amerykańskich doprowadziło wielu naszych kolegów do poważnych kłopotów i tragedii.

Inny przykład, Wiesiek Talaśka, który spał nade mną na tej samej pryczy, wyjechał do Ameryki, tam się ożenił, bardzo dobrze mu się powodziło, ale po jakimś czasie rozwiódł się i wrócił do Polski. Próbował tutaj założyć swoje przedsiębiorstwo. To się jednak nie udało, skończyło się krachem, po którym wyjechał ponownie do Stanów, bo tam na terenie, który był mu już lepiej znany niż świeży chaos polskiej przedsiębiorczości, miał nadzieję urządzić się lepiej.

Są to przykłady, które pokazują, że nie wszystkim się powiodło, nie wszyscy uzyskali stanowiska i dobrą pracę po odzyskaniu niepodległości, część z nich po prostu zmarnowała się na skutek doznanych prześladowań.

Są też szczęśliwe zakończenia. Przykładem mogą być dzieje Janka Staneckiego, inicjatora obu strajków w Stoczni Gdańskiej w roku 1988, zarówno majowego jak i sierpniowego. On je zainicjował. Potem odsunął się od kolegów, którzy robili karierę polityczną albo związkową i zaczął pracować w Norwegii. Okazało się,

że oprócz znajomości spawania i tego typu prac, ma zdolności pi-sarskie. Sam pochodzi z Kotliny Kłodzkiej i bardzo interesująco opisuje (jeszcze tego nie wydał, ale mam nadzieję, że uda się to wydać) swoje dzieciństwo wśród rzeszy ludzi z rozmaitych stron, Niemców, Polaków, Rosjan, ludzi ze wschodu, ludzi, którzy tam zamieszkali po wojnie. To jest naprawdę bardzo interesujące. Janek ma rodzinę i raczej dobrze mu się powodzi.

Znam bardzo wielu ludzi, którzy po tych przejściach, bardzo intensywnych, nie potrafili wrócić do normalnego życia. Do takich osób należy, między innymi, pani Regina Junk, która była w Komisji Krajowej Solidarności i która w więzieniu przesiedziała prawie trzy lata. Osoba dosyć twarda, nie była specjalnie przez kolegów lubiana. Pobyt w więzieniu i przejścia z tym związane spowodowały u niej chorobę stawów. Po wyjściu z więzienia odizolowała się właściwie od wszystkich. Samotnie przebywa w swoim mieszkaniu. Dopiero niedawno udało się ją namówić, żeby poddała się rehabilitacji. Jest nadzieja, że wróci do zdrowia na tyle, aby móc utrzymywać kontakty z dawnymi kolegami, które urwały się na skutek kalectwa i niechęci tej dumnej kobiety do absorbowania kogokolwiek swoim losem.

To tyle, co chciałem powiedzieć na temat kłopotów związanych z udziałem w staraniach o przywrócenie w Polsce sprawiedliwości, co łączyło się czasem z prawdziwymi cierpieniami, a nawet śmiercią, jednak nie do porównania z tragicznymi losami niektórych narodów afrykańskich, o których nam opowiedziano.

Spytałem księdza Adama, co sądzi o tym, jakie błogosławieństwo płynie z naszych starań. Odpowiedział, że nawet czasowe odsunięcie od tzw. normalnego życia może przynieść błogosławione skutki.

### **Halina Bortnowska**

Mam wielkie opory przeciwko opowiadaniu o sobie. Wolę mówić o innych, tak jak uczynili również moi przedmówcy.

Przyniosłam tutaj zabawkę, którą kiedyś wymyśliłam dla telewizji. To jest symbol. Płatawidło. Życie ludzkie jest płatawidłem. Nasze osobiste życie składa się z mnóstwa wątków, które się o siebie zaczepiają i tworzą spletaną masę. Wierzę, że to Bóg ją rozplącze, że znajdzie w niej te dobre nitki, które wyrosły z Jego ziaren, a

reszta odpadnie. I płatawidło mówi też nie tylko o indywidualnym życiu, ale i o świecie, o tych wszystkich okolicznościach, o których dziś słyszeliśmy. Ci, którzy nam o nich mówią, znajdowali się w aktualnej postaci płatawidła, jednym udało się znaleźć wątek pocieszający i skłaniający do dalszego życia, a inni doszli do wniosku, że nie ma dla nich ratunku. Trzeba pamiętać, że ci, którzy doszli do tego wniosku, doszli i na nim zatrzymali, uznając, że nie warto. „No więc tego czynić nie warto, ale co warto przedsięwziąć innego?” Uważam, że właściwie dziś omawiane błogosławieństwo odpowiada na to pytanie.



Halina Bortnowska z „płatawidłem”

Warto się troszczyć o sprawiedliwość, przy czym sprawiedliwość w biblijnym znaczeniu to nie jest jakieś wymierzanie wyroków i przymierzanie kary do winy w źle lub dobrze wyważonym wyborze. Sprawiedliwość w Bożym znaczeniu to jest nasze zjednoczenie z Bogiem. On tylko i On jedynie jest sprawiedliwością i nas do siebie przyjmuje i z naszego płatawidła wybiera to, co może przyjąć, co jest z Jego błogosławieństwa, a odrzuca to, co jest z naszego egoizmu, głupoty, z naszego trzymania się tylko swojej własnej wizji. Bóg spra-

wiedliwy wskazuje, że należy też zaufać innym ludziom. On z nas otrząśnie nasze winy i zaniedbania. Wtedy będziemy „błogosławionymi”, o których mowa w tym błogosławieństwie.

Zawsze myślałam, że jest rzeczą niezwykle niebezpieczną przywłaszczać sobie błogosławieństwa. One są wolne, stale wypływają z ręki Bożej tam, gdzie Bóg zechce je kierować. My nie jesteśmy posiadaczami błogosławieństw, nawet jeśli walczymy o sprawiedliwość czy też staramy się sprawiedliwie nie krzywdzić innych. Jeżeli nawet tak postępujemy, to błogosławieństwo pozostaje własnością Boga i nie możemy sobie przypisać roli błogosławionych. Jezus wypowiedział błogosławieństwa, aby ludzi pocieszyć, ale słyszymy również ostrzeżenie. Posiadamy błogosławieństwa dlatego, że On nam powierza rolę soli ziemi, ale jeżeli sól zwietrzeje, jeżeli solniczka się zapcha i nic się z niej nie wysypie, to jesteśmy temu winni. Siebie mamy rozliczać z tej roli soli ziemi, a nie rozliczać innych.

Prawdą jest, że w płatawidle losu znajdują się rzeczy straszne, które pojawiły się w składanych tu świadectwach. Chcę jednak na zakończenie opowiedzieć o zdarzeniu niosącym nadzieję. W Rwandzie był pewien pastor, który kiedy te tragiczne wydarzenia miały miejsce, był pracownikiem administracyjnym, trochę konserwatorem, trochę skarbnikiem. W jego domu pracowało parę osób, które pomagały jego żonie i dzieciom. Kiedy zaczęły się wspomniane wydarzenia, ambasada amerykańska wycofywała obywateli USA. Wszyscy byli zawiadomieni i zaproszeni, żeby zgłosić się w porę na transport i uciekać z kraju, gdzie będą się działy rzeczy straszne. Wspomniany pastor wysłał swoją żonę i dzieci, a sam oświadczył, że nie wyjedzie, bo nie może opuścić pracowników. Nikogo z miejscowych nie można było ze sobą zabrać.

Żona i dzieci wyjechały, zostały kucharka, posługacz i stróż. Pastor postanowił zostać, żeby ocalić tę trójkę swoich najbliższych współpracowników. Od tego się zaczęło, a potem wziął się do ratowania jeszcze innych ludzi. Dla tej swojej ewolucji widzenia co raz to nowych spraw, wobec których nie mógł pozostać obojętny, napisał niewielką książeczkę „Ja nie wyjeżdżam...”. Było to bardzo trudne i różnie osądzone, ale myślę, że można go zaliczyć do ludzi, którzy stanęli z ręką wyciągniętą po to błogosławieństwo, ale nie przypisując go sobie. Wierzę, że to błogosławieństwo do niego dotarło i skoro on żyje, to znaczy, że Bóg chciał, żeby jeszcze dłużej służył w ten sposób.

Myślę, że sens tego błogosławieństwa zawiera się w maksymie „nie opuszczę, nie zostawię, muszę zostać na tej placówce pozornie beznadziejnej, skąd droga prowadzi jak się wydaje do nikąd, nie ratuję siebie na pierwszym miejscu, ale usiłuję ratować innych, jeśli się uda”.

Tak rozumiem sens tego błogosławieństwa i sprawiedliwości, której nie przywłaszczamy sobie, ale którą otrzymujemy wśród darów Ducha Świętego. Miejmy nadzieję, że Duch Święty nam pomoże oceniać wątki naszego plątawidła i starać się wzmocnić wątek sprawiedliwości.

Trochę powiedziałam kazanie, a to dlatego, że jestem bardzo wyposzczona. Moje wykształcenie i praktyka przygotowywały mnie do tego i bezpośrednio po Soborze nieraz miałam okazję uczestniczyć także w liturgii nie tyle w roli świadka, co objaśniacza, bo świadek trochę musi mówić o sobie. Niestety dalsza ewolucja doprowadziła do tego, że ta funkcja zanikła i mogę wypowiadać się i głosić rekolekcje tylko w kontekście ekumenicznym. Gdy mnie poproszą o to bracia protestanci, chętnie to robię. W Kościele rzymskokatolickim dla kobiety, chociaż z wykształceniem teologicznym, prawie nie ma możliwości uczenia czegokolwiek. Świadectwo – proszę bardzo: „opowiedz, jak bohatercko urodziłaś ośmioro dzieci”, o tym posłuchają, natomiast myślenia teologicznego, które jest nam bardzo potrzebne, nie powierzają kobiecie.

### **Ks. Adam Zelga**

Kiedyś zaprosiłem wybitną dziennikarkę, uchodzącą za sztandarową postać katolicką, żeby dała świadectwo o swojej wierze bierzmowanej młodzieży. Odpowiedziała na to, że uważa, iż to jej prywatna sprawa. Z tymi zaproszeniami różnie bywa.

Usłyszeliśmy cztery niezwykle świadectwa cierpienia dla sprawiedliwości. Teraz oddajemy państwu głos. Chociaż zdaję sobie sprawę, jakie to jest trudne, bo co my możemy o tym powiedzieć, słysząc świadectwo Emmanuela? Może mój tata mógłby coś więcej powiedzieć, bo był w lesie, w Armii Krajowej w czasie wojny. Już jako mały chłopiec przewoził meldunki. Ale ja? Co ja mógłbym powiedzieć?

## Dyskusja

### Krystyna Lachowicz

Chciałam podziękować za możliwość uczestniczenia w tym spotkaniu. Dla mnie osobiście ma ono niespotykane ważne wymiar. Zostałam tutaj zaproszona przez pana Emmanuela. Nie każdy ma takie przeżycia, które doprowadzają go do chęci odwetu na kimś, do chęci zemsty za wyrządzone cierpienia. Równocześnie nie zawsze tak myślimy, nie zawsze tak czujemy, że przyjmujemy cierpienie i że wybaczymy. Słuchając świadectwa pana Emmanuela, jak on potrafił mimo tak wielkiego cierpienia, tak ogromnej straty, dramatycznych doświadczeń, potrafił modlić się i uwierzyć do końca w Miłosierdzie Boże, jestem pod ogromnym wrażeniem. Dlatego postanowiłam zabrać głos i podziękować mu za to.



Krystyna Lachowicz

Chciałam powiedzieć, że jestem też zdziwiona tym, że gdy pan Krzysztof przedstawiał swoje cierpienie i cierpienia swoich znajomych z naszego pokolenia, ksiądz powiedział, że dobrem jest to, że to cierpienie odsunęło ich od życia. Nie zgadzam się z takim my-

śleniem. Każdy chrześcijanin ma obowiązek być aktywny. Natomiast to cierpienie jest dobre tylko wtedy dla nas, jako ludzi, gdy pozwala zobaczyć, na ile jesteśmy nieczuli na cierpienie innych.

### **Ks. Adam Zelga**

Chyba nie zrozumiała pani mojej intencji. Chrystus był osobą odrzuconą, ale nie zrezygnował ze swojej misji. Tworzył ją dalej. Pani Halina mówiła, że trzeba się pochylić nad tymi, którzy nie potrafią wejść na tę drogę, stają w pewnym momencie i pytają, co dalej. Dzięki Bożej łasce Emmanuel odkrył Boże Miłosierdzie, ale gdyby nie było Bożej łaski i gdyby jej nie odkrył, poszedłby do grupy zbrojnej, walczącej o ludzką sprawiedliwość, a tak naprawdę – o zemstę. „Oko za oko, ząb za ząb”. Moja wypowiedź była w bardzo głębokim sensie chrześcijańska, że Chrystus jest sztandarową postacią odrzuconą przez wszystkich, ale idzie do końca, nie rezygnuje. Człowiek, który naśladuje Chrystusa, nawet odrzucony przez najbliższych, jest wierny wyznawanej idei i dalej nią żyje, nie poddaje się i nie ucieka.

### **Halina Bortnowska**

Ja rozumiem to wyjaśnienie i je szanuję, ale jednocześnie rozumiem też przedstawione zastrzeżenie. To znaczy – ja cierpienia nie nawiądzę. Nie chcę, żeby ludzie cierpieli i nie uważam, żeby cierpienie było czymś, co należy popierać, zostawiać ludzi, niech sobie cierpią, bo będą od tego święci. Uważam, że cierpienie o tyle wnosi coś w dobroć i świętość życia, o ile jest przetwarzane, jak jest znoszone i czy prowadzi do współczucia z innymi oraz jak pokazuje wierność Bogu. Jednak samo w sobie cierpienie nie uszlachetnia ludzi, to jest dodatkowa trudność, dodatkowe zadanie na drodze, strasznie trudne. Boję się, że świat łatwo potępia tych, którzy ze swojego cierpienia nie zrobili ścieżki do zbawienia, tylko padli na tej ścieżce. A dlaczego padli? Przeważnie dlatego, że nikt ich nie doprowadził kawałek. Nikt tej ścieżki nie uporządkował, żeby nie była ona niebezpieczna, pełna strasznych wybojów. My nie powinniśmy pielęgnować cierpiętnictwa wiary, wierzyć, że samo cierpienie uszlachetnia i jest wspaniałą rzeczą. Tej myśli przeciwstawia się także w drugiej części swojego listu o zbawczym cierpieniu Jan Paweł II. Swoimi argumentami i swoją postawą przeciwstawia się tak

zwanemu cierpiętnictwu, czyli kultowi cierpienia, które samo w sobie ma stanowić jakieś dobro. On uczy cierpienie przewycięzać. Nie godzić się zwłaszcza z cierpieniem innych.



Halina Bortnowska

### **Teresa Lijewska**

Chciałam krótko opowiedzieć o historii mojej rodziny. Sprawiedliwość to jest wierność ideałom, trwanie przy prawdzie. Mój ojciec był prawnikiem i był bardzo zainteresowany tym, aby została odkryta prawda o Katyniu. W latach 60. ktoś mu pożyczył książkę, którą Niemcy wydali po odkryciu katyńskich grobów. Był tam spis zamordowanych i ojciec odkrył m.in. nazwiska swoich kuzynów. Nieopatrznie zobaczył tę książkę jakiś ubowiec i zadenuncjował ojca. Mój ojciec nie powiedział, że ta książka jest pożyczona – (tamten człowiek miał żonę i dzieci) wziął sprawę na siebie i przez pół roku siedział w więzieniu w Koszalinie. Potem okazało się, że jako prawnik miał prawo mieć tę książkę... I to jest przykład cierpienia dla sprawiedliwości, że z jednej strony ta książka dała mu pewną wiedzę o Katyniu, a z drugiej strony, nie wydał człowieka, do którego ta książka należała.



Teresa Lijewska (z mikrofonem), obok Anna Słomka

### **Wanda Zajac**

Pragnę podziękować Pani Halinie za zaprezentowanie „płatwidła”, które bardzo obrazowo ukazuje złożoność ludzkiej natury i życia każdego z nas. Wszyscy niestety doświadczamy cierpień i prześladowań. W sytuacjach krańcowych dochodzi nawet do zbrodni i tragedii, co przedstawił w swym wstrząsającym świadectwie Pan Emmanuel. Chrystus uczy nas i stale przypomina, jak „żyć po ludzku” w obliczu trudnych doświadczeń, bez walki i odwetu. Nauka Jezusa i modlitwa są drogą, która prostuje i leczy ludzkie „płatwidła”.



Wanda Zajac

Chciałabym też podziękować panu Emmanuelowi, bo podczas słuchania jego świadectwa chyba po raz pierwszy tak mocno dotarło do mnie, że trzeba przyjąć i praktykować miłosierdzie.

### **Ks. Adam Zelga**

Na koniec zadajmy sobie pytanie: czy my, Polacy, czcimy cierpiętnictwo, czy – przeciwnie – czcimy siłę tych, którzy temu cierpieniu nie ulegli, nie poddali się, ale się z nim zmierzyl i w tym sensie wygrali. Choćby to, krytykowane przez niektóre środowiska, Powstanie Warszawskie: że cierpiętnictwo, że idziemy na groby, że zapalamy świece, lepiej czekoladowego orła zrobić. Ja się z taką wymową patriotyzmu nie zgadzam. My nie czcimy cierpienia, wprost przeciwnie. Czcimy ludzi, którzy temu cierpieniu nie ulegli, nie poddali się, ale wytrwali do końca i w jakimś wymiarze przemienili swoje życie, tak jak Emmanuel. Nie poszli za pokusą odwetu. To strasznie trudne, bo żeby nie wstąpić jako młody, wojowniczy człowiek do organizacji, która walczy, to trzeba pokonać coś w sobie, nienawiść, chęć odwetu. I wydaje mi się, że to nie jest jego dzieło, tylko mamy doświadczenie działania Boga w tym młodym człowieku. Boga, który spowodował, że Emmanuel nie podjął walki zbrojnej, tylko szuka innych dróg.

Na koniec: siaduję w tej auli na Konwersatoriach już od tylu lat i oglądam otaczające ściany, a dopiero dzisiaj zobaczyłem ten wiersz nade mną i pozwolę sobie tym fragmentem skomentować



Słuchacze

całe nasze spotkanie. I żeby on był kanwą do dalszych rozmyślań. Wiersz ma tytuł „Próba ognia”:

Co wieczór na zboczach gór  
 Jeden po drugim zakwitają ogniem gorejące krzewy  
 W pokorze zdejmuję sandały  
 i wsłuchując się w ciszę niecierpliwie czekam na słowo.

### **C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną**

**Marianna Łacek** (Australia)

#### **Prześladowanie może przybierać różne formy**

Każda niesprawiedliwość boli. Do dziś pamiętam, chociaż upłynęło już blisko pół wieku, mój wielki żal i rozczarowanie, kiedy to nie ja otrzymałam stypendium naukowe, na które tak bardzo liczyłam. Miałam doskonałe wyniki w nauce (wszystkie egzaminy zdane na bardzo dobrze), byłam przewodniczącą Rady Mieszkanek w akademiku, a także przewodniczącą niezwykle prężnie działającego Koła Naukowego. Zawsze znajdowałam czas, żeby uczestniczyć w spotkaniach Katolickiej Młodzieży Akademickiej, które prowadził ówczesny Arcybiskup Karol Wojtyła oraz młody, pełen energii ks. Adam Boniecki. I to, jak się potem dowiedziałam, było głównym powodem odrzucenia mojego podania. Zapomniałam dodać, że byłam starościnaą jednej z grup na naszym roku. Starostą roku był mój kolega, późniejszy (i obecny) mąż. Jakoś tak się składało, że nasz rok stronił dziwnie od aktywnego popierania „kierowniczej roli partii”. To oficjalnie nie miało żadnego wpływu na tok naszych studiów, ale starosta roku o mało nie został usunięty z uczelni, bo... uparcie twierdził, że oddał jakieś sprawozdanie, które zresztą po burzliwych konfrontacjach znalazło się u jednego z Panów Magistrów.

Podczas studiów utrzymywałam się sama, udzielając korepetycji i wykonując różne nieciekawe prace. Dokonywałam przeróbek krawieckich, a nawet szylałam sobie i nieraz koleżankom, ubranie. Stypendium naukowe byłoby nie tylko uznaniem za moją pracę, ale przede wszystkim rozwiązaniem problemów finansowych. Nie musiałabym odsprzedawać połowy moich bloczków na obiad.

Druzgocąca decyzja o nieprzyznaniu mi stypendium naukowego dotarła do mnie w dzień, kiedy prowadziłam kilkudniową wycieczkę Koła Naukowego. Po chwilowym załamaniu postanowiłam jeszcze z większą energią kontynuować moją działalność tak na polu naukowym, jak i społecznym oraz duchowym. Dziekan wydziału, nieoceniony prof. Flis, z którym spotykaliśmy się na niedzielnych Mszach Świętych w akademickim kościele świętej Anny, chyba nie dał za wygraną. Pod koniec roku akademickiego, decyzją Ministra Oświaty nasz wydział otrzymał jeszcze jedno stypendium naukowe. Wypłacono mi wstecz za wszystkie miesiące od października poprzedniego roku. Była to pewnego rodzaju satysfakcja, ale jednak pozostała w sercu zadra. To stypendium, niestety, nie było już dla mnie nagrodą, chociaż było wielką pomocą finansową.

Kiedy kilka lat później ten sam prof. Flis żegnał nas wyjeżdżających do Australii (oficjalnie na 6 miesięcy, z możliwością przedłużenia), prosił, aby cokolwiek będziemy robić, nie odwracać się od Polski. On sam, były Karpatczyk, uczestnik walk pod Tobrukiem i zwycięzca spod Monte Cassino, wrócił po wojnie do Polski. „Systemy się zmieniają, ale Polska jest jedna, ta nad Wisłą” – powtarzał.

Początek lat 70. to rozpoczęta w Polsce akcja odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Żegnając się z ukochanym Krakowem, wrzuciłam do umieszczonej na Rynku skarbony złotówki, które pozostały mi z budżetu „do pierwszego”. Nic dziwnego, że w Sydney całym sercem włączyliśmy się w organizowanie Społecznego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

Na przełomie lat 70. i 80. „Przekrój”, który od początku prenumerowaliśmy, ogłosił akcję Rewaloryzacji Zabytków Krakowa. Rozpoczęliśmy także tę akcję i tutaj w Australii. Organizowane przez nas imprezy rozrywkowe i kulturalne, z których dochód był przekazywany do Polski, zyskiwały coraz większe poparcie wśród sydneyjskiej społeczności.

Niestety, znaleźli się „patrioci”, którzy obdarzyli nas tutaj mianem „komuchów”. Co bardziej przykre, że byli to ludzie, którzy sami przed „wybraniem wolności” mieli za sobą aktywną, partyjną przeszłość. Polska była daleko, oni krzykliwi, a my nic nie mieliśmy na swoją obronę, poza przekonaniem o czystym sumieniu. Bo jak, na przykład, można było odmówić spotkania z żoną konsula (PRL), która wiedząc, że mój brat jest księdzem w podwarszawskiej miejscowości, prosiła o pomoc w zorganizowaniu chrztu swoich dwojga dzieci.

Ostracyzm bolał, bolało niesłuszne posądzenie o popieranie komunizmu. Przymuszani z Polski do stawiania czoła przeciwnościom, szliśmy po prostu swoją własną, uczciwą drogą, pracując, wychowując swoje dzieci i pomagając wielu osobom, które zresztą chętnie z naszej pomocy korzystały. Na szczęście przez cały czas czuliśmy oparcie w Kościele. Pracujący dla Polonii Księża Chrystusowcy niejednokrotnie dawali temu wyraz.

Taka sytuacja miała także pozytywny skutek. Staliśmy się mocni jako rodzina. Dzieci zawsze miały w nas oparcie, a my także wiedzieliśmy, że możemy liczyć na ich zdrowy rozsądek i że nie zawiodą naszego zaufania. Nie stawialiśmy restrykcji, ale wiadomo było, że decyzje, jakie będą podejmować, będą zgodne z naszymi oczekiwaniami.

Zdarzenie, które dotknęło nas do żywego, miało miejsce, kiedy nasze dzieci nie otrzymały zaproszenia na urodziny dziecka z sąsiedztwa, z którym praktycznie się wychowywały. Będąc nauczycielką, w czasie wakacji szkolnych, kiedy były zamknięte przedszkola, wielokrotnie opiekowałam się tym dzieckiem. Zналиśmy się z rodzicami. Urodziny były zaplanowane na piątek. Jak będą się czuły nasze dzieci w sobotę rano w Polskiej Szkole, kiedy będzie na pewno mowa o tych urodzinach? Należało działać. Znaleźliśmy kilkoro dzieci, które, niezwiązane z tą rodziną, na urodziny również zaproszenia nie dostały. Zebraliśmy te dzieci i zaproponowaliśmy rodzicom, że zabierzemy je na wycieczkę do cyrku, który akurat rozłożył swoje namioty w jednej z okolicznych dzielnic.

Plan się powiódł. Złożył się na niego doskonały program cyrku, a potem jeszcze krótka wizyta u nas w domu, na przygotowany wcześniej poczęstunek dla dzieci, w oczekiwaniu aż przyjadą rodzice, aby odebrać swoje pociechy.

Kiedy na drugi dzień pani w szkole rozpoczęła lekcję polskiego, prosząc, żeby dzieci opowiedziały, co ciekawego wydarzyło się w ubiegłym tygodniu, wizyta w cyrku zdecydowanie wiodła prym. O tym, że były urodziny koleżanki i że nasze dzieci nie dostały zaproszenia, wyszło dopiero w czasie jednej z rozmów, kiedy byli już dorosłymi ludźmi. Nie wpłynęło to w żadnym stopniu na ich wzajemne kontakty, które do tej pory utrzymują.

Czy nasza reakcja była słuszna? Na pewno, gdyby chodziło o nas samych, nigdy nie posunęlibyśmy się do takiego wybiegu. Tu-

taj w grę wchodziło jednak dobro dzieci. Naszym obowiązkiem było je chronić, zanim dorosną i wystarczająco okrzepną, aby stać czoła ludzkiej niesprawiedliwości.

Trudności, przez które udało nam się przeprowadzić naszą rodzinę, odniosły jeden pozytywny skutek. Jesteśmy mocno ze sobą związani. Pomimo że los zawiódł nasze dzieci do różnych krajów, utrzymują bardzo bliskie kontakty ze sobą i z nami. Ze strony środowiska, w którym w dalszym ciągu żyjemy, spotykamy się z podziwem, a czasem i z zazdrością.



**Wydawnictwo**  
**Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin**  
**w Warszawie**  
[www.swpr.edu.pl](http://www.swpr.edu.pl)  
[swpr@swpr.edu.pl](mailto:swpr@swpr.edu.pl)  
22 644 07 97

Wydawnictwo SWPR wydaje zarówno książki, jak i wydawnictwa ciągłe i seryjne. Pełen spis wydanych pozycji znajduje się na stronie internetowej. Książki można zamawiać drogą internetową.

Poniżej znajdują się tylko wybrane pozycje:

**Z zakresu pamiętników i wspomnień:**

- Kucem na Ursynów – *Izabela Dzieduszycka* (2011)
- Spotkani na drodze – *Leszek Starkel* (2011)
- Chwile czasu minionego – *Andrzej Mycielski* (2012 – wydanie trzecie, rozszerzone)
- Ci, o których powinniśmy pamiętać. Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie, tom I, II i III – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dongiałto* (2010, 2011, 2012)
- 50 lat Wspólnoty Parafialnej Opatrzności Bożej na Rakowcu w Warszawie, 1962-2012 – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dongiałto* (2012)

**Z zakresu podręczników:**

- Podstawy meteorologii i klimatologii – *Urszula Kossowska-Cezak* (2007)
- Badania cech tekstualnych osadów czwartorzędowych i wybrane metody oznaczania ich wieku – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dongiałto* (2007)
- Chemia dla przyrodników (drugie wyd.) – *Hanna Rembertowicz* (2010)
- Człowiek i paideia. Realistyczne podstawy filozofii wychowania (drugie wyd.) – *Mikołaj Krasnodebski* (2009)

**Z zakresu wiedzy historycznej:**

- Opactwo Czerwińskie w średniowieczu – *Marek Stawski* (2007)
- Kościół i Państwo w dziejach, źródłach i studiach nad przeszłością  
– *pod red. Marka Stawskiego* (2008)
- Duchowieństwo i laicy – *pod red. Andrzeja Watkóńskiego* (2010)
- Kościół i Społeczeństwo – *pod red. Janusza Grabowskiego* (2012)
- Ballada marcowa – *pod red. Agnieszki Kraszewskiej, Elżbieta Mycielskiej-Dongiało* (2013)

**Z zakresu publicystyki społecznej:**

- Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dongiało*, tom I – VII (2006 – 2012)

**Z zakresu poezji:**

- Kiedy będę do Ciebie szedł – *Marek, Antoni Wasilewski* (2010)
- Na geograficznych ścieżkach życia (eseje geograficzne) – *Joanna Angiel* (2012)
- Rozmowy z Panem – *Bona* (2012)